Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

PL ISSN 0472-5042
Nr indeksu 36762

NUMER 35 (1379) ROK XXVII 1 WRZEŚNIA 1984 ROKU CENA 15 ZŁ

- Socjalizm i sprzeczności
- Cóś pięknego — czyli jaka jest Łódź
- Obok kilowatów rocka...
- Znak szczęścia
- Wielka lipa

Operacja „Weiss"

1 września mija 45 lat od momentu napaści Niemiec na Polskę, od dnia, w którym rozpoczęła się druga wojna światowa. Niemcy hitlerowskie przygotowywały się do tej agresji długo i skrupulatnie. Opracowano bardzo dokładnie wiele planów podbojów państw europejskich: a więc plan „Grün" (Czechosłowacja), „Weiss" (Polska), „Barbarossa" (ZSRR), „Marita" (Grecja), „Seelöwe" (Anglia), „Attila" (Francja), „Tannenbaum" (Szwajcaria) i in.

Dziś, zamiast komentarza, zamieszczamy suche dokumenty, ale ich wymowa, nawet po tylu latach, budzi grozę, uzmysławiając czym był i czym jest niemiecki militaryzm.

* * *

Tylko dla kadry dowódczej
Oberkommando der Wehrmacht
WFA 37/39

Ściśle tajne
Dla dowódcy sztabu
Doręczyć tylko przez oficera
Berlin 3 IV 1939
5 kopii
kopia 2.

Dotyczy: wytycznych dla sił zbrojnych na 1939/40.
Dyrektywę o ostatecznym przygotowaniu sił zbrojnych na 1939/40 wydaje się na nowo.

Część I („Zabezpieczenie granic") i część III („Danzig") zostaną wydane w połowie kwietnia. W zasadzie pozostają one bez zmian.

Część II („Operacja Weiss") w załączeniu. Podpis führera będzie później.

W punkcie „Operacja Weiss" führer rozkazał co następuje:

1. Rozpracowanie winno być tak skalkulowane, by przeprowadzenie operacji było możliwe o każdym czasie, poczynając od 1 września 1939 roku.

2. OKW poleca się opracować plan kalendarzowy „Operacji Weiss" i zsynchronizować zgodność operacji w czasie pomiędzy trzema formacjami sił zbrojnych.

3. Wnioski tych formacji i założenia do planu kalendarzowego winny być przedłożone w OKW do 1.V.1939 r.

Oberkommando der Wehrmacht
KEITEL

Ściśle tajne

ZAŁĄCZNIK II K OKW NR 37/39

Operacja „Weiss"

5 egzemplarzy
Egzemplarz 2.

Obecna pozycja Polski wymaga oprócz przygotowanego planu „Zabezpieczenie granic na Wschodzie" wprowadzenia przygotowań zbrojnych po to, by w razie potrzeby oddalić w przyszłości każde zagrożenie z tej strony.

4

Foto: CAF — Archiwum

Foto: Marek Grotowski

Festiwal w Dusznikach

MARIAN STRZELECKI
JACEK WOLAŃSKI

Imprez muzycznych typu festiwalowego mamy obecnie w Polsce ponad 50. Rozmaity jest ich kształt i profil artystyczny, zróżnicowany jest czas ich trwania i okres odbywania. Różnic dopatrzyć można by się jeszcze wiele, natomiast cel wszystkim tym imprezom przyświeca jeden — propagowanie dobrej i wartościowej muzyki. Poświęcane one są bądź muzyce danego okresu historycznego, określonym formom i gatunkom muzycznym, twórczości jednego kompozytora, czy też prezentacji określonych wykonawców.

Wiele jest dziś w świecie festiwali związanych z kultem muzyki jednego kompozytora (np. Göttinger Händelfeste, Deutsche Bach-Feste, Deutsches Mozartfest). Podobne festiwale są organizowane również w Polsce. Festiwalem w tej konwencji muzycznej, zasługującym na szczególne zainteresowanie i uwagę jest bez wątpienia Międzynarodowy Festiwal w Dusznikach Zdroju. Najstarsza to muzyczna impreza w Polsce (pierwszy festiwal odbył się już w 1946 roku) i poświęcona naszemu największemu kompozytorowi.

W roku czterdziestolecia Polski Ludowej trzydziesty dziewiąty Międzynarodowy Festiwal Chopinowski odbywał się pod protektoratem ministra kultury i sztuki PRL prof. Kazimierza Żygulskiego.

Protektorat ministra sprawa wielką i znaczącą, ale nie mniej ważną sprawą jest zapewnienie imprezie wysokiego poziomu artystycznego i sprawnej organizacji. Czy zostało to spełnione w tym roku? — Tak!

Wysoki poziom muzyczny, interesujący wykonawcy i znakomita organizacja imprezy to już normalność festiwalu w Dusznikach. Normalność ta stała się już tradycją.

Tradycję tę wytworzyli, umiejętnie ją pielęgnując i doskonaląc przede wszystkim dwaj ludzie: Tadeusz Strugała — kierownik artystyczny imprezy i znany dyrygent oraz Bronisław Oleszek z funkcji naczelnik miasta, a z duszy i serca wielki melomana i miłośnik tego wszystkiego co piękne i służyć może rozwojowi polskiej kultury i kultywowaniu tradycji narodowych. To wspaniali i bez reszty oddani sztuce ludzie. Bardzo skromni, nie afiszują się. Kryją się — jak to trafnie określił Zdzisław Sierpiński — za efektami własnej pracy. A efekty są widoczne i doceniane niemal przez wszystkich, zarówno publiczność, jak i uczestników festiwalu, a także i przez władze polityczno-administracyjne województwa wałbrzyskiego.

Dzień inauguracji festiwalu miał szczególnie uroczysty i wzruszający przebieg. Z inicjatywy Oddziału Wrocławskiego SPAM w godzinach przedpołudniowych w

8

14 SIERPNIA 1984, KOMUNIKAT PAP

„Jak informuje Ministerstwo Zdrowia i Opieki Społecznej w związku z zaistnieniem dwóch nagłych zgonów niemowląt — wcześniaków w szpitalu w Łasku (woj. sieradzkie), szef tego resortu powołał komisję do szczegółowego wyjaśnienia sprawy. Równolegle prowadzone jest dochodzenie prokuratorskie oraz postępowanie wyjaśniające przez wojewodę".

* * *

Sprawa dotyczy śmierci dwojga dzieci na oddziale pediatrycznym w Wojewódzkim Szpitalu Zespolonym w Łasku. W nocy z 10 na 11 sierpnia o godzinie 0.30 zmarł trzymiesięczny niemowlak przyjęty na oddział 2 sierpnia 1984 r. z obustronnym zapaleniem płuc, biegunką. Drugi wcześniak, trzytygodniowy, z ciąży bliźniaczej, również z obustronnym zapaleniem płuc, ucha środkowego, biegunką — zmarł o 4.30. W obu przypadkach doszło do ustania akcji serca i zatrzymania oddechu podczas podawania płynu infuzyjnego — soli fizjologicznej 0,9 proc. w kroplówce.

Dyr. naczelny Wojewódzkiego Szpitala Zespolonego w Łasku dr Aleksander Smus:

— Tej nocy na oddziale dyżurowały dwie pielęgniarki i lekarz. Kiedy ujawnił się pierwszy przypadek natychmiast przystąpiono do akcji reanimacyjnej. Trwała trzy i pół godziny. Robiono odsysanie, wszystko, aby dziecko uratować. Niestety! U drugiego wcześniaka, młodszego, trzytygodniowego, nagłe zatrzymanie krążenia nastąpiło o 3.50. Maluch ważył zaledwie 1840 g, był w stanie bardzo ciężkim, do zgonu doszło po trzydziestu

Kto się z dzieckiem bawi w szpitalu?

EDWARD BRYL

minutach. Sekcja w pełni potwierdziła rozeznanie kliniczne, które nie rokowało większych nadziei. Dzieci były nie do odratowania. Zmarłyby też, gdyby zdarzenie miało miejsce w klinice w Warszawie, Łodzi czy Krakowie. Dysponujemy dobrze przygotowanym zespołem anestezjologów, na miejscu w szpitalu dyżuruje zawsze dwóch. Województwo sieradzkie szczególnie uczulone jest na śmiertelność niemowląt, mamy wskaźnik znacznie poniżej średniej krajowej...

* * *

Ministerstwo Zdrowia i Opieki Społecznej zareagowało błyskawicznie na wypadek, już następnego dnia rano dr Irena Marcinek z Departamentu Lecznictwa i prof. Szotowa z Instytutu Matki i Dziecka były na miejscu. Wnikliwe badania w pełni potwierdziły diagnozę łaskich

6

Odgłosy

Adres redakcji: 90-438 Łódź, al. Mickiewicza 11.
Telefony: redaktor naczelny i sekretariat redakcji: 36-52-44, zastępca redaktora naczelnego, sekretarz redakcji: 36-80-99.
Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.
Zastępca redaktora naczelnego: Tomasz Sas.
Sekretarz redakcji: Andrzej Karolczak.
Zastępca sekretarza redakcji: Grażyna Olechnowicz.
Kierownik działu literackiego: Igor Sikirycki.
Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Roman Kubiak, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Karol J. Stryjski, Paweł Tomaszewski, Jolanta Wrońska.
Grafik: Janusz Szymański Glanc.
Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.
Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.
Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Edward Bryl, Krzysztof Drzewiecki, Grzegorz Gazda, Bohdan Gadomski, Witold Kasperkiewicz, Włodzimierz Krzemiński, Edmund Lewandowski, Zenon J. Michalski, Krystyna Namysłowska, Jerzy Panasewicz, Ewa Pankiewicz, Jerzy Wilmański.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch" 91-103 Łódź ul. Piotrkowska 96.

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch" 90 950 Łódź, ul. Armii Czerwonej 28

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. dla instytucji i zakładów pracy: — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach: — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" i na terenach wiejskich opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. 2. dla indywidualnych prenumeratorów: osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli: osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonuje się używając „blankietu wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa — Książka — Ruch". 3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28 00 958 Warszawa konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153-201045-139-11. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę poczta zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę: — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam. 2441. E-5.

Odgłosy

Przegląd prasy

Dobiegają końca krótkie, polskie wakacje polityczne. Na scenę powracają odwieczne i nowe problemy naszego życia publicznego, na ogół w nowym opakowaniu, przygotowanym przez wytrawnych publicystów. W powodzi „przedpremierowych" objawień wyróżniają się dwa teksty — oba zamieszczone w „Polityce" (nr 34 — 25.08.84).

W pierwszym prof. Jan Szczepański zapytuje, czy może zdarzyć się

NOWE SARAJEWO

słowem: czy istnieją przesłanki świadczące o psychicznej gotowości do wojny, porównywalne z tym, co zdarzyło się w roku tysiąc dziewięćset czternastym. Profesor uważa, że takie przesłanki istnieją:

„(...) — jakie są te psychologiczne i społeczne warunki podejmowania decyzji o rozpoczęciu wojny? Musi istnieć armia i broń dająca sztabom i rządom poczucie wyższości nad potencjalnym przeciwnikiem i poczucie wysokiego prawdopodobieństwa zwycięstwa. Muszą istnieć grupy interesów i grupy nacisku widzące w wojnie możliwość realizacji swych interesów (...) Muszą istnieć parlamenty pozwalające się manipulować, przyjmujące bezkrytycznie informacje o zagrożeniach. Muszą istnieć środki masowego przekazu posłuszne rządom i gotowe do rozpętania wojennej histerii. Musi istnieć gotowość mas do ulegania takiej histerii (...) Musi istnieć poczucie zagrożenia i wrogie stereotypy przeciwnika dążącego do naszego zniszczenia. Muszą występować silne antagonizmy ideologiczne, polityczne, gospodarcze, pozwalające na powstawanie wyobrażeń o zagrożeniu egzystencji".

Takich warunków profesor przytacza dużo i powiada, że można by przywołać ich znacznie więcej, niż sam to uczynił. A na pytanie, czy istnieją one i działają dzisiaj, odpowiada: *„oczywiście!"*

Sam nie przepadam za oczywistościami, zwłaszcza tego rodzaju. Profesor bowiem nie był uprzejmy wspomnieć, gdzie mianowicie owe warunki do wywołania wojny występują — czy wszędzie? Już samo

PORÓWNANIE Z ROKIEM CZTERNASTYM

nie wydaje się zbyt szczęśliwe... Bo kto wtedy chciał wojny? Oba sojusze — wilhelmińsko-habsburski i rosyjsko-angielsko-francuski — chciały w równym stopniu. A czy dziś w obu przeciwstawnych blokach politycznych, wspartych wojskowymi sojuszami, owa psychiczna i społeczna gotowość do wojny jest taka sama i tożsama z tą z roku czternastego?

Byłbym ciekaw dowodu, który pan profesor Szczepański winien na okoliczność tak łatwo rzuconej, epatującej tezy, przedstawić. Wiem, że są to sprawy oczywiste, powszechnie znane, a pisanie o sprawach oczywistych, o tym, że to my jesteśmy biali, a reaganowcy i rewizjoniści — czarni, może się uczonemu wydawać poniżej godności uczonego. Zapewne, racje w podzielonym świecie nie układają się zawsze jednoznacznie, na dwóch biegunach złego i dobrego. Ale też nie jest tak, by rozkładały się po połowie — taka teza uwłacza i naszej świadomości i pamięci milionów ofiar minionej wojny, jest po prostu cyniczna.

Drugi ważny tekst „Polityki" to artykuł Daniela Passenta „Przed nowym sezonem" — o politycznych i społecznych skutkach amnestii (oczywiście wobec sprawców czynów z pobudek politycznych).

Daniel Passent w zasadzie, pod pewnymi warunkami przyłącza się do tych, którzy uważają, że

OTWARCIE BRAM WIĘZIENNYCH JEST ATUTEM TYCH, KTÓRZY JE OTWORZYLI

a nie tych, którzy przez nie wyszli.

No właśnie. Ale mniejsza o tych nieprzejednanych opozycjonistów. Zdaniem Passenta, którego nie sposób nie podzielać, gdyby amnestionowani nie okazali stosownej powściągliwości, to władze okażą swe zdecydowanie, ergo: cele aresztów zapełnią się ponownie. Publicysta „Polityki" uważa, że w polityce postamnestyjnej należałoby zwrócić uwagę na nieco inną grupę społeczną...

„Jest coraz więcej ludzi, którzy nie są skłonni do jałowej opozycji i jątrzenia, ale nie mieszczą się w istniejących organizacjach i strukturach. Albo są nadal bierni i apatyczni, albo dopiero dojrzewają do działania, lecz chcą powrócić do życia publicznego z twarzą, szukają czegoś, co nie byłoby tylko pretekstem, co dałoby możliwość formułowania uwag krytycznych w dziedzinie np. gospodarki, praworządności czy kultury, które to dziedziny wywołują różne zastrzeżenia."

A więc tym, którzy utracili twarz, należałoby stworzyć

MOŻLIWOŚĆ SWOBODNEGO KRYTYKOWANIA

— a to reformy gospodarczej, a to milicji, a to ministra Żygulskiego. Kto ma to zrobić? Władza. A jak?

„Być może kolejna inicjatywa władz, bądź dalsze mało spektakularne, ale widoczne otwarcie w formie np. prezentacji w telewizji i prasie różnych punktów widzenia na projekt przyszłorocznego planu, na zamierzenia wydawnicze, na zapowiedziane wybory do Sejmu, czy na zakres realizacji uchwał IX Zjazdu, zmiana tonu niektórych wypowiedzi w publikatorach wobec obywateli myślących inaczej niż redaktorzy, piszących choćby w sprawach tak drugorzędnych, jak sport i igrzyska, oczekiwane załatwienie sprawy fundacji rolniczej, cała mozaika drobnych kroków spowoduje, że coraz więcej ludzi przyłączy się zamiast stać z boku".

Tak więc obok wiary w maszynę do pisania Passent wierzy jeszcze w drobne kroki. Jako pomoc w odzyskiwaniu twarzy... Zgadzam się, pomagać trzeba, należy stwarzać szansę. Ale powiedzmyż sobie wreszcie po męsku, do ciężkiej cholery, że ci, co „chcą wracać do życia publicznego z twarzą", to ludzie dorośli, którzy na ogół dobrze wiedzieli co robią; a robili to na własny rachunek i odpowiedzialność, zaś konsekwencji byli świadomi. Życie publiczne w państwie raczej jest nastawione na rozwiązywanie problemów, a nie na reedukację zbłąkanych owieczek (aczkolwiek ona sama w sobie jest problemem do rozwiązania, lecz doprawdy wcale nie najważniejszym).

Danielowi Passentowi nieobce też jest

ŚWIĘTE OBURZENIE

na wrogów amnestii:

„Kiedy niektórzy starają się umniejszyć znaczenie amnestii, mówiąc, że jest spóźniona, bądź stanowi zaledwie pierwszy krok (chodzi o „Tygodnik Powszechny" — przyp. TS), *można zapytać: — A co Panowie uczynili, by amnestię przyspieszyć, zaś liczbę zatrzymanych bądź skazanych zmniejszyć, nie dopuścić, by ludzie trafiali za kraty? Czy skierowaliście choć jeden apel na Waszych łamach do rodaków, by nie wychodzili na ulicę, by nie wszczynali zajść, by nie współpracowali z tymi za granicą, którym interes Polski potrzebny jest wyłącznie dla własnej korzyści?"*

Podzielam to oburzenie, chociaż nadziwić się nie mogę naiwności autora. Tak wytrawny znawca naszego życia publicznego winien wiedzieć, że „Tygodnik Powszechny" nie reprezentuje żadnych sił, którym zależałoby na spokoju społecznym w Polsce, na porozumieniu i rozkwicie gospodarczym na modłę socjalistyczną. Dysponenci polityczni „Tygodnika Powszechnego" wiedzą dobrze za co pismu i jego ludziom płacą i twardo pilnują przestrzegania swej linii programowej. Byłoby śmieszne i nienaturalne, gdyby ktoś z tego kręgu na serio rozważał Passentowe zarzuty...

ALE NIE BUDŹMY DEMONÓW...

Aż ich nadto hasających na swobodzie. Jednym z licznego grona straszydeł naszej publicystyki jest sprawa systemu przyjęć na studia i tegoż systemu pochodnej, czyli socjalnego składu przyszłych posiadaczy dyplomów.

Pogaduchy, konsultacje i przymiarki posuwają się wolno i z namaszczeniem swoim torem. Tymczasem skrzecząca rzeczywistość układa swój pogląd na sprawę, czyli po prostu „głosuje nogami". Nogami tych tysięcy młodych ludzi, którzy na studia nie idą, bo nauczyli się już patrzeć i liczyć — nie bez pomocy rodziców zresztą.

A widzą oni swe szanse mniej więcej tak, jak to opisuje w „Życiu Literackim" (nr 35 — 26.08.84) Romuald Karyś, pytając: „Czy warto być inżynierem?"

„Oto np. inżynier w miesiącu, który w całości wypełnia mu praca nad projektowaniem pewnego urządzenia, otrzymał, wraz z dodatkami i premią 22 tys. zł. Robotnik, który przez następny miesiąc to urządzenie na podstawie dostarczonej dokumentacji montował, zainkasował 49 tys. zł".

To tylko jeden

PRZYKŁAD MATERIALNEJ DEGRADACJI INŻYNIERA

Niemal każdy z setek tysięcy fachowców z dyplomami w przemyśle bez specjalnych nagabywań przytoczy dziesiątki takich anegdotek, niekiedy znacznie bardziej drastycznych. I to właściwie wystarczy za cały opis stanu ducha inżynierskiej kadry. Podobnie jest w innych zawodach, do wykonywania których niezbędny jest dyplom wyższej uczelni.

I bądź tu teraz pryncypialny i bezkompromisowy, publicysto namawiający do modyfikacji systemu punktowego egzaminów wstępnych, w duchu zwiększenia udziału młodzieży chłopskiej i robotniczej... Im więcej tekstów o potrzebie klasowego przewartościowania egzaminów będzie się zderzać z doniesieniami o rzeczywistym, społecznym statusie posiadaczy dyplomów, tym bardziej będzie z tego n i c, jak wyraziłby się Kubuś Puchatek — miś o bardzo małym rozumku — ulubiony bohater mego sześcioletniego syna.

(Nb. mam jeszcze sporo czasu, by zacząć się serio martwić przyszłością edukacyjną i zawodową wspomnianego tu potomka, ale już dziś odczuwam dreszcz niepokoju, usiłując wyobrazić sobie dylematy z jego przyszłości...)

A jeśli ktoś się zechce po tym wszystkim dowartościować, to polecam lekturę rzetelnego sprawozdania o tym

JAK STOJĄ ŻIELONE

na polskim czarnym rynku, zamieszczonego w sierpniowym numerze dodatku „Export—Import" do „Polityki". Jego autor, Jerzy Baczyński, zadawszy sobie trud (i poniósłszy ryzyko) rozmowy z cinkciarzem i przeanalizowawszy sprawozdania z „koniunktur" peweksowskich, konstatuje, że kurs dolara w Polsce zależy od handlu wódką i samochodami, oraz, że naprawdę *„uczciwy kurs mieści się gdzieś w granicach między 110 a 600 zł. Gdzie? — tego nikt nie potrafi powiedzieć".*

Tyle to wie każdy. A rozmowny cinkciarz powiada, że trzeba mieć przykrycie, a interes nie stanie, nie ma obaw.

Na zakończenie dzisiejszego przeglądu prasy wytaczamy

PROCES O ORDYNARNY PLAGIAT

I znów w sprawę są zamieszane „Szpilki", a ściślej podorgan Feliksa Dereckiego, znanego miłośnika gazet zakładowych, przedrukowującego co śmieszniejsze kawałki z tychże. W numerze 33 z 16.08.84 redaktor Feliks D. rozpowszechnił „Dziesięć przykazań przykładnego lokatora" z obuwniczej gazetki „Echo Chełmka". Informujemy niniejszym kolegę Feliksa D. i każdego, kto o tym wiedzieć powinien, że ten zabawny fragmencik pochodzi z tekstu naszego redakcyjnego kolegi Dariusza Dorożyńskiego pt. „Dziesięć przykazań dla lokatora wieżowca (i nie tylko)" opublikowanego w „Odgłosach" 17 grudnia 1983 roku.

W zasadzie nie mamy nic przeciwko przedrukom, lecz tylko wtedy, gdy wyraźnie i bez dwuznaczności podaje się źródło, z którego się czerpało. Mniemamy, że bezeceństwa dopuścił się swawolny i nonszalancki redaktor chełmeckiej gazety, a Derecki — w swej dobroci i wielokrotnie demonstrowanej łatwowierności — zawierzył bezwstydnemu szewczynie. Oczekujemy stosownej satysfakcji, a do sądu nie pójdziemy, i tak bowiem za wyprocesowaną kwotę nie udałoby się nabyć pary chełmeckich chodaków, w odróżnieniu od tamtejszego poczucia przyzwoitości — drogich.

TOMASZ SAS

Minął tydzień

ŚWIĘTO LUDOWEGO LOTNICTWA

w czterdziestą rocznicę rozpoczęcia działań bojowych pierwszej jednostki lotniczej Wojska Polskiego (23 sierpnia 1944 roku, I Pułk Lotnictwa Myśliwskiego „Warszawa" na przyczółku warecko-magnuszewskim) uroczyście obchodzono w Poznaniu, gdzie na akademii spotkali się przedstawiciele kilku pokoleń: weterani lotnictwa, kombatanci wszystkich frontów II wojny światowej i żołnierze współczesnych wojsk lotniczych — spadkobiercy wspaniałych tradycji bojowych polskich skrzydeł.

W MONGOLII ZMIANY WE WŁADZACH PAŃSTWA I PARTII

— Plenum Komitetu Centralnego Mongolskiej Partii Ludowo-Rewolucyjnej zwolniło Jumdżagijna Cedenbała ze stanowiska sekretarza generalnego partii i członka Biura Politycznego ze względu na stan zdrowia i za jego zgodą. Również Wielki Churał Ludowy — parlament MRL — zwolnił J. Cedenbała ze stanowiska przewodniczącego swego Prezydium. Nowym sekretarzem generalnym partii został wybrany Dżambyn Batmunch — dotychczasowy premier Mongolii.

W DALLAS REPUBLIKANIE DOKONALI WYBORU

swych kandydatów do listopadowych wyborów prezydenckich w USA — urzędujących: prezydenta Ronalda Reagana i wiceprezydenta George'a Busha. Konwencja uchwaliła nowy, ultrakonserwatywny program partii — zapowiadający wzrost wydatków na zbrojenia, niepodejmowanie żadnych rokowań, zwłaszcza rozbrojeniowych, ze Związkiem Radzieckim, i — co dla milionów Amerykanów najważniejsze — dalsza redukcję podatków, działającą na korzyść bogatych, oraz drastyczne cięcia budżetowe w kwestiach socjalnych.

Przy okazji konwencji nieznani sprawcy podpalili „historyczny" budynek teksaskiej składnicy książek szkolnych, skąd 21 lat temu Lee Harvey Oswald strzelał do prezydenta Kennedy'ego...

FAŁSZERZE „DZIENNIKÓW HITLERA"

— eks-dziennikarz zachodnioniemieckiego magazynu ilustrowanego „Stern" Gerd Heidemann i sprzedawca wojenno-nazistowskich „antyków" Konrad Kujau, który własnoręcznie spreparował 60 brulionów rzekomych zapisków „führera" — stanęli przed sądem w Hamburgu. Proces zapewne pozwoli wyjaśnić kulisy i szczegóły tej niesamowitej — nawet jak na przypływ tzw. „Hitlerwelle" w RFN — afery historyczno-kryminalnej.

KAPITAN HENRYK JASKUŁA

na „Darze Przemyśla" wyruszył w swój drugi samotny rejs dookoła świata bez zawijania do portów. Tym razem w przeciwną niż poprzednio, trudniejszą stronę — ze wschodu na zachód: od Przylądka Horn przez „ryczące czterdziestki" na Pacyfiku i Oceanie Indyjskim do Przylądka Igielnego i z powrotem przez Atlantyk do Gdyni. Rejs ma trwać dwieście dziewięćdziesiąt dni — do zobaczenia przy kei basenu jachtowego...

200 NUMERÓW „WIADOMOŚCI SKIERNIEWICKICH"

ukazało się już od września 1980 roku. Jednemu z najmłodszych w kraju wojewódzkich tygodników partyjnych, na dobre już zakotwiczonemu w politycznym i społecznym pejzażu swego regionu, życzymy co najmniej dwóch tysięcy numerów — przynajmniej na początek.

MŁODZI JURORZY

podczas koszalińskich spotkań „Młodzi i film — 84" nie okazali się zbyt surowi dla krajowej produkcji filmowej. Główną nagrodę nieprofesjonalny sąd konkursowy postanowił przyznać filmowi „Był jazz" Feliksa Falka.

NOWA AFERA PIŁKARSKA

tym razem w małej podkrakowskiej wiosce Jadowniki, ale za to zupełnie niesamowita. Miejscowy klub LZS Jadowniczanka przebił się przez kilka eliminacji Pucharu Polski zostawiając z workiem bramek liczne kluby, m. in. Unię Tarnów i Górnika Knurów. I oto sensacja — w 1/16 pucharu Jadowniczanka wylosowała ni mniej ni więcej tylko łódzki Widzew... Wszystko jednak wskazuje na to, że do sensacyjnego meczu nie dojdzie, albowiem czołowi gracze małego wiejskiego klubu zostali dosłownie rozkradzeni przez działaczy sąsiednich mocnych klubów śląskich. Głównym podejrzanym jest wyeliminowany w sportowej walce Górnik Knurów. Takiego numeru jeszcze nie było w polskim futbolu, przyzwyczajonym przecież do afer, cudów i transferów wielkich pieniędzy. Ciekawe, co na to tajemnicze sfinksy z PZPN?

BADACZY BIOPRADÓW

czyli nowe Stowarzyszenie Psychotroniczne (z dziesięcioma założycielami) zarejestrowano w Łodzi — jak donosi dobrze w tej materii poinformowany „Express Ilustrowany".

PRZEZ BAŁTYK

usiłował przepłynąć szczeciński pływak Bogusław Lizak. Na trasie między Rugią a Trelleborgiem, gdy do celu zabrakło około 30 kilometrów, dzielny samotnik skapitulował, gdyż temperatura wody spadła do 14 stopni, a on sam był już wyczerpany. Ponowna próba w przyszłym roku — ciekawe po co?

TRAMWAJARZE I DROGOWCY OBIECUJĄ

że 3 września tramwaje wrócą na ulicę Kilińskiego po wielkiej operacji wymiany torów od ul. Nowotki do ul. Armii Czerwonej. Ciekawe, czy się uda...

VICESEKATOR

Socjalizm i sprzeczności

R. KOSOŁAPOW

Czerwcowe (1983 r.) Plenum KC KPZR zwróciło uwagę partii na problem sprzeczności jako siły napędowej postępu społecznego w ogóle, siły napędowej rozwoju socjalizmu, a w szczególności stopniowego przechodzenia do komunizmu. Plenum opowiedziało się za tym, aby u podstaw nie tylko pracy teoretycznej, lecz także całej działalności propagandowej i wychowawczej stanęła sprawa doskonalenia rozwiniętego socjalizmu, który jako wielopłaszczyznowy i długi proces społeczny stanowi szerokie pole do działania praw dialektyki materialistycznej, przede wszystkim jej „istoty" — prawa jedności i walki przeciwieństw (...)

Jak wiadomo, sformułowane w nauce marksistowsko-leninowskiej pojęcia sprzeczności społecznych początkowo mogły opierać się tylko na analizie prywatnowłasnościowych, klasowo antagonistycznych społeczeństw i walki klasowej. Oczywiste jest, że już w pierwszych latach po październiku okazało się, iż są one niewystarczające. Większość socjologów doskonale rozumiała, że pojęcia te nie mogą być, bez istotnych korektur i zastrzeżeń, zastosowane do badania rzeczywistości socjalistycznej. Powstało zadanie określenia specyficznych własności działania prawa jedności i walki przeciwieństw w warunkach budownictwa socjalistycznego i komunistycznego. I tu, jak w każdej nowej sprawie, nie obeszło się bez poważnych trudności.

Socjologowie mogli stosunkowo łatwo analizować wewnętrzne sprzeczności społeczeństwa radzieckiego w okresie przejściowym od kapitalizmu do socjalizmu, dopóki zachowała się jeszcze wielosystemowość gospodarki i nie do końca wyeliminowano wyzyskiwaczy — nauka dysponowała już bowiem dokładnie opracowaną leninowską metodologią. Jednakże wraz z całkowitym zwycięstwem socjalizmu sytuacja jakościowo się zmieniła. Powstała nie spotykana wcześniej społeczna rzeczywistość — społeczeństwo wolnych ludzi pracy, których wspólnota moralno-polityczna umacniała się — i wymagała ona dokładnej wszechstronnej analizy. Właśnie jedność, której pozytywny wpływ teraz słusznie podkreślano, przez długi czas nie była przez poszczególnych autorów kojarzona z koniecznością rozdwojenia jedynej, odwiecznej walki sprzeczności i stałego pokonywania następujących po sobie sprzeczności. To, że żywa jedność nie wyklucza, lecz przeciwnie zakłada łączenie tego co odmienne; to, że powstaje ona tylko przy współdziałaniu tendencji, spraw i elementów różniących się między sobą; to, że coraz większa zgodność w ich współdziałaniu, harmonijność pociąga za sobą zmianę, ale nie niszczy specyfiki uczestniczących w niej sił — te stare dialektyczne sprawy wymagały potwierdzenia na materiale już nowych formacji. Dla takiego potwierdzenia niezbędny zaś był czas i doświadczenie, nie mówiąc już o większej aktywności i dociekliwości socjologów

Jak zaznaczył na czerwcowym Plenum KC KPZR W. Czernienko do pewnego czasu pokutowało uproszczone pojęcie o drogach i tempie przechodzenia do wyższej fazy — komunizmu. Można to powiedzieć, że przyspieszając nasze marzenia niektórzy teoretycy i propagandziści jakby wygładzili nierówności drogi, po której kroczymy i odrywamy się od realiów życia.

Jest to dobrze widoczne na przykładzie pojęć **„jedność"** i **„sprzeczność"**. O ile pierwsze często pojmowane było statycznie, jako pozbawione wewnętrznego pulsowania, wiecznego ruchu twórczego niepokoju, to drugie traktowano jako niedostatek, przykre nieporozumienie, przypadek, którego można by uniknąć. Czasami wręcz pomijano niezbędną i ograniczoną więź między tymi pojęciami, wyrażającymi różne i jednocześnie wzajemnie przenikające się strony jednej i tej samej rzeczywistości. W rezultacie w pewnym okresie w obiegu znalazła się metafizyczna „teoria" o bezkonfliktowości, która znalazła wyraz zwłaszcza w literaturze pięknej, jednak zasięgiem swym objęła także nauki społeczne. Coraz bardziej paląca stawała się **potrzeba zastosowania dialektyki materialistycznej w jej całkowitej, nieograniczonej postaci do zjawisk i procesów rzeczywistości socjalistycznej, co było niezbędne także dla wszechstronnej obiektywnej oceny przeszłości, dla trzeźwego, wyważonego zrozumienia teraźniejszości oraz dla realistycznego spojrzenia w przyszłość.**

Na czerwcowym Plenum KC KPZR podkreślano jak istotne znaczenie dla teorii i praktyki ma wszechstronne zbadanie właściwych dla dojrzałego socjalizmu nieantagonistycznych sprzeczności, specyfiki ich przezwyciężania w warunkach umacniającej się społeczno-politycznej i ideowej jedności społeczeństwa radzieckiego. W tej krótkiej formule ujęta została specyfika sprzeczności socjalizmu, co przez tak długi czas nie udawało się badaczom. Właśnie ona wymaga teraz dalszego badania i konkretyzacji.

2.

W rozwiniętym społeczeństwie socjalistycznym, podobnie jak i w każdym organizmie społecznym — wskazywano na czerwcowym Plenum KC KPZR — trwa walka nowego ze starym, działają nie tylko pozytywne, lecz także negatywne tendencje. Z uwagi na swoją genezę i treść walce tej odpowiadają u nas dwa rodzaje sprzeczności społecznych.

Po pierwsze — są to **sprzeczności między zasadami kolektywizmu, podstawami socjalistycznego modelu życia, zarodkami komunistycznego jutra — z jednej strony, a przeżytkami stosunków prywatnowłasnościowych, pozostałości kapitalizmu — z drugiej.**

Po drugie — są to **sprzeczności między zarodkami komunizmu, najbardziej dojrzałymi formami kolektywistycznych stosunków społecznych, potencjalnie silniejszym socjalistycznym „nowym" — z jednej strony, a z drugiej, tym co chociaż kiedyś było powołane do życia przez socjalizm, ale dzisiaj zestarzawszy się, przestało odpowiadać zmienionym warunkom i bardziej złożonym zadaniom.**

Inaczej mówiąc, pierwszy rodzaj sprzeczności jest jakby **odziedziczony po okresie przejściowym,** nosi na sobie piętno dnia wczorajszego; nie jest cechą organiczną rozwiniętego socjalizmu. Drugi zaś **jest wytworem samego ustroju socjalistycznego** i będzie, stale się zmieniając odradzał się także w przyszłości. Wysiłki naukowców powinny się skupić przede wszystkim na badaniu tego drugiego rodzaju sprzeczności.

Sprzeczności między nowym i starym mają, można powiedzieć, ogólnodialektyczny charakter i są **właściwe każdemu stadium procesu historii naturalnej.** Czyż jednak istnieją sprzeczności, które są charakterystyczne dla przeżywanego przez ludzkość zwrotu ku nowej formacji, dla socjalizmu jako jej pierwszej fazy i jakie są ich właściwości?

Tak, takie sprzeczności istnieją. Biorą się one stąd, że socjalizm po raz pierwszy przerywa żywiołowy, nie kierowany, ślepy bieg historii i kieruje go nurtem wytyczonym przez rewolucyjną naukę o społeczeństwie — komunizm naukowy, nadając jednocześnie temu procesowi świadomie celowy, coraz lepiej zaplanowany charakter. Przy tym w społeczeństwie zaczyna dawać o sobie znać sprzeczność, która wcześniej miała bardzo ograniczony charakter — **sprzeczność między coraz szerzej upowszechniającą się wiedzą, która w ścisłym związku z przodującą nauką modyfikuje sam proces historyczny, a żywiołowością, która uparcie stawia opór, bazując na ignorancji, fałszu i przesądach jako na swych „rezerwach".** Całkowicie zrozumiałe jest, że po stronie wiedzy zawsze stoi marksistowsko-leninowska awangarda sił rewolucyjnych, proletariat, który przekształcił się z „klasy w sobie" w „klasę dla siebie", dojrzałe w sensie światopoglądowym i politycznym warstwy ludzi pracy, zaś po stronie żywiołowości — zarówno zwykli reakcjoniści, jak i pozostałe elementy, które nie określiły dokładnie swej pozycji życiowej i dlatego nie potrafią oprzeć się najbardziej różnorodnym, czasami wzajemnie wykluczającym się wpływom.

Sprzeczność między świadomością i żywiołowością, ich zmieniająca się wzajemna więź ma tym większe znaczenie, że wraz z pojawieniem się marksizmu jako naukowej rewolucyjnej ideologii klasy robotniczej, a tym samym realnej możliwości poznania obiektywnych praw rozwoju społecznego, to znaczy gwałtownego wzrostu świadomości, zmieniają się stosunki między tymi prawami a racjonalną działalnością człowieka. O ile dawniej działalność z reguły musiała posłusznie dostosowywać się do praw, fatalistycznie przyjmując sprzeczności społeczne jako nieuchronne i nieusuwalne „zło", z istoty nie poddające się żadnemu rozumnemu wpływowi, to teraz nabrała ona aktywnego, twórczego charakteru.

Co więcej, okazało się, że dobra znajomość rzeczywistości społecznej przekształciła działalność, która taką znajomością się kieruje, w efektywny czynnik procesu historycznego. Nieprzypadkowo W. I. Lenin stawiał przed partią, jej przywódcami i ideologami zadania kroczenia na czele żywiołowego ruchu i wskazywania mu drogi, zdobywania umiejętności rozwiązywania wcześniej niż inni wszystkich teoretycznych i organizacyjnych problemów, na które napotykają „materialne elementy" żywiołowego ruchu. Aby rzeczywiście brać pod uwagę materialne elementy ruchu — radził Lenin — należy krytycznie odnosić się do nich i umieć wskazywać na niebezpieczeństwa oraz niedostatki żywiołowego ruchu; należy umieć podnosić żywiołowość do poziomu świadomości. Mówiąc, że ideolodzy (tzn. świadomi przywódcy) nie mogą zatrzymać ruchu wzdłuż drogi, określonej współdziałaniem środowiska i elementów — podkreślił on — to znaczy zapominać te banalną prawdę, że świadomość uczestniczy w tym współdziałaniu i tym określeniu. Udział świadomości jako nieodłącznego atrybutu rozwoju społecznego w wykrywaniu, badaniu i pokonywaniu sprzeczności socjalizmu stanowi jego samoistną cechę i jest jedną z jego największych zalet.

Są jednak sprzeczności, które nie sprowadzają się ani do walki nowego ze starym, ani do konfrontacji świadomości z żywiołowością. Charakterystyczną cechą takich sprzeczności jest to, że **żadna z tworzących ją stron nie może być uznawana za negatywną.** Przykładem mogą być sprzeczności powstałe w trakcie poszukiwania optymalnego połączenia prawa do pracy i obowiązków ludzi pracy, materialnych i moralnych bodźców do pracy, wskaźników produkcji w wyrażeniu naturalnym i wartościowym, terytorialnych resortowych zasad zarządzania, społecznych i państwowych pierwiastków w systemie demokracji socjalistycznej itp; słowem przy zmianie stosunku tych stron naszej rzeczywistości, które są nierozerwalne i nie do pomyślenia bez siebie nawzajem. Te sprzeczności są stałymi „satelitami" budownictwa socjalistycznego.

3.

Społeczne sprzeczności socjalizmu w odróżnieniu od społecznych sprzeczności kapitalizmu i innych społeczeństw prywatnowłasnościowych mają charakter **nieantagonistyczny.** Z tą tezą jako jedną z podstawowych prawd marksizmu-leninizmu do niedawna zgadzali się wszyscy socjologowie. Kierowali się oni znaną leninowską tezą mówiącą o tym, że antagonizm i sprzeczność to nie jedno i to samo. Pierwsze zniknie, drugie w socjalizmie pozostanie.

Czym różni się społeczna sprzeczność antagonistyczna od nieantagonistycznej? Po pierwsze — za sprzecznościami antagonistycznymi stoją wrogie sobie klasy, siły społeczne, których interesy w tej istocie są bezwzględne. Po drugie — takie sprzeczności możliwe są do pokonania jedynie w trakcie walki klasowej i likwidacji co najmniej jednej z wrogich stron, a to oznacza likwidację tych sprzeczności w ogóle (...)

W ostatnich latach ponownie ożyła **dyskusja o sprzecznościach w socjalizmie.** Jednakże w pewnej chwili zboczyła ona z drogi, którą wskazuje praktyka. I tak, niektórzy autorzy zaczęli, bez uzasadnienia, mówić o rzekomej możliwości przeradzania się nieantagonistycznych sprzeczności w sprzeczności antagonistyczne, mając na uwadze doświadczenia krajów, ciągle jeszcze przeżywających perypetie okresu przejściowego. Tak nieoczekiwane, uwarunkowane naruszenie marksistowsko-leninowskiego, konkretno-historycznego podejścia do zjawisk społecznych, przeniesienie na już zbudowany, a nawet rozwinięty socjalizm wykorzenionych przezeń cech społecznych okazało się bezpodstawne z punktu widzenia metodologii. Wynikła polemika, w czasie której uściślano niektóre aspekty problemów. Dotyczy to przede wszystkim podejmowania sensu kategorii **„antagonizm".**

Jeśliby być bardzo precyzyjnym, to marksizm-leninizm stosuje tę kategorię do zjawisk społecznych w dwojakim znaczeniu. Po pierwsze — według K. Marksa — jest to antagonizm mający swe źródło w społecznych warunkach życia jednostek. Taki antagonizm ma charakter społeczny i likwidowany jest razem z prywatnowłasnościowymi, opartymi na wyzysku stosunkami produkcji, w związku z czym nie jest on właściwy socjalizmowi. Ci, którzy przypisują go nowemu ustrojowi albo mieszają późniejsze etapy budownictwa socjalistycznego z okresem przejściowym, albo **nie odróżniają antagonizmu społecznego od indywidualnego.**

Ten ostatni jest szczególnym rodzajem antagonizmu mającego swe źródło nie w społecznych, lecz w indywidualnych (albo też grupowych) warunkach życia jednostek. Pod nim należy rozumieć **zaostrzenie konfliktu o charakterze lokalnym,** poczynając od wzajemnej nieprzyjaźni poszczególnych osób, a kończąc na przeciwstawieniu rozproszonych antyspołecznych elementów przestępczych społeczeństwu jako całości. Marks i Lenin, nie wykluczali możliwości tego typu kolizji w przyszłym społeczeństwie. Ponieważ antagonizm indywidualny nie jest „wbudowany" w socjalistyczne stosunki społeczne, a jego nosiciele nie stanowią odrębnej grupy społecznej, nie są niezbędnymi składnikami struktury społecznej socjalistycznego społeczeństwa, toteż mówimy o nieantagonistycznym charakterze sprzeczności w socjalizmie. Tym samym potencjalnych konfliktów bynajmniej nie tuszuje się, ale zapobiega próbom tworzenia wokół nich fermentu.

Lokalne konflikty były, są i jeszcze długo mogą istnieć w warunkach panowania stosunków produkcyjnych charakteryzujących się współpracą koleżeńską, wzajemną pomocą ludzi wolnych od wyzysku. Jeśliby chodziło tylko o to, nie byłoby o co się spierać. Jednakże gdy to w istocie banalne stwierdzenie zaczyna się podawać jako „odkrycie", przedstawiać jako wyraz naukowej śmiałości, zamierzając w stylu skostniałego dogmatyzmu stosować wobec socjalizmu tę terminologię, przy pomocy której opisywano poprzedzającą go kapitalistyczną formację, to przyjmowane to jest jako dziwne cofanie się myśli. Wywołuje to autentyczny i zrozumiały sprzeciw poparty całym doświadczeniem twórczości socjalistycznej i komunistycznej.

4.

Nieodzownym warunkiem prawidłowego, obiektywnego podejścia do sprzeczności w społeczeństwie socjalistycznym jest naukowo zgłębione, politycznie dojrzałe i świadome ich postrzeganie. Natomiast żywiołowa, bierna i fatalistyczna, wulgarnie materialistyczna ich percepcja nieuchronnie pociąga za sobą subiektywistyczne rozdmuchiwanie tych czy innych negatywnych zjawisk rzeczywistości socjalistycznej i wypaczenie jej ogólnego obrazu.

Sprzeczności socjalizmu nie można należycie zrozumieć poza mającym określony cel, kierującym się dialektyczno-materialistycznym światopoglądem procesem rewolucyjnym, ukierunkowanymi przeobrażeniami społecznymi. Umacniając socjalistyczne „nowe" wbrew sprzeciwowi kapitalistycznego „starego", partia i klasa robotnicza biorą pod uwagę dwie okoliczności.

Pierwsza z nich — to **konieczność zapewnienia pozytywnego kulturalno-historycznego dziedzictwa,** troskliwości wobec bezcennych dzieł ludzkiego geniuszu, które mimo swego dawnego pochodzenia i „starości" nie tracą aktualności i stanowią niezbędne elementy w podstawach nowej, komunistycznej cywilizacji.

Drugą okolicznością jest **konieczność odróżnienia tego, co spośród skazanego na zagładę „starego" podlega niezwłocznemu zburzeniu** (takimi są np. burżuazyjna machina państwowa i wielkokapitalistyczna własność środków produkcji) od tego, co nie może być usunięte w wyniku „kawaleryjskiego ataku" i szybko zastąpione nowym, z czym „nowe" musi przez pewien czas współżyć, dopóki nie zostaną zgromadzone wystarczające przesłanki i siły dla jego całkowitego i niepodzielnego zwycięstwa.

Wspaniałym wzorem świadomego stosunku do sprzeczności w nowym społeczeństwie jest leninowska wytyczna w sprawie jednoczenia przeciwieństw, która jako nieodłączny komponent nauki i sztuki zarządzania zachowuje swoje znaczenie także w warunkach rozwiniętego socjalizmu. W samej rzeczy, jak można świadomie i na czas, nie licząc na żywiołowy, brzemienny w nieprzyjemne niespodzianki bieg wydarzeń, pokonywać sprzeczności, jeśli się ich nie ujawni, odkrywając tworzące je przeciwieństwa i nie włączy ich w sferę własnej działalności. Przy tym zespolenie przeciwieństw okazuje się być rzeczą bardziej naturalną. Albowiem to, co się świadomie twierdzi, zaszczepia, rozpowszechnia zaczyna jednocześnie współdziałać z tym, co podlega wymianie, co jest wypierane elementami, stronami jednej i tej samej rzeczywistości, której kierunek określa partia, kierując się rewolucyjną teorią.

W niedawnych publikacjach na temat sprzeczności socjalizmu niektórzy autorzy za podstawową uznawali **sprzeczność między siłami wytwórczymi a stosunkami produkcji.** Chyba nie można uznać tego za nowość czy odkrycie. Przecież ukazuje się tu jedną z dawno znanych ogólnospołecznych sprzeczności, co ani o milimetr nie pogłębia naszej wiedzy o nowej formacji. Jednocześnie jakby na boku pozostaje „nośna" prawidłowość przejścia od kapitalizmu do socjalizmu oraz podnoszenie socjalizmu na coraz wyższy poziom dojrzałości — wszechstronne uspołecznienie pracy i produkcji, które są imponującym przykładem połączenia przeciwieństw.

Według klasycznego marksizmu-leninizmu odpowiednią dla socjalizmu bazą techniczną jest wielka produkcja przemysłowa ze ścisłym organicznym przystosowaniem różnych ogniw podziału pracy, z odpowiednią spoistą technologią. Tak rysuje się to w teorii. W praktyce rewolucje socjalistyczne w żadnym, jak dotąd, kraju nie zastały tak idealnego stanu gospodarki narodowej. Dlatego też socjalistyczne formy własności środków produkcji — ogólnonarodowa i spółdzielcza — czasami rozprzestrzeniały się i przyjmowały nie tylko w wielkiej produkcji przemysłowej, lecz także w tych sferach o gałęziach gospodarki, które pod względem techniczno-technologicznym nie w pełni dorosły do socjalizmu.

W przemyśle oznaczało to w szczególności umocnienie przodujących, kolektywistycznych stosunków produkcji i ogromny udział ciężkiej i niewykwalifikowanej pracy fizycznej, w rolnictwie — połączenie jej z szablonową prymitywną techniką, oraz systemem pracy na roli i w hodowli. Czasowo było nieuniknione zespolenie przeciwieństw, co, jeśli nie zapomniano o konieczności wszechstronnego doskonalenia sił wytwórczych i podciągania ich do poziomu form własności kolektywnej, dawało „symfonię" postępowego budownictwa socjalistycznego, jeśli zaś taka konieczność była ignorowana (jak to było w praktyce maoistowskiej), wróżyło to „kakofonię" subiektywnych błędów.

Dotychczas podobne zespolenie przeciwieństw, oczywiście ciągle zmieniających swe formy, stanowi cechę charakterystyczną polityki gospodarczej partii. Likwidacja ciężkiej i niewykwalifikowanej pracy w przemyśle oraz przekształcenie pracy na roli w rodzaju pracy przemysłowej, to znaczy pokonanie tworzonej przez to połączenie sprzeczności, jest z kolei najważniejszym warunkiem połączenia osiągnięć rewolucji naukowo-technicznej z socjalistyczną organizacją gospodarki, zakończenia uspołeczniania pracy i produkcji w praktyce, jak to wyobrażał sobie Lenin.

Zespolenie przeciwieństw jako zasada leninowskiej nauki sztuki zarządzania wyraźnie znajduje wyraz w centralizmie demokratycznym, przenikającym wszystkie ogniwa socjalistycznej organizacji życia społecznego ze stałym powiązaniem i przy dynamicznym współdziałaniu obu — zarówno demokratycznej, jak i centralistycznej — jego zasad.

W ostatnim czasie, szczególnie w związku z przeprowadzanym w wielu gałęziach eksperymentem gospodarczym wiele się mówi o zwiększeniu samodzielności zjednoczeń i przedsiębiorstw, po czym oczekuje się wspaniałych efektów gospodarczych. Niestety można spotkać też takie opinie, które przedstawiają pożądany stan na wzór duhringowskich komun gospodarczych niezależnych od siebie i konkurujących ze sobą na rynku. Jest to wyraz niezrozumienia leninowskiej zasady świadomego zespalania przeciwności, która jest gwarancją ich nieantagonistycznego współdziałania. Zupełnie słusznie ta miara samodzielności, na jaką pozwala się dolnym komórkom produkcji, łączona jest w dokumentach partyjnych z odpowiedzialnością przed społeczeństwem. Połączenie samodzielności i odpowiedzialności jako wzajemnie uwarunkowanych przeciwieństw następuje u nas nie żywiołowo, co wyklucza możliwość ich konfliktowego przeciwdziałania. W ten sposób świadome połączenie przeciwieństw jest forma działania prawa ich jedności i walki, mogącą wyeliminować sprzeczności w planowej gospodarce socjalistycznej (...)

„PRAWDA"

Dokończenie ze strony 1

1. PRZESŁANKI POLITYCZNE I CELE

Stosunek Niemiec do Polski nadal będzie określany zasadą: unikać konfliktów. W przypadku, jeśli Polska zmieni swą politykę — dotąd kierowała się tą samą zasadą — i zajmie pozycję stwarzającą zagrożenie dla Niemiec, wówczas nie bacząc na obowiązujący układ, może zajść konieczność ostatecznego rozrachunku z Polską.

W tej sytuacji nasz cel będzie polegać na tym, by rozgromić siły zbrojne Polski i stworzyć na Wschodzie warunki odpowiadające potrzebom obrony kraju.

Wolne miasto Gdańsk będzie, wraz z ogłoszeniem o konflikcie, uznane za niemieckie.

Dowództwo polityczne widzi swoje zadanie następująco: o ile to będzie możliwe należy odizolować Polskę, tj. wojnę ograniczyć do Polski.

Coraz silniej i silniej zaostrzający się kryzys wewnętrzny we Francji i wypływająca z tego faktu rezerwa Anglii są sprzyjające i mogą się w przyszłości nie powtórzyć.

Sytuacja terenów zdobywanych będzie zdeterminowana zadaniami militarnymi Niemiec. (W wyniku rozwoju dalszych działań może zajść konieczność zajęcia innych państw aż do starej granicy Kurlandii i włączenie ich do Rzeszy).

Nie można bez zastrzeżeń uważać Węgier za sojusznika Niemiec. Pozycja Włoch jest określona osią Berlin — Rzym.

2. WNIOSKI CZYSTO WOJENNE

Militarne cele wynikające z rozwoju niemieckich sił zbrojnych będą nadal określane na zasadzie przeciwstawianej im siły mocarstw zachodnich. Operacja „Weiss" jest tymczasem zalecwie uzupełnieniem do przygotowań i w żadnym wypadku nie powinna być rozpatrywana jako wstępny warunek zbrojnego konfliktu z zachodnim przeciwnikiem.

Izolacja Polski może być dokonana tym szybciej, im lepiej uda się rozpocząć wojnę mocnymi, paraliżującymi uderzeniami i jeśli w ich wyniku osiągnie się sukces.

Jednakże we wszystkich przypadkach ogólna sytuacja będzie wymagać podjęcia środków mających na celu obronę granicy zachodniej, północnego wybrzeża Niemiec i przestrzeni powietrznej nad nami.

W stosunku do państw ościennych, szczególnie dotyczy to Litwy, należy przedsięwziąć środki zabezpieczające, jeśli przez jej terytorium zostanie dokonany przemarsz wojsk polskich.

3. ZADANIA DLA SIŁ ZBROJNYCH

Zadaniem sił zbrojnych jest zniszczenie polskiego wojska.

Do tego celu konieczne jest niezbędne przygotowanie się do nagłej napaści. Rozkaz o tajnej lub jawnej mobilizacji będzie wydany możliwie jak najpóźniej, w dni poprzedzające napaść.

Siły wydzielone dla zabezpieczenia granicy zachodniej (patrz załącznik nr 1) nie mogą być wykorzystane dla innych celów.

Pozostałe granice należy wziąć pod obserwację, granicę z Litwą koniecznie zabezpieczyć.

4. DYSPOZYCJE DLA POSZCZEGÓLNYCH FORMACJI SIŁ ZBROJNYCH

a) Wojska lądowe

Operatywnym celem na Wschodzie jest zniszczenie polskiego wojska.

W tym celu na południowej flance należy wejść na terytorium Słowacji. Na flance północnej należy nawiązać łączność pomiędzy Pomorzem i Prusami Wschodnimi.

Przygotowania do rozpoczęcia operacji należy prowadzić z takim rozmachem, by można było nacierać istniejącymi jednostkami od razu nie czekając na planowane nadejście jednostek z mobilizacji. Należy przewidzieć sekretne przygotowanie tychże jednostek bezpośrednio w przeddzień ataku. Decyzję w tej sprawie pozostawiam sobie.

Czy siły przeznaczone dla „zabezpieczenia granic zachodnich" będą skierowane tam w pełnym stanie, czy też tylko częściowo, będzie zależeć od sytuacji politycznej.

b) Marynarka wojenna

Marynarka wojenna na Bałtyku winna wykonać następujące zadania:

1. Zniszczenie lub wyeliminowanie floty polskiej.
2. Blokada szlaków morskich prowadzących do polskich punktów oporu, szczególnie do Gdyni. Statkom neutralnym będącym w polskich portach i Gdańsku trzeba, z chwilą rozpoczęcia wojny, przedłożyć termin opuszczenia portów. Po jego upływie marynarka będzie miała prawo zastosować środki zaporowe. Należy liczyć się także z faktem, że ustalenie terminu opuszczenia portów przyniesie tym okrętom określone straty.
3. Zniszczenie polskiego handlu morskiego.
4. Zabezpieczenie niemieckich dróg łączących Rzeszę i Prusy Wschodnie.
5. Obrona niemieckich szlaków wodnych do Szwecji i krajów nadbałtyckich.

Operacja „Weiss"

6. Wykrycie i obrona — w miarę możności w dyskretnej formie — przed atakami sowieckich sił morskich prowadzonymi z portów fińskich.

Dla obrony wybrzeża i przylegającej do niego części Morza Północnego należy przeznaczyć odpowiednie jednostki morskie.

W południowej części Morza Północnego i w Skagerraku należy zgromadzić niezbędne środki zabezpieczające przed niespodziewanym atakiem ze strony mocarstw zachodnich. Muszą jednak te środki być ograniczone do niezbędnych. I muszą pozostać niezauważalne. Należy uczynić wszystko, by nie dopuścić do zaostrzenia sytuacji z tymi mocarstwami.

c) Lotnictwo

Siły powietrzne muszą być wykorzystane do napaści na Polskę.

Stoją przed nimi — oprócz zniszczenia w bardzo krótkim czasie polskich sił powietrznych — następujące zadania:

1. Dezorganizacja mobilizacji w Polsce i przeszkodzenie w planowanym ruchu wojska polskiego.
2. Bezpośrednie wsparcie sił lądowych, a przede wszystkim jednostek w chwili przekroczenia przez nie granicy.

Ewentualny przerzut sił powietrznych do Prus Wschodnich nie może przeszkodzić w nagłym ataku.

Przelot granicy winien być zsynchronizowany w czasie z operacją wojsk lądowych.

Nalot na port w Gdyni nie może być dokonany wcześniej niż po upływie czasu przeznaczonego na opuszczenie portu przez statki neutralne.

Podstawowe punkty obrony powietrznej należy zorganizować nad Szczecinem, Berlinem i okręgiem górnośląskim, a także nad Ostrawą Morawską i Brnem.

* * *

Dowódca OKW
OKW/WFA L-1
Tajna sprawa dowodzenia

Berlin 31.8.1939
Ściśle tajne
Tylko dla dowódców
Sprawa dowódcy sztabu
Doręczyć tylko przez oficera
Przygotowano 8 egz.
Egzemplarz 2.

Dyrektywa Nr 1
w sprawie prowadzenia wojny

1. Po tym, jak zostały wyczerpane wszystkie możliwości polityczne celem usunięcia na drodze pokojowej nieznośnej dla Niemiec sytuacji na granicy wschodniej, zdecydowałem się rozwiązać tę kwestię siłą.
2. Napaści na Polskę trzeba dokonać zgodnie z przeprowadzonym — według operacji „Weiss" — przygotowaniem, jednak ze zmianami, które dotyczą wojsk lądowych w związku z mającymi miejsce przegrupowaniami.

Rozdział zadań i cel operacji pozostaje bez zmian.

Dzień napaści: 1 wrzesień 1939 r.

Czas napaści: 4.45.

Czas ten dotyczy także akcji przewidzianych w zatoce gdyńsko-gdańskiej i na moście Dirschau.

3. Na Zachodzie sprawa zmierza ku temu, by odpowiedzialność za początek działań wojennych zwalić całkowicie na Anglię i Francję. Jeśli zdarzą się tam nieznaczne naruszenia granicy — załatwiać je lokalnie.

Przestrzegać skrupulatnie zagwarantowanej przez nas neutralności Holandii, Belgii, Luksemburga i Szwajcarii. (Dopisek ręczny: i Danii).

Bez mego specjalnego rozkazu w żadnym przypadku nie przekraczać granicy zachodniej Niemiec.

To samo obowiązuje na morzu wszystkich wojskowych i wszystko, co wiąże się z działaniami wojennymi.

Obronę lotniczą należy wpierw zabezpieczyć niezawodną ochroną naziemną na granicy Rzeszy uniemożliwiając naloty wrogich samolotów. Jednakże w walkach z pojedynczymi samolotami i małymi jednostkami przestrzegać, o ile to możliwe, granic państw neutralnych.

Jedynie w przypadku wprowadzenia przeciwko Niemcom dużo większych jednostek taktycznych francuskich i angielskich przelatujących nad terytorium państw neutralnych, w wyniku czego obrona powietrzna na Zachodzie nie może być zagwarantowana, zezwalam na przedsięwzięcie działań obronnych nad terytorium neutralnym.

Bardzo ważne jest natychmiastowe informowanie OKW o każdym przypadku naruszenia neutralności państw trzecich.

4. W przypadku gdy Anglia i Francja rozpoczną działania wojenne przeciwko Niemcom, wówczas zadanie operujących na Zachodzie jednostek będzie polegać na tym, by oszczędzały siły umożliwiając tym samym zwycięskie zakończenie wojny przeciwko Polsce.

W ramach tego zadania — uwzględniając istniejące siły — należy uderzyć we wrogie jednostki ich rezerwy ekonomiczne. Prawo wydawania rozkazu o ofensywie pozostawiam sobie.

Wojska lądowe utrzymują zachodnią rubież czyniąc przygotowania uniemożliwiające ominięcie przez przeciwnika zachodniego umocnień na północy, tj. wówczas, gdyby naruszył on neutralność Belgii i Holandii.

Marynarka wojenna prowadzi akcje przeciwko statkom handlowym, przede wszystkim angielskim. Dla nasilenia tych działań należy brać pod uwagę możliwość ogłoszenia stref zagrożenia. OKM melduje w jakich rejonach i na jakim obszarze należy ogłosić strefy zagrożenia. Tekst oficjalnego komunikatu w tej sprawie przygotować wspólnie z Ministerstwem Spraw Zagranicznych i za pośrednictwem OKW przedłożyć mi do zatwierdzenia.

Bezwzględnie zabezpieczyć wody Bałtyku przed wtargnięciem nieprzyjaciela. Dowództwo marynarki wojennej zadecyduje czy w tym celu należy zagrodzić minami wejście na Morze Bałtyckie.

Siły powietrzne w pierwszym rzędzie winny przeciwdziałać operacjom lotnictwa Anglii i Francji skierowanym przeciwko wojskom niemieckim i niemieckiej przestrzeni życiowej.

Na wypadek wojny z Anglią niezbędne jest przygotowanie operacji dla działań lotnictwa w celu zadania strat angielskiemu morskiemu importowi, przemysłowi wojennemu i transportowi wojsk do Francji. Wykorzystać sprzyjającą okoliczność dla zadania skutecznego ciosu w zgrupowania związków taktycznych marynarki angielskiej, szczególnie w okręty liniowe i lotniskowce.

Ataki na metropolię angielską przygotować tak, by w każdych okolicznościach móc uniknąć jakichkolwiek nieudanych operacji, podjętych nawet niewielkimi siłami.

HITLER

* * *

OŚWIADCZENIE NAUJOCKSA

Ja, Alfred Naujocks składam pod przysięgą niniejsze oświadczenie:

1. Od 1931 roku do 19 października 1944 byłem członkiem SS a także współpracownikiem SD od chwili jego powołania w 1934 r. do stycznia 1941 roku. Służyłem także w jednostkach SS od lutego 1941 do połowy 1942 roku. Później, od września 1942 roku do września 1944 roku pracowałem w oddziale gospodarczym dowództwa wojskowego w Belgii. 19 października 1944 roku poddałem się sojusznikom.

2. Około 10 sierpnia 1939 r. szef SD Heydrich wydał mi polecenie, by zainscenizować napad na radiostację w Gliwicach, blisko polskiej granicy i stworzyć pozory, że niby napad został dokonany przez Polaków. Heydrich powiedział: „Praktyczny dowód polskiej agresji jest konieczny dla obcej prasy i dla niemieckiej propagandy". Mnie polecono jechać wraz z pięcioma innymi współpracownikami SD do Gliwic, na umówiony sygnał od Heydricha opanować radiostację i utrzymać ją przez jakiś czas, z tym, by dać możliwość Niemcowi wygłosić przemówienie po polsku. Taki człowiek znajdował się w mojej dyspozycji. Heydrich powiedział, że to przemówienie winno zawierać następującą treść: nadszedł czas zbrojnego konfliktu pomiędzy Polakami i Niemcami; Polacy winni się zjednoczyć i zniszczyć wszystkich Niemców, którzy stawiają opór. Heydrich powiedział także, że w najbliższych dniach jest spodziewany niemiecki atak na Polskę.

3. Udałem się do Gliwic i tam oczekiwałem przez czternaście dni. Później poprosiłem Heydricha o pozwolenie na powrót do Berlina, ale kazano mi pozostać w Gliwicach. Pomiędzy 25 i 31 sierpnia odszukałem szefa gestapo Heinricha Müllera, przebywającego w tym czasie w pobliżu Opola. W mojej obecności Müller omawiał z pewnym osobnikiem o nazwisku Mehlheern plan granicznego incydentu, w czasie którego powinno się dokonać inscenizacji napaści polskich żołnierzy na żołnierzy niemieckich... W tym celu trzeba użyć niemieckich żołnierzy w liczbie np. jednej kompanii. Müller powiedział, że w jego dyspozycji znajduje się dwunastu albo trzynastu skazanych przestępców, na których trzeba włożyć polskie mundury, i trupy których należy pozostawić na miejscu zajścia po to, by udowodnić, że ci ludzie zostali zabici w czasie napaści. W tym celu zaplanowano pewien zabieg polegający na wstrzyknięciu trucizny, którą winien był dostarczyć zaproszony przez Heydricha lekarz, zaplanowano także, że trupy będą nosiły rany postrzałowe. Po zakończeniu incydentu, na miejsce zajścia trzeba sprowadzić przedstawicieli prasy i inne osoby; następnie trzeba opracować raport policyjny.

4. Müller powiedział mi, że otrzymał od Heydricha rozkaz by oddać do mojej dyspozycji jednego z tych przestępców dla wykonania zadania w Gliwicach. Umowna nazwa, którą określił przestępców, była „konserwy".

5. Incydent w Gliwicach, w którym brałem udział, miał miejsce w przeddzień napaści Niemiec na Polskę. O ile pamiętam, wojna rozpoczęła się 1 września 1939 roku. W południe 31 sierpnia otrzymałem telefonicznie od Heydricha umówiony znak, że napad na radiostację winien się odbyć tego samego dnia o ósmej wieczór. Heydrich powiedział: „W celu wykonania tego zadania proszę się zwrócić do Müllera po „konserwy". Zrobiłem to i poprosiłem Müllera, aby wydał polecenie, by potrzebnego mi człowieka dostarczono w pobliże radiostacji. Tego człowieka przynieśli, a ja poleciłem, by położono go u wejścia do radiostacji. Żył, lecz był nieprzytomny. Próbowałem unieść mu powiekę. Z oczu jednak nie mogłem stwierdzić czy żyje, ale zauważyłem, że oddycha. Ran postrzałowych nie widziałem, jedynie twarz była bardzo zakrwawiona. Był ubrany w ubranie cywilne.

6. Zajęliśmy, zgodnie z rozkazem, radiostację, wygłosiliśmy trzy- lub czterominutowe przemówienie za pomocą nadajnika pomocniczego, oddali parę strzałów z rewolwerów i wycofaliśmy się".

Foto: CAF—Archiwum

Opracował i przygotował do druku:
IWA

Robotnicy o systemie przyjęć na studia

1. SPORY O PUNKTY

Wprowadzone przed blisko dwudziestu laty punkty preferencyjne, przyznawane kandydatom na studia wywodzącym się z rodzin robotniczych i chłopskich, od samego początku wywoływały liczne zastrzeżenia, spory i dyskusje. Nie szczędzono słów krytyki systemowi dodatkowych punktów za pochodzenie społeczne jako naruszającemu zasadę równych szans wszystkich kandydatów, a jednocześnie podnoszono w jego obronie istotną tezę, że przedstawiciele podstawowych klas społecznych w społeczeństwie socjalistycznym — robotnicy i chłopi winni mieć ułatwienia w edukowaniu swych dzieci.

Zwolennicy punktów argumentowali ponadto, że przy pomocy preferencji wyrównuje się gorszą pozycję startową części młodzieży ubiegającej się o indeksy, bowiem dziecko robotnika czy chłopa nie może w domu rodzinnym uzyskać takiej pomocy w zakresie swego rozwoju, jak dziecko inteligenckie. Wreszcie wypowiadano również pogląd o niepożądanym z punktu widzenia społecznego samoreprodukowaniu się inteligencji.

W ferworze sporów zwykle już nie zajmowano się takimi szczegółami, jak w miarę precyzyjne określenie, kto może wykazać się jakim pochodzeniem. Syn lub córka robotnika po ukończeniu szkół, szczególnie wyższych, deklasowali się, bowiem w pierwszym pokoleniu inżynier, nauczyciel, czy wreszcie pracownik administracji nie mogli już z racji swej społecznej pozycji inteligenta „dać" własnym dzieciom punktów za pochodzenie.

Uczelniane komisje rekrutacyjne musiały rozstrzygać na podstawie zaświadczeń przedstawianych przez kandydatów, a wystawianych w miejscu pracy lub zamieszkania rodziców, komu punkty przysługują, a komu ich dać nie można. Powodowało to następnie odwołania, rozmaite interwencje oraz towarzyszące temu łzy, zdenerwowanie, czasami licytację zasług rodziców i dziadków. Dość wspomnieć, że w bieżącym roku kwestię przyznania punktów, a w konsekwencji przyjęcia na jedną z łódzkich uczelni musiał rozstrzygać sąd.

Złośliwa plotka, zapewne nie pozbawiona racjonalnych podstaw, głosiła, że w sprawie punktów za pochodzenie trzeba trochę pochodzić — tu i ówdzie, to odpowiednie zaświadczenie się uzyska. Wszystko to powodowało, że sami najbardziej zainteresowani — studenci, którzy otrzymali przy przyjęciu punkty, raczej woleli tego tematu w rozmowach z bezpunktowymi kolegami nie poruszać.

W minionym roku akademickim Ministerstwo Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki ogłosiło, że koniec z punktami, ale decyzja została zakomunikowana zbyt późno — stosowne przepisy przewidują, że warunki przyjęć należy podać do publicznej wiadomości co najmniej pół roku przed rozpoczęciem egzaminów wstępnych. Dlatego w roku 1984 po raz dziewiętnasty punkty za pochodzenie zostały przyznane, a władze resortu nauki problem rekrutacji na I rok studiów postanowiły poddać konsultacji społecznej w rozmaitych środowiskach, między innymi w zakładach pracy.

2. WYPOWIADAJĄ SIĘ PRZEDSTAWICIELE ZAKŁADÓW PRACY

Korzystając z decyzji o konsultacji wśród robotników zasad przyjmowania na studia, w dniach 7—10 sierpnia bieżącego roku przeprowadziłem w dziesięciu łódzkich zakładach pracy sondaż na ten temat. Na pytania ankiety udzieliło odpowiedzi **447 robotników** i techników zatrudnionych bezpośrednio w produkcji z **„Obrońców Pokoju"**, **„Marchlewskiego"**, **„Dzierżyńskiego"**, **„Pierwszej"**, **„Polanilu"**, **„Lido"**, **„Very"**, **„Teofilowa"** oraz **„Elty"** i **„Stomilu"**. Ponadto uzyskałem opinie od 50 inżynierów i pracowników administracji wymienionych zakładów, których odpowiedzi posłużyły do porównań z opiniami robotników.

W całej badanej zbiorowości, liczącej ogółem **497 osób**, było 47,5 proc. kobiet i 52,5 proc. mężczyzn, w wieku do 35 lat — 42 proc., 36—55 lat — 54,8 proc. oraz ponad 55 lat — 3,2 proc. W grupie robotników 35,2 proc. odpowiadających miało wykształcenie średnie, zwykle techniczne (w **„Verze"**, **„Polanilu"**, **„Teofilowie"** po blisko 50 proc.), 30,4 proc. zasadnicze zawodowe i 34,4 proc. podstawowe. W grupie porównawczej 38 proc. legitymowało się wykształceniem wyższym, a 62 proc. średnim i niepełnym średnim.

Godne podkreślenia wydaje się, że 406 uczestników sondażu (81,7 proc.) miało dzieci i aż 76,1 proc. osób z tej grupy wyraziło pragnienie, aby ich synowie i córki podejmowali naukę w szkołach wyższych. Tylko co dwudziesty spośród odpowiadających i mających dzieci wyraził opinię, że nie chce, aby one studiowały, a co piąty uznał, że jest mu ta sprawa obojętna.

Oprócz zebrania opinii za pośrednictwem ankiety, w dniach 13—15 sierpnia odbyłem w **„Elcie"**, **„Obrońcach Pokoju"** i **„Marchlewskim"** spotkania z przedstawicielami załóg tych zakładów. Wzięło w nich udział ponad 70 robotników, inżynierów i pracowników administracji, którzy po zapoznaniu ich z wynikami sondażu nie tylko, że je w pełni potwierdzili, ale także dodatkowo skomentowali i uzupełnili w swych wypowiedziach i ocenach.

3. OPINIE ROBOTNIKÓW O PUNKTACH

W odpowiedzi na pytanie — **co powinno decydować o przyjęciu na studia? — 80,2 proc. robotników uznało, że wyłącznie zdolności i wiedza wykazane na egzaminie wstępnym** (grupa porównawcza inżynierów i pracowników administracji — 80 proc.). Jedynie 16,8 proc. uznało, że nie tylko wiedza i zdolności, ale również i inne względy, na przykład pochodzenie społeczne kandydata (grupa porównawcza — 14 proc.), a 1,1 proc., że przede wszystkim względy społeczne, pozostali nie mieli zdania na ten temat.

Do zweryfikowania uzyskanych odpowiedzi służyło następne pytanie — **Czy pan(i) uważa za dobre rozwiązanie przyznawanie specjalnych punktów preferencyjnych kandydatom na studia pochodzącym z rodzin robotniczych i chłopskich?** Wprawdzie opinie uzyskane poprzez postawienie tego pytania nie są w pełni identyczne z odpowiedziami dotyczącymi głównego kryterium przyjęć na studia, ale jednoznacznie ukazują, co sądzą ankietowani o punktach. **Negatywnie na ich temat wypowiedziało się 54 proc. robotników** (grupa porównawcza — 74 proc.), natomiast zasadność przyznawania punktów za pochodzenie została uznana przez 38,2 proc. robotników (grupa porównawcza — 20 proc.) **Tylko 17,4 proc. opowiedziało się zdecydowanie za punktami**, są to zapewne osoby, które uznały, że obok wiedzy i zdolności trzeba uwzględniać także pochodzenie społeczne kandydatów na studia. Pozostali uczestnicy sondażu nie mieli zdania na ten temat (w grupie robotników — 7,8 proc., a w grupie porównawczej — 6 proc.).

Warto dodać, że jeden z robotników, opowiadający się za punktami za pochodzenie dopisał następujące wyjaśnienie swego stanowiska: **„tak, ale w zależności od rodzaju i kierunku studiów, np. punkty za pochodzenie chłopskie przyznawać tylko na studia rolnicze".**

Jeszcze wyraźniej brak akceptacji dla preferencji punktowych ujawnił się w odpowiedziach na pytanie — **Czy zasadny jest projekt przyznawania specjalnych punktów kandydatom na studia ze wsi i małych miast, bez względu na pochodzenie?** W grupie robotników 60,9 proc. odpowiadających odrzuciło taką możliwość (w grupie porównawczej 74 proc.), a tylko 29,7 proc. wyraziło gotowość uznania za słuszną propozycji tzw. punktów środowiskowych (w grupie porównawczej — 22 proc.).

Jedyny wyjątek dopuszczono w przypadku kandydatów na studia, którzy są sierotami, wychowankami domów dziecka lub żołnierzami po zasadniczej służbie wojskowej. Zdania były jednak podzielone: 52,2 proc. robotników uznało za słuszne przyznawanie takim kandydatom punktów, a 36 proc. za niesłuszne (w grupie porównawczej odpowiednio: 44 proc. i 42 proc.), przy czym generalnie zakwestionowano możliwość preferencji dla żołnierzy.

Na pytanie — **Czy sądzi pan(i), że zamiast przyznawania preferencji w postaci dodatkowych punktów lepszym rozwiązaniem mogłoby być organizowanie dla młodzieży pochodzącej z rodzin robotniczych i chłopskich specjalnych kursów przygotowawczych w uczelniach, poprzedzających egzamin wstępny, a mających na celu lepsze jej przygotowanie do studiów?** — odpowiedzi były jednoznacznie pozytywne. Spośród robotników za takim wyrównywaniem ewentualnych dysproporcji wśród kandydatów na studia opowiedziało się 75,4 proc. uczestników sondażu (w grupie porównawczej — 90 proc.)

Wydaje się, że jest to jasne zajęcie stanowiska w kwestii przyjęć na studia — ankietowani, negatywnie odnosząc się do systemu punktowego, uznali za lepsze i bardziej zasadne organizowanie przez poszczególne szkoły wyższe bezpłatnych kursów przygotowawczych dla młodzieży potrzebującej powtórzenia, utrwalenia lub uzupełnienia posiadanej przez nią wiedzy wyniesionej ze szkoły średniej.

4. DLACZEGO DZIECI ROBOTNIKÓW NIE IDĄ NA STUDIA?

Przy okazji pytań dotyczących systemu rekrutacji na studia uczestnicy sondażu do rozstrzygnięcia mieli jeszcze następującą kwestię: **Jakie są pana(i) zdaniem przyczyny, które powodują, że młodzież pochodzenia robotniczego i chłopskiego raczej nie podejmuje studiów?** Spośród podanych dwunastu rozmaitych przyczyn, odpowiadający mieli za zadanie wskazać ich zdaniem najważniejsze, ale nie więcej niż trzy, lub dopisać inne według nich ważne powody eliminujące młodzież robotniczą i chłopską już na drodze prowadzącej do szkoły wyższej.

Ustalona przez robotników lista pięciu najważniejszych przyczyn jest następująca:

1) kłopoty materialne rodziców uniemożliwiające utrzymywanie dorosłego dziecka przez okres studiów (49,9 proc.),

2) trudności w zdobyciu pracy po ukończeniu studiów (33,8 proc.),

3) niskie zarobki ludzi z wyższym wykształceniem (33,1 proc.),

4) chęć szybkiego usamodzielnienia się (28 proc.),

5) brak rodzinnej tradycji zdobywania wyższego wykształcenia (23,3 proc.).

Inne przyczyny, takie jak: niewłaściwa polityka państwa w zakresie kształcenia w szkołach wyższych, długotrwałość nauki, wpływ rodziców i otoczenia itp. otrzymały po mniej niż 20 proc. wskazań.

Spośród kilkunastu dodatkowych wpisów, jakich uczestnicy sondażu dokonali odpowiadając na omawiane pytanie, można przykładowo wymienić:

— „na studia proszę przyjmować tylko najzdolniejszych",

— „trudności z dostaniem się na studia",

— „niewłaściwe zatrudnienie ludzi po wyższych studiach",

— „ludzie z wykształceniem podstawowym zarabiają więcej niż z wykształceniem wyższym",

— „brak obsadzania ludzi po studiach na stanowiskach, którzy mają wybitne zdolności, a trochę inne poglądy i nie mają zaufania partii".

W grupie porównawczej lista pięciu najważniejszych przyczyn powodujących, że młodzież robotnicza i chłopska raczej nie podejmuje studiów jest bardzo podobna do wyżej przytoczonej:

1) niskie zarobki ludzi z wyższym wykształceniem (48 proc.),

2) stosunkowo niska ranga społeczna ludzi z wyższym wykształceniem (32 proc.),

3) kłopoty materialne rodziców uniemożliwiające utrzymywanie dorosłego dziecka przez okres studiów (28 proc.),

4) trudności w zdobyciu pracy po ukończeniu studiów (28 proc.),

5) chęć szybkiego usamodzielnienia się (22 proc.).

Jak z tego wynika główna różnica między opiniami robotników oraz inżynierów i pracowników administracji zakładowej na temat przyczyn zbyt małej liczby dzieci robotniczych i chłopskich ubiegających się o indeksy, sprowadza się do tego, że robotnicy wskazują wśród najważniejszych powodów brak rodzinnych tradycji kształcenia się, zaś pozostali odczuwają dyskomfort niskiej pozycji społecznej inteligentów.

Wskazane przez uczestników sondażu przyczyny, jak się wydaje, systemem preferencji punktowych oraz jego modyfikacjami nie dadzą się usunąć, a tym samym nadal będą hamulcem powstrzymującym dzieci robotnicze i chłopskie przed podejmowaniem trudu wieloletniego kształcenia się. Jest to jednak odrębne zagadnienie, przekraczające ramy artykułu informującego o wynikach sondażu na temat, co łódzcy robotnicy sądzą o przyjęciach na studia.

Mimo to na zakończenie pragnę wyrazić przekonanie, że bez podjęcia wspomnianych wyżej problemów, wszelkie dyskusje o składzie społecznym studentów i względnie niewielkiej liczbie dzieci robotniczych i chłopskich w murach uczelni, będą omijać sedno sprawy, zaś stosowane preferencje, nawet po daleko idących zmianach, jako ćwierć i półśrodki nie przyniosą spodziewanych rezultatów.

GRZEGORZ MATUSZAK

Aneks racjonalnie pesymistyczny

W charakterze aneksu do wypowiedzi „Studia dla idei?" („Odgłosy" nr 30/84) czuję się zobowiązany dodać, że Francja uchwałą swego parlamentu zaczyna (wreszcie!) odchodzić od zasady, iż matura upoważnia do zapisania się na wyższą uczelnię nie tylko bez egzaminów wstępnych, ale i bez oglądania się tak na potrzeby gospodarki narodowej i sytuację na rynku pracy, jak i na predyspozycje własne. Zainteresowanych problemem odsyłam do artykułu Marka Jabłońskiego „Reforma Krainy Absurdu" („Trybuna Ludu" nr 166/84).

Mam nadzieję, iż my, konsultując ostatni projekt zasad rekrutacji na wyższe studia wraz z pomysłem wprowadzenia matury upoważniającej do wstępu na wyższe uczelnie, nie zajmiemy tronu w „Krainie Absurdu", właśnie opuszczonego drogą abdykacji przez Francję. (Chociaż przyznam — pozycja króla nęci!). — Wyrażając tę nadzieję, płynącą z najszczerszej troski o naszą przyszłość, jednocześnie wiem, że ustąpi ona pola przed zmasowanym naporem egalitarystów, głoszących opinie w rodzaju (cytuję za „Prawo i Życie" nr 30/84): *„Wydaje się, że najkorzystniejszym rozwiązaniem problemu byłoby stworzenie takiej sytuacji, by na wstępny rok studiów przyjmować wszystkich chętnych ze świadectwem maturalnym"* (głos doktora psychologii) albo: *„Poszedłbym tutaj jeszcze dalej i postulował, by na studia mógł się zapisać każdy pracujący. Ci, którzy mieliby skierowania z zakładów pracy, korzystaliby z udogodnień w postaci urlopów, zwolnień, delegacji służbowych..."* (głos profesora prawa).

Już nie z dziesiątkami, lecz z setkami podobnych głosów, zwłaszcza opowiadających się za utrzymaniem i rozszerzeniem systemu preferencji za pochodzenie, zamieszkanie etc. zapoznać się można na łamach gazet od „Sztandaru Młodych" poczynając, i tygodników na czele z „Polityką". Doświadczenie podpowiada, iż opinie tego rodzaju, nader chwytliwe, zwyciężą w tzw. szybkich abcugach — zwłaszcza iż zostaną wsparte aplauzem dla pomysłu przyznawania studentom roku „zerowego" względnie „wstępnego" stypendium równego co najmniej średniej pensji w gospodarce narodowej. Dlaczego by nie, skoro „państwo", „gospodarka socjalistyczna", „rząd" — zapłacą? I płacą, oraz płaci: państwo, gospodarka, rząd, społeczeństwo i karzdy z nas osobiście a indywidualnie: gwoli realizowania pięknych pomysłów wielkodusznych egalitarystów — nie przyjmujących do wiadomości, iż każdy człowiek jest różny, a żaden nie jest identyczny z drugim. Zadbała już o to Natura — która od Prapierwotniaka osiągnęła poziom Człowieka właśnie dlatego, że na przestrzeni miliardów lat ewolucji świata ożywionego nie stworzyła dwóch identycznych osobników (pomijając ślepe zaułki partenogenezy i donikąd wiodące ścieżki rozmnażania wegetatywnego względnie przez podział). Jak bzdurne jest twierdzenie o jednakowych żołądkach Polaków — wszak jeden przepada za golonką, drugi za ogórkami małosolnymi, trzeci musi jeść kaszkę mannę z racji nabawienia się wrzodów — tak bzdurą do kwadratu jest twierdzenie, iż dla każdego pracującego powinno znaleźć się miejsce na roku „zerowym", względnie „wstępnym". *Ale niestety, my bzdurom chętne dajemy ucho!*

Obym okazał się złym prorokiem przeczuwając (wieszcząc?), iż w wyniku społecznej konsultacji (co to jest?) utrzymamy punkty preferencyjne wzmocnione kursami przygotowawczymi, rokiem zerowym skierowaniami (dla „równiejszych" wśród równych), a podbudowane studiowaniem w ogóle bez matury, za wyrażeniem jedynie chęci studiowania! Niby, dlaczego by nie? Lecz nie będę się mylił — ponieważ wiedza biologiczna, a zwłaszcza wiedza o naturze człowieka, jest, niestety, w społeczeństwie jako takim nikła, a właściwie zerowa wśród psychologów i prawników, nie wspominając urzędników ministerialnych. Stroniąc od uczenia się praw biologii, a zwłaszcza od poznawania praw socjobiologii my, w zamian, uwielbiamy nie tyle porywanie się z motyką na słońce, ile rozbijanie sobie głów o drzwi od dawna otwarte (przez innych). Na pewno zaś nie przepadamy za wyciąganiem nauk z własnych potknięć („błędów i wypaczeń") — nie mówiąc o uczeniu się na błędach innych, a także o wchodzeniu na ślady, pozostawione przez innych.

Socjalizm winien oznaczać równość praw, tj. równość na starcie, lecz nie równość dotarcia do mety! Tak właśnie czyni Natura: każde z tysiąca nasion dmuchawca ma jednakowe szanse, ale tylko nieliczne mogą tę szansę wykorzystać, oprzeć się presji czynników takich i owakich (destruktywnych!) — i wykiełkować, wyrosnąć, i wydać kolejne tysiące nasion. Znów powtarzam, że może to okrutna prawda, ale to po prostu prawda. Prostować nierówności powinniśmy na poziomie przedszkola; także na poziomie szkoły podstawowej, zwłaszcza zbiorczej. Prostować nierówności na poziomie uniwersytetu, politechniki, akademii sztuk pięknych — to chcieć mieć dzisiaj niegdysiejsze śniegi (pomnicie poetę, Franciszka Villona?). One stopniały pod słońcami lat ubiegających, i już nigdy nie powrócą. Nawet gdyby spółdzielnia „Szklary" uruchomiła produkcję nart „naj-" i „och" i „ach".

Jeżeli my chcemy naprawdę „dogonić", „dorównać" i „przegonić" (?), to przyjmijmy za dobrą monetę twierdzenie, iż rzeczywista selekcja kandydatów na wyższe studia odbywa się w przedszkolu, a także w Ministerstwie Płac i Spraw Socjalnych — ustalającym płace za machanie łopatą wyżej od płacy za nauczanie (patrz: Stefan Ciepły: „Z czego żyje nauczyciel?", „Życie Literackie" nr 32/84) i za myślenie koncepcyjne — zdolne w ogóle wyeliminować potrzebę machania łopatą (co za herezja!) przez człowieka, zwanego robotnikiem (patrz: automatyzacja, miniaturyzacja, komputeryzacja, a także: humanizacja stosunków produkcyjnych!). My, jak na razie, wolimy machać! — Machać na obiektywne prawa biologii (darwinowska „walka o byt"? — a fuj!), socjobiologii („górą jest najpracowitsze i najwytrwalsze"? — a fuj!), a także ekonomii; i machać na mijające nas ekspresy — a nuż zatrzyma się któryś?

Nie zatrzyma się. Żaden, niestety! Nie zabierze głów koronowanych, tj. pierwszych, w kralnie egalitaryzmu, zwanej także krainą absurdu. Historia wykazała bowiem, nie raz i nie dwa, że głowy takie, koronowane, bez wyjątku są bardziej „good for nothing" niż głąby kapuściane, ogryzione kaczany kukurydzy, itp. Pretensji moc — a mocy tyle, co kot napłakał. A także płakanie — nad rozlanym mlekiem.

Lecz my, właśnie, szczególnie najwyżej cenimy sobie takie płakanie kocie i desperowanie nad rozlanym mlekiem; a w najwyższej estymie, a także cenie, pozostają u nas właśnie krokodyle łzy. Właśnie dlatego, że nikt ich nie widział, i nigdy nie zobaczy. Przeto ja, osobiście, indywidualnie i bez wsparcia głosem „mas" (czytaj: rodziny, klanu, stowarzyszenia, zjednoczenia etc.), a za to z pewnym „jak w szwajcarskim banku" *votum separatum* Redakcji, czarno widzę nasz start do millennium trzeciego, rozpoczynającego się strzałami szampana na cześć odchodzącego roku 2000, rodzącego się roku 2001 — które to millennium, a przynajmniej pierwsze jego stulecie nazwane zostanie wiekiem (stuleciem?) Intelektu. Czystego! (O ile, oczywiście, unikniemy nuklearnej apokalipsy). Jak to millennium, a co najmniej pierwsze jego stulecie, cenić będzie machanie łopatą — jedni wiedzą już dzisiaj (wyobraźnia!), inni — zobaczą. Tego oglądania ja nie zazdroszczę nikomu — przywykłem był bowiem oglądać z pozycji orła. Tego piastowskiego, który święcąc triumfy — nigdy nie błagał o litość, ani o zatrzymywanie się ekspresów, lecz wolę swoją, a także siłę i moc narzucał — orłom jak wrony! My, jak na razie, wrony wolimy preferować!

J. STANISŁAW KNYPL

JACEK BINKOWSKI

Obok kilowatów rocka... (2)

Foto: Grzegorz Gałasiński

Przyjechała nas ponad setka. Z gazet codziennych, z tygodników społeczno-kulturalnych, z periodyków muzycznych, z telewizji, zarówno polskiej jak i zachodnioniemieckiej, austriackiej i amerykańskiej. Przyjechaliśmy do miasta, które przez kilka dni w roku jest kopalnią tematów dziennikarskich. Przyjechaliśmy do Jarocina pisać o muzyce, o modzie, o szpanie, o subkulturze, o poglądach na życie młodych ludzi zafascynowanych rockiem. Rock był dla nas punktem stycznym i tematem wyjściowym. Nie można pisać o młodych ludziach, którzy przybyli do Jarocina w oderwaniu od rocka, tak samo, jak nie można pisać o tej muzyce w oderwaniu od tego co się dzieje poza estradą.

Rock łączył ubranego w garnitur i krawat, naczelnika miasta z długowłosymi hipisami: tak samo jak ubrane w białe fartuchy panie sprzedające mleko z ubranymi w czarne kurtki punkami. Rock łączył właścicieli kolorowych czubów na głowie z facetami ogolonymi na łyso. Rock łączył, w czasie festiwalowych dni, umundurowanego milicjanta z chłopakiem, który miał ucho przebite agrafką...

Festiwal Muzyków Rockowych w Jarocinie przez kilka dni był wspólną sprawą dla czterdziestolatków, piętnastolatków, punków, hipisów, narkomanów, dziennikarzy, socjologów, lekarzy, niezależnie od ich wyznania, poglądów politycznych i wieku. Rzadko która impreza i rzadko które zjawisko jest w stanie stworzyć tak silne spoiwo dla tak różnych ludzi. O tej fascynującej i nie zbadanej do dzisiaj sprawie będziemy pisać w swoich gazetach, obojętnie czy zajmiemy się tylko estradą, czy tylko polem namiotowym albo jednym uczestnikiem.

Na konferencjach prasowych odbywających się codziennie pytaliśmy zarówno o ilość zespołów, ich poziom artystyczny, sposób kwalifikacji na festiwal, jak również o ilość sprzedanego mleka, reakcje mieszkańców, ilość wykroczeń zanotowanych przez milicję i porad udzielonych przez lekarzy. Pytaliśmy o moc zainstalowanych na estradzie kolumn, a także o ilość zarekwirowanych strzykawek, butelek z płynem do wdychania, noży, łańcuchów i „pieszczoch".

Pytaliśmy młodych uczestników o wrażenia związane z prezentowaną muzyką oraz ich poglądy na życie i stosunek do świata.

Pytaliśmy muzyków występujących w Jarocinie, co wyrażają poprzez swoją muzykę oraz o to, ile można na tym zarobić...

Najbardziej zafascynowani byliśmy punkami. Jak wszyscy. Podglądaliśmy ich tańczących, leżących, siedzących, podpatrywaliśmy co jedzą, podsłuchiwaliśmy co mówią. Fotografowaliśmy ich głowy, ich nabijane metalowymi ćwiekami kurtki, ich buty, ich spodnie. Kiedy natomiast dostąpiliśmy zaszczytu rozmowy, byliśmy tacy dumni siedząc z nimi w kółku. Czuliśmy się obdarzeni zaufaniem...

Zwykle za parę złotych albo za poczęstowanie ich papierosem mogliśmy się dowiedzieć, dlaczego noszą czarne skóry, dlaczego farbują włosy, dlaczego mają takie dziwne fryzury, dlaczego tańczą pogo... Za paczkę papierosów mogliśmy się dowiedzieć co punki sądzą o nas, o świecie, o systemie, o pracy, o szkole, o pieniądzach. Zapisywaliśmy skrzętnie w notesach ich sformułowania o hipisach, o popersach, o Bogu, o władzy, o milicji, o nauczycielach. A później, przeglądając kilkakrotnie notatki, próbowaliśmy napisać „punkową filozofię" — nie słysząc już ich drwiącego śmiechu. Bo tak naprawdę ci faceci w czarnych ubraniach i wysokich butach nie mają żadnej filozofii, ponieważ nie jest im do niczego potrzebna. I dobrze. W nas jednak tkwi potrzeba szufladkowania, będziemy więc pisać bzdury i pseudomanifesty wciśnięte w usta jakiegoś rozmówcy. Oni się nie obrażą, nie będą pisać sprostowań, bo mają wszystko serdecznie w dupie, również prasę i dziennikarzy.

Stworzymy różne obrazy festiwalu w Jarocinie. Będziemy pisali reportaże przepojone wstrętem i pogardą do tego typu imprez, reportaże złośliwe i agresywne. Albo napiszemy o Jarocinie z sympatią i zrozumieniem. Możemy też napisać, że w tym roku był prezentowany najwyższy poziom polskiej muzyki rockowej.

Jedno jest pewne, naszpikujemy czytelnika masą informacji, ciekawostek i faktów — ale dwojąc się i trojąc nie przekażemy nastroju, jaki tam panował...

SPOJRZENIE TRZECIE...

Jest was ponad dwadzieścia tysięcy. Mieszkacie w Jarocinie od roku, od piętnastu albo od czterdziestu lat. Macie piętnaście, trzydzieści i sześćdziesiąt lat. Pamiętacie więc pierwsze Wielkopolskie Rytmy Młodych, kiedy do waszego miasta przyjeżdżało kilka zespołów młodzieżowych i kilkaset osób publiczności. Dla was, starszych mieszkańców, również tamta muzyka była dziwna i niezrozumiała. Kiedy jednak przed czterema laty zorganizowano w ramach WRM — I Ogólnopolski Przegląd Muzyki Młodej Generacji — byliście całkowicie zdezorientowani, zaskoczeni i... zbulwersowani. Być może po raz pierwszy w życiu zobaczyliście tak dużo różnorodnej młodzieży, różnorodnych strojów i różnorodnych postaw. Kolorowe włosy, ogolone głowy oraz agrafki w uszach i w wargach były dla was szokiem. Pytaliście wtedy — o co im chodzi i skąd oni są? Skąd ONI przyjechali. Po raz pierwszy o młodych ludziach zaczęliście myśleć w kategoriach ONI. Byli dla was nie z tego świata, nie z tego kraju, nie z tego kontynentu. Po szoku przyszedł do was strach, nie bardzo przecież wiedzieliście z kim macie do czynienia. Zamykaliście przezornie okna, trzymaliście mocniej torbę i siatkę, wołaliście dzieci do domu na wszelki wypadek nie wychodziliście późnym wieczorem na rynek. Przez te kilka festiwalowych dni miasto jakby nie należało do was. Czuliście się niepewni i zagubieni w środku tego nowego świata, który do was przyjechał setkami pociągów.

Dzisiaj przyjmujecie ich już po raz czwarty. Zdążyliście się więc przyzwyczaić, macie inne spojrzenie. Z doświadczeń ubiegłych lat wiecie, że w trakcie trwania festiwalu w Jarocinie nie zwiększa się ilość przestępstw. Nie ma kradzieży, rozbojów i wybryków chuligańskich. Co prawda również i w tym roku na działkach w okolicach stadionu powołaliście straż obywatelską, ale już bardziej na wszelki wypadek niż z powodu strachu przed kradzieżą i dewastacją.

Po kilkuletnich doświadczeniach zdążyliście się już zorientować, że do Jarocina na Festiwal Muzyków Rockowych nie przyjeżdżają chuligani i złodzieje. Czasami was to dziwi że wśród piętnastu tysięcy różnych ludzi, z różnych miast tacy się nie znajdują, nie korzystają z tego rodzaju okazji.

To wam pozwala patrzeć na przybyszów z odrobiną sympatii, niekoniecznie z aprobatą. Traktujecie ich wszystkich; w czarnych kurtkach, podartych dżinsach i wystrzępionych koszulach po prostu z przymrużeniem oka, czasami z politowaniem. Bywają wśród was tacy, którzy twierdzą, że festiwal nadaje miastu swoisty koloryt, że przez kilka festiwalowych dni Jarocin jest kolorowy, radosny i bardzo młodzieńczy. Że przez te kilka dni przybysze z całej Polski nie pozwalają miastu na senność i czasami denerwujący spokój.

Mówicie:

— Dzięki tej imprezie nasze miasto jest już w tej chwili znane w całym kraju.

— Mamy możliwość poznania tego, czym żyją nasze dzieci i wnuki, co im przynosi radość.

— Czujemy się trochę młodziej, jak ta sześćdziesięcioletnia babcia, która już po raz drugi przyjechała do Jarocina jako uczestniczka festiwalu.

— Możemy poznać dużo nowych i fajnych ludzi, posłuchać najlepszych zespołów, poznać osobiście muzyków i zebrać autografy.

Tak już mówicie wy, najmłodsi jarocinianie. Dla was jest to bezwzględna frajda i przyjemność. Jesteście dumni, że mieszkacie w Jarocinie i czasami chwalicie się tym faktem gdzieś w Polsce. Nie odczuwacie małomiasteczkowego kompleksu. Uważacie nawet, że przez te kilka dni w roku możecie zobaczyć, usłyszeć i poznać o wiele więcej niż przeciętny mieszkaniec Łodzi lub Lublina.

Jesteście gotowi więc zatrudnić się jako służba porządkowa, żeby tylko mieć możliwość słuchania koncertów oraz kontakt z gwiazdami rocka. Zapisujecie w notesach adresy muzyków oraz umawiacie się z nowo poznanymi kolegami na inną tego typu imprezę w Polsce.

Dla was — najmłodszych mieszkańców Jarocina — festiwal jest świętem.

* * *

Jeżeli mieszkacie w blokach niedaleko stadionu, to słyszycie w swoich mieszkaniach wszystkie koncerty i narzekacie na brak spokoju i ciszy. Po kilku godzinach „mocnego grania" macie już dosyć rocka i „tej całej głupiej imprezy".

Narzekacie też na zakaz sprzedaży alkoholu w mieście i z tego powodu impreza zdecydowanie wam nie odpowiada.

Jesteście też zdenerwowani faktem, że „towarzystwo" tutaj przyjeżdżające demoralizuje wasze dzieci, które po festiwalu mogą zacząć ćpać, nosić przedziwne ubrania i golić sobie głowy.

Mówicie do dziennikarzy.

— Co oni wszyscy chcą zademonstrować, o co oni walczą — tacy nie domyci, wyflejtuszeni i obdarci?

— Jakich oni mają rodziców, skoro pozwalają im jeździć na takie „dziadowskie imprezy"?

— Dlaczego tymi „przebierańcami" nie zainteresuje się szkoła, kurator albo władza?

— Dlaczego pozwala się, żeby dobrze ułożona młodzież i pracujący obywatel musieli to wszystko oglądać!

Jest was spora grupa takich, którzy zdecydowanie są przeciwni imprezie. Twierdzicie, że nie należy tego typu „wygłupów" nazywać festiwalem, że to wszystko nie ma z tą nazwą nic wspólnego. Podpowiadacie żurnalistom, żeby napisali, że wy, jarocińska ludność, takiej imprezy już więcej u siebie nie chcecie...

Macie więc do imprezy bardzo różny stosunek. Aprobujący, tolerujący, raczej niechętny i zdecydowanie negatywny.

Jednak z roku na rok coraz chętniej pozwalacie rozbijać na swoich podwórkach namioty, udostępniacie pokoje, częstujecie zupą oraz kromką chleba z masłem. Widać też, jak uśmiechacie się przyjaźnie do tych „przyjezdnych brudasów i obdartusów". Coraz więcej przychodzi was pod wejście na stadion posłuchać wydobywających się ze stu kolumn kilowatów rocka.

Nie piszecie skarg do władz miasta i apeli o zaprzestanie organizowania Festiwalu w Jarocinie.

Nie chodzicie na milicję z meldunkiem o kradzieżach.

Nie macie generalnych zastrzeżeń do sposobu zachowywania się piętnastu tysięcy przybyszów.

Po prostu nie bardzo wiecie co jest naprawdę grane i o co w tym wszystkim chodzi. Od kilku lat nikt nie dał wam na to konkretnej i pełnej odpowiedzi...

SUPLEMENT

Na tegorocznym Festiwalu Muzyków Rockowych w Jarocinie wystąpiły 34 zespoły. W ostatniej chwili organizatorzy zrezygnowali z zaproszenia „Lady Pank", „Lombardu", Marka Bilińskiego oraz „Oddziału Zamkniętego" dochodząc do wniosku, że nadesłane do Jarocina kasety z nagraniami wniosły dużo nowego i fajnego rocka nie mającego nic wspólnego z komercją i szpanem. Postanowiono więc powrócić do źródeł nie zapraszając wielkich gwiazd, „bywalców drogich hoteli i bohaterów czołówek gazet". Wyjątek stanowił występujący pierwszego dnia zespół „TSA", w jakimś sensie wychowanek Jarocina (laureat Złotego Kameleona w 1981 roku).

Nie przyznano również nagrody publiczności wzorem lat ubiegłych jednemu zespołowi. Zwycięzcami „Jarocina 84" zostało 8 kapel: „Jaguar", „Kat", „Moskwa" (z Łodzi), „Ostatnie takie trio", „Piersi", „Prowokacja", „Rendez Vous" (z Łodzi) oraz „Siekiera".

Reżyser „Jarocina 84" — Walter Chełstowski powiedział na konferencji prasowej:

— Naszym zdaniem poziom zgłoszeń na festiwal był najwyższy w jego historii. Jesteśmy coraz bliżej odkrycia „Chopina XX wieku". Szczytowe ukoronowanie tego wszystkiego nastąpi wtedy, kiedy polski muzyk rockowy stanie się gwiazdą światową...

„Ojciec" festiwali w Jarocinie oświadczył też dziennikarzom, że była to ostatnia impreza robiona pod jego kierownictwem.

Bynajmniej nie ostatnia w ogóle.

Kto się z dzieckiem bawi w szpitalu?

Dokończenie ze strony 1

specjalistów. Nie wniesiono też żadnych zastrzeżeń co do sposobu leczenia. Zbadano dokładnie wszystkie dzieci znajdujące się aktualnie na oddziale, wykonano jonogramy, ekg i nie stwierdzono nic. Dokumentacja także prowadzona była bez żadnych zastrzeżeń. Jednakże istnieje podejrzenie, iż płyny użyte do kroplówki, robione w szpitalnej aptece, miały niewłaściwe oznakowanie.

Jerzy Grabski, prokurator rejonowy w Łasku:

— Śledztwo w toku, nie bardzo wiem, kiedy je można będzie zakończyć, jest to przecież okres urlopów. Przewiduję, że nie wcześniej jak we wrześniu. Sprawa jest niecodzienna, w trzydziestoletniej karierze zawodowej spotykam się z taką po raz pierwszy. Na tym etapie śledztwa nic konkretnego nie mogę powiedzieć, nie dysponuję wynikiem sekcji, żadnej ekspertyzy, czy nawet analiz.

Mimo wszystko należy się dziwić opieszałości prokuratury, płyny użyte do kroplówki do dnia 15 sierpnia jeszcze nie zostały wysłane do analizy... Tymczasem cały Łask został poruszony. W miasteczku aż roi się od najwymyślniejszych wersji wypadku — miejscowa opinia publiczna orzekła — dzieci zostały zamordowane! Żyje jeszcze w ludzkiej pamięci niedawna, bezsensowna śmierć dwuletniego, właściwie zdrowego Dominika w łęczyckim szpitalu, któremu w porę nikt nie zdążył przeszkodzić w wędrówce do mamy przez okno z czwartego piętra, a już kolejny wypadek, ale także i my nie przesądzajmy póki nie zostaną zbadane zawartości butelek z kroplówkami. Jest inne, nie mniej ważne zagadnienie — stan, w jakim przywieziono dzieci do szpitala, świadczy on najwymowniej o warunkach ich życia, dbałości rodziców. Wiele przecież jest wcześniaków, także wcześniaków bliźniaczych i jakoś tam się chowają, niektóre nawet nad podziw dobrze. Nie można ukrywać iż ogólny poziom higieny, kultury zdrowotnej społeczeństwa jest bardzo niski i w nim, między innymi, należy upatrywać przyczyn dużej śmiertelności niemowląt. Kobiety w ciąży palą, piją — dzieci rodzą się słabe, z wadami. Dodać do tego trzeba reglamentację, która nie w pełni pokrywa zapotrzebowanie naszych organizmów, całą kulejącą kuchnię domową. Nie bez znaczenia są również warunki hospitalizacji dzieci w przeciętnych szpitalach rejonowych, kliniki, wspaniale wyposażone, z kompletną wysoko wykwalifikowaną kadrą należą do wyjątków i nie mogą mieć większego znaczenia w ocenie ogólnego poziomu hospitalizacji milusińskich. Owszem, w telewizji widzimy oddziały kliniczne, oddziały centrum zdrowia dziecka, gdzie nad jednym maluchem pochyla się kilka twarzy, a uśmiechnięty, zadowolony dzieciak bawi się najbardziej wyszukanymi zabawkami. A jaka jest szpitalna codzienność dzieci, o tym najlepiej wiedzą matki, które choć na jeden dzień zmuszone były oddać tam dziecko. Nie piszę o tych, którym skalpel chirurga, czy zespół specjalistów uratował pociechę w nagłym wypadku, czy ciężkiej chorobie — to sprawa odrębna, ale o tych, co oddają maluchy z najprzeróżniejszymi schorzeniami, najczęściej nie zagrażającymi bezpośrednio życiu.

Przyjrzyjmy się lepiej szpitalowi łaskiemu. Pracuje w sytuacji trudnej. Nowy, liczy sobie zaledwie dziesięć lat a już wymaga kapitalnego remontu. Instalacja wodno-kanalizacyjna do wymiany! W pomieszczeniach pracowni rentgenowskich nie ma żadnej klimatyzacji, inne wymogi też są nie spełnione. Właściwie rentgen należałoby natychmiast zamknąć. Podobnie jest na każdym odcinku.

Aktualnie brakuje czterdziestu pielęgniarek, — tyle jest wolnych etatów. Ale z tych pracujących, co najmniej dziesięć jest codziennie nieobecnych: urlopy macierzyńskie, choroby dzieci, własne przepracowanie...

Przykładowo, na oddziale pediatrycznym, na którym nastąpiły zgony, jest zatrudnionych czternaście pielęgniarek, a pracuje jedynie pięć! To jest oddział maluchów, opieka powinna być wzmożona. Pielęgniarka nie usiądzie, nawet na chwilę, musi bezustannie krążyć po salach, obserwować, tutaj żaden pacjent nie naciśnie na dzwonek, gdy z sąsiadem zacznie dziać się źle. Niemowlaki, trzeba bezustannie przewijać, karmić. Karmi się także dwulatki i trzylatki. Wszystkim podaje leki, mierzy temperatury, obserwuje stolce i sadza na nocnik. Jak mogą pracować na dyżurze dwie pielęgniarki, bez salowej i wykonać wszystko na czas. Dwoją się, troją, lecą z nóg... Skarżył się dyrektor szpitala Co ma robić? Oddziału nie zamknie z powodu braku personelu, pozbawiłby niezbędnej opieki ogromny rejon. Ciągnie więc, ale jak długo można pracować w takim napięciu. Póki jest dobrze, nie zdarzy się nieszczęście, a w razie wypadku poniesie całkowitą odpowiedzialność — mógł zawiesić pracę oddziału, skoro nie było warunków...

A faktycznie czy są? Zdarza się często, iż dzwoni zrozpaczona oddziałowa z pediatrii — nie ma kim obsadzić dyżuru. I dyrektor biegnie, bo wie, że na schodach jeszcze spotka pielęgniarkę ubraną do wyjścia, która idzie do domu po ciężkim dniu pracy. Czy w takiej sytuacji może coś nakazać, zażądać. Nie, tylko prosi. Zostanie, zgodzi się za te dodatkowe kilkaset złotych?

Problem personelu średniego nie został rozwiązany. Trzysta złotych przyznane pielęgniarce za nocny dyżur w szpitalu nie mogą być żadnym magnesem. Z lecznictwa otwartego do szpitali pielęgniarki przychodzą bardzo niechętnie.

Ludzi nadal brakuje i brakować będzie. Tu w grę wchodzą nie tylko pieniądze, bo te są naprawdę niewielkie, niewspółmierne do trudu pielęgniarki, napięcia psychicznego, gdy wykonuje sama obowiązki co najmniej za trzy osoby, a odpowiedzialność za zdrowie, życie powierzonych pacjentów. Przy osobach dorosłych, można sobie jeszcze poradzić, ale przy dzieciach? Dlatego na słabo obsadzonych oddziałach pediatrycznych zdarzają się wypadki. Pielęgniarka też człowiek, przemęcza się, denerwuje, zwłaszcza w sytuacjach, gdy wszystko zależy od jej rąk, bo jest sama bez koleżanki, bez salowej i tak miesiącami. Śmiem twierdzić, że nie ma w kraju oddziału pediatrycznego w zwykłym rejonowym szpitalu, który pracuje w normalnych warunkach, przy pełnej obsadzie. Krach jest wszędzie. W Łodzi z braku personelu średniego zawiesza się okresowo pracę poszczególnych oddziałów pod byle pretekstem np. remontu. Tak było w Instytucie Pediatrii Akademii Medycznej. Okresowo nie pracował też oddział niemowlęcy w Szpitalu Gruźlicy i Chorób Płuc. Tylko stary, ciasny „Korczak" czuwa bezustannie, bez względu na wszystko. Należy wątpić czy w tak ogromnej aglomeracji jak Łódź, która cierpi na chroniczny brak łóżek szpitalnych można sobie pozwolić na luksus zamykania oddziałów dziecięcych. W końcu trudno wybrać, czy lepiej pracować źle, czy w ogóle nie robić nic, nie narażać siebie na konsekwencje, a pacjentów na pomyłki, które przecież mogą kosztować życie.

Oddziały pediatryczne należy szczególnie preferować, może nawet finansowo. Sytuacja musi się zmienić, dzieci powinny mieć absolutną opiekę. Resort zdrowia musi znaleźć rozwiązanie doraźne i przyszłościowe. Ostatnia regulacja płac personelu średniego w pediatrii na korzyść nie zmieniła nic ! na niej poprzestać nie wolno! Może by zatrudnić we wszystkich oddziałach opiekunki dziecięce i to w wystarczających ilościach, nie tylko w tych pokazowych. Zdjęłyby choć trochę obowiązków z pielęgniarek i zajęłyby się maluchami, bo przecież samotny dzieciak na korytarzu szpitalnym z palcem w buzi, łzami w oczach, to widok nader smutny, a już dwulatek uduszony w szafce, albo wychodzący z czwartego piętra przez okno, to sprawa obciążająca całe społeczeństwo. Czemu skąpimy pieniędzy na opiekę nad dziećmi w placówkach, które winny przywracać im zdrowie, a przecież zdarza się, że pozbawiają życia.

EDWARD BRYL

JOLANTA WROŃSKA

Cóś pięknego — czyli jaka jest Łódź

Co to jest sto sześćdziesiąt parę lat? To nie jest żadna historia. To tak, jakby Tytus Kopisch dopiero wczoraj stawiał swój bielnik na fabrycznym placu. Pierwsza większa fabryka w tym czymś, co miało dopiero się stać. Barwniki naturalne, hodowane na przyfabrycznym zagonie to był dobry pieniądz, ale Kopisch wdał się w niepewne interesy z... wojskiem i po kolejnym kryzysie wyleciał z interesu. Kopischa nie było, ale było to coś, co on swoją plantacją zaczął — a dziś na tym miejscu stoi katolicka katedra. Po drodze — zwabieni dogodnymi warunkami lokowania kapitałów, trafili tu Izrael Kalmanowicz Poznański, Ludwik Geyer, co sprowadził pierwszą maszynę parową, Uszer Kohn i tylu, tylu innych. Tak się zaczęło.

Ale tak naprawdę, na samym początku był tatuś-Pieniądz i mamusia-Koniunktura oraz szczery zamiar wykończenia konkurencji Zgierza i Ozorkowa. Bo wtedy to były metropolie przemysłowe, że ho, ho, albo i jeszcze bardziej. A tu rosło żytko. Chociaż.., są teoretycy którzy twierdzą jakoby już starożytni Rzymianie... a królowie polscy, zdrożeni wielce, spoczywali tu pod dębem. Niektórzy nawet zasłużyli się dla rozwoju i przywileje lokacyjne nadawali. Wszystko to kompleksy szaraczków dorabiających sobie herbową metrykę i grzebiących bezwstydnie w pomroce dziejów. Bo i cóż takiego zobaczył tu król Jagiełło lokując osadę rękodzielniczą w 1423 roku i wręczając biskupowi Janowi Pella „akt erekcyjny miasta Łodzi"? Zobaczył królisko parę kurnych chałup, drób łażący po gnoju i tyle. A woje Jagiełłowe dziewki miejscowe psowały, uszlachetniając miejscową rasę.

Potem było bardzo długo nic, póki Staszic z Rembielińskim nie umyślili sobie wesprzeć gospodarkę Królestwa Polskiego i gród fabryczny założyć zamiarowali. Po zaciętej walce konkurencję wygrało to „coś", zostawiając w polu taką na przykład metropolię łęczycką. Osadniki miały się tu zjechać tłumnie, tkając i przędąc na chwałę Korony. Takim sposobem

ZE ŚRODY NA PIĄTEK,

zrobiło się Miasto Rządowe Łódź w obwodzie łęczyckim, w mazowieckim województwie. Ziemia obiecana biznesmenów i złodziei, lichwiarzy i robotników, spekulantów, przekupniów, oczajduszów, geniuszów i świętych wszystkich parafii. Ziemia obiecana chleba, pracy i nadziei dla mrowia nędzarzy ciągnących tu zewsząd. Wieża Babel języków i obyczajów, kultur i religii szybko zakwitła niesłychanymi fortunami i niesłychanym wyzyskiem. Złoty Cielec dostał swój ołtarz i pasł się bez litości. Tak zaczęło się z niczego miasto, jak ze snu pijackiego, delirycznego. Bo co to jest te półtora wieku? Czy w taki czas może powstać miasto? Prawdziwe miasto?

Prawdziwe miasto rośnie powoli, wiekami, dojrzewa jak ciasto na chleb, pęcznieje, nasyca się zapachem, nabiera własnego, jedynego smaku. Prawdziwe miasto narasta jak słoje w drzewie kolejnymi warstwami. Najpierw rdzeniem drewnianym, najpierwszym. Potem kamiennym, romańskim i koronką strzelistego gotyku. Palone, grabione, odradza się, leczy rany historii, syci się frymuśnym barokiem, monumentem neoklasycznym. Powoli, pochodem ludzkich generacji mości się na trwanie solidne. Nawet gdy huragan zetrze je w pył to będzie już trwać zarodek istnienia miasta, odrodzi się na nowo patrycjuszowskimi kamienicami, fabrykami, setką wież kościołów. Fale ludzkie napływają, osiadają, znajdują swe nowe miejsce na życie. Powoli, świeża warstewka nowych mieszczan wsiąka w nowy obyczaj, uczy się brukowanych ulic, wysokich domów, innego rytmu od starych, zasiedziałych już mieszkańców. Każde prawdziwe miasto jest jak tort, gdzie kolejna warstwa przynosi inną wartość, wzbogaca glebę. Rytmem pokoleń, przypływów i odpływów ludzkich miesza się maceruje żywa tkanka miasta. Tak tworzy się twarz miasta, jego niepowtarzalny gdzie indziej klimat, jego esprit.

Bo miasto to przecież nie tylko kamienie. Nawet najpiękniej wymyślone i stworzone wyobraźnią genialnego architekta, rozumnie zaplanowane będzie martwe, gdy zabraknie mu własnych ludzi. Będzie piękne jak model wyzbyty nieudanych pomysłów, pośpiesznych przeróbek, szpetnych podwórek — świadectwa życia ludzkiego — i puste, jak skorupa. Trzeba wieków, by moloch wyrosły z żądzy pieniądza, znienacka, stał się prawdziwym miastem. A tu co? Czy Łódź miała czas stać się naprawdę miastem? Trzeba czasu, by nuworysze i nowobogaccy stali się miastotwórczą tkanką. Trzeba gleby soczystej, bogatej, by nowi ludzie mogli się tu zakorzenić przyjmując miasto za swoje, w dobrym i złym, nie tylko w tandetnym pozorze „miejskiego" przyodziewku i nuworyszowskiej pogardy dla wiejskiego gościńca, z którego ledwo co zeszli na brukowaną ulicę. Tam, gdzie u narodzin miasta stały nie wieki tradycji osadnictwa, skupiska handlu, lecz wyrozumowane racje, gdzie do chrztu trzymały miasto wykalkulowane względy koniunktury tam trzeba szczególnie dużo czasu, by miasto narodziło się naprawdę. Tam, miast bogatego, soczystego tortu, może wyrosnąć tylko

ŻYWIOŁOWY ZAKALEC.

Rozumne racje, przemyślane plany zbudowania nowoczesnego miasta, zamiary Stasziców i Rembielińskich, wszystko to utonęło w niepohamowanym pędzie żywiołu, pośpiechu, bylejakości ożenionej z wystawnością bogactwa na chybcika. Nikt nie był już w stanie zapanować nad rozrostem puchnących nędzą Bałut czy Widzewa, ani nad gargantuiczną brzydotą czynszówek śródmieścia. Między starannie zaplanowane budowle wlał się ocean cuchnącej ohydy i szybkiego zysku. Tu rządziły nie jakieś tam racje mądre, lecz bractwo bezlitosne — pieniądz i zysk, praca i spekulacja, wielka forsa i wielka nędza. Łódź, rozpęczniała z dnia na dzień, stała się mekką dla tych, co nie mając nic, szli tu, by gdzie indziej nie umrzeć z głodu, dla tych, co nie mając nic, chcieli zbudować fabrykę i dla tych, co mając wiele chcieli mieć wszystko. To miejsce nie miało żadnej gleby, żadnej pożywki. Wszystko było nieprzyzwoicie nowe, miasto i ludzie. Musiał z tego wyjść zakalec społeczności powstałej ze wszystkich dających się wyobrazić ras, kultur, obyczajów. Wydawać by się mogło, że to właśnie jest ta płodna, miastotwórcza mierzwa, z której wyrośnie człowiek „tutejszy", homo lodzeniensis. Ale ...nawet bogaty nawóz nie użyźni gleby sztucznie uklepanej na gołym kamieniu, którą byle wiatr rozegna na cztery strony świata. Na to trzeba czasu, a Łódź nie miała szczęśliwej ręki do historii. Nigdy na nic tak naprawdę nie miała czasu. Szybko musiała dać duży zysk jednym i chleb drugim, szybko zaczęło Łódź doić ile wlazło, nie przejmując się ani jej losem ani tym mniej wyglądem. Nie starczyło tu nigdy czasu, by bogactwo ludzkie przemacerowało się w łódzką społeczność. Był albo łódzki robociarz, albo łódzki fabrykant, albo łódzcy sklepikarze i byli straszni mieszczanie w strasznych mieszkaniach. Nieprzesiąkliwe, hermetyczne warstwy zakalca. Tak już zostało. Tamta przeszła hermetyczność warstw i dzisiaj jeszcze znamionuje społeczność miasta Łodzi. Nie ma tradycji nie było czasu, zmieniały się epoki.

Zapach Łodzi to była wystawna Piotrkowska, długo nie zbita piana nędzy, to były żydowskie knajpy z karpiem i pejsachówką, to była zamknięta solidarność robotniczych przedmieść. Nie było zapachu miasta lubianego, pielęgnowanego. Nie było społeczności łodzian... To nie jest teoria solidaryzmu klasowego, to jest teoria miasta.

Zaczęła pracować potężna pompa ssąca, drenująca ludzi i pieniądze. Stare grody przycichły, przyblakły bezsilnie złorzecząc wrzaskliwemu, nuworyszowskiemu molochowi. Wydawało się, że nastał złoty wiek dla Łodzi, era trwałej potęgi. Do czasu! Do czasu, gdy spełniło się marzenie nowych mieszczan o szerokiej drodze w świat. W połowie lat osiemdziesiątych zeszłego wieku uzyskała Łódź połączenie kolejowe z linią warszawską-wiedeńską. A że — jak mawiał Melchior Wańkowicz — cykl produkcyjny był kapitalistyczny, więc krótszy, w cztery lata stał już dworzec Fabryczny i zaczęła funkcjonować nieśmiertelna, jedyna w swoim rodzaju przesiadka w Koluszkach. Upłynęło trochę czasu i pompa ssąca zaczęła się przekształcać w tłoczącą. Wyszedł na jaw fakt straszliwy, brzemienny w skutki dla dalszych losów miasta.

Za blisko Warszawy!!! Nie żeby Łódź nagle zaczęła wymierać. Zbyt duże pieniądze były tu dla jednych i zupełny brak wyboru dla drugich. Tyle że puchł wstydliwie skrywany, ale głęboki kompleks Warszawy. Że stolica, że taka ważna i historycznie doświadczona, że taka prowincjonalnie pyszałkowata. Więc przebić Warszawkę. Nowoczesnymi rozwiązaniami komunalnymi, blichtrem Pietryny, złotym i tombakowym szynytem własnej bohemy artystyczno-kulturalnej. Nic nie pomagało. Warszawka dalej wzgardliwie kpiła ze szpetnej, młodszej siostry-robotnicy. Najzdolniejsi, najambitniejsi wyjeżdżali do stolicy, co najwyżej rzewno-boleściwie wspominając paskudne podwórka-studnie, na których się chowali, czy sławiąc „miasto kominów i ludu pracującego". Rosła Łódź proletariacka, przeklinana kochającą poezją Tuwima i Wandurskiego, szarzała Łódź — kulturotwórczy zalążek o ludowym rodowodzie. Wojna wymiotła wielkich biznesmenów, skarlał nowobogacki świat szybkich fortun. Przepadł, zgładzony świat żydowskich synagog, sklepików i knajpek. Błędy i wypaczenia do reszty wymiotły ślad po jarmułkach i szabasach. Znikł koloryt biedno-tandetny, po naszemu tragiczny i śmieszny, ale żywy.

ZOSTAŁA SKORUPA

ulic i domów. Zostało miasto jak lita skała wymieciona wiatrem z bogatej, miastotwórczej mierzwy, która znowu nie miała czasu wydać plonu. Łódź znów musiała zaczynać od nowa. W tę skorupę bez żadnych tradycji wlała się potężna fala powojennej migracji ze wsi. Przychodzili ludzie od nowa uczący się miasta i wyciskali swe piętno. Spore jest grono teoretyków ubolewających nad przewrotnym pechem Łodzi. W kraju startych na proch miast, to jedno właśnie, byle jakie i brzydkie, ostało się nietknięte. Gdyby zniszczyła je wojna, byłaby szansa stworzenia na nowo rozumnie pięknego miasta dla ludzi pracy, teraz po wojnie, gospodarzy w Polsce. Można by także zaorać całość równo z horyzontem i zaczynać od nowa... Nie można by! Niczego tak bardzo Łódź nie ma już dosyć, jak właśnie zaczynania od nowa. To jest jej przekleństwo i jej rzeczywistość. Krótki czas powojennej p.o. stolicy, serca życia kulturalnego, politycznego, naukowego — był dla Łodzi, jak musztarda zamiast obiadu, podarowany od historii chyba tylko po to, by łodzianie mieli się o co zaczepić pamięcią. Ech, bywało, bywało, że na Piotrkowskiej, w biały dzień widywało się najpierwsze nazwiska Rzeczypospolitej. Świat artystyczno-snobistyczny chadzał slalomem między nieprzeliczonymi lokalami z wyszynkiem przy pryncypalnej ulicy. Działo się moja pani w mieście Łodzi, a działo. I komu to przeszkadzało? Dziś smutek Piotrkowskiej i co najwyżej bar „Wrzos" na Retkini...

Wyniosła się w końcu stolica na własne gruzy, a Łódź, osowiała i niezbyt kochana w niedalekiej „centrali", wieść poczęła żywot porecznego sztandaru i symbolu. Chwalić potrafili wszyscy, głośno i uroczyście, zwłaszcza na akademiach, gorzej było z dofinansowywaniem sztandaru. Miasto odziewało pół Polski, samo zaniedbane, zdane na własne siły. Bliskość Warszawy znowu obracała się przeciwko Łodzi. Znalazła się w martwym polu inwestycji komunalnych, brzydła i pracowicie prezentowała wysiłek pracujących kobiet, tradycje walki robotniczej, próbując dogonić uciekający wiek dwudziesty. Coś się dłubało, coś zmieniało, biedny magistrat, z wiecznie pustą kasą próbował łatać i kleić, lecz nijak się to miało do wartości, jaką miało miasto dla gospodarki kraju.

To chyba wtedy narodził się smutny dowcip o największym mieście świata, o Łodzi, która dworzec kolejowy ma w Koluszkach, a lotnisko w Warszawie. Pęczniał kompleks Warszawy dający o sobie znać zadziwiającym zjawiskiem traktowania Łodzi jak trampoliny do kariery na stołecznych posadzkach, albo... jak miejsca banicji po poślizgu na tychże posadzkach. Puszczali Łódź w trąbę artyści i uczeni menagerowie przemysłu i polityki.

Co to jest półtora wieku historii dla miasta? Co to jest kilkanaście lat szybszych nieco zmian, wobec ogromu czasu takiego potrzebuje to przedziwne „cóś".

„NA ILE" TA ŁÓDŹ?

Pisał Wandurski o Łodzi.. *„Kamienne miasto, opiłe pracą, śni sen ciężki, kamienny..."*, bo jest to kamienny, wciąż jeszcze nie obudzony moloch. Szpetne miasto, szpetne jak nieszczęście. Niewiele jest miast tak bardzo jednorodnych w swym społecznym pochodzeniu, co mogłoby być... jest wciąż jeszcze szansą. Ale też niewiele jest miast tak doskonale wyzbytych własnej twarzy. To nie jej wina, to jej cecha. Tak ułożyły się losy, w których wiecznie brakowało czasu, by zza cyfr produkcji i zysku dojrzeć miasto i ludzi w nim żyjących.

Zdumiewająca, potężna, ponadmilionowa aglomeracja, wielki ośrodek naukowy i kulturalny, w którym rdzeń miasta, robotnicy, są najrzadszymi gośćmi teatrów, opery, bibliotek. Mimo czterdziestoletniej pracy powojennych uczelni, mimo istnienia znaczącego środowiska artystycznego, gleba miasta wydaje się być równie krucha i niebogata, jak za czasów Poznańskich i Kohnów. Być może wciąż pokutuje niefart łódzki, zakalcowata mieszanka społeczna, która jeszcze się nie przemacerowała. Słabe są więzi między poszczególnymi środowiskami, inne modele życia, inne ambicje. Przeważa jednak, co też zdaje się być łódzką specyfiką — model drobnomieszczańskiego stylu bycia i życia. Żadna to niespodzianka. Ci, którzy stanowią dziś trzon łódzkiej społeczności, w znakomitej części są miastowymi w pierwszym pokoleniu. A od kogoż mieli czerpać wzory zachowań? Od starych, patrycjuszowskich rodów łódzkich? Od starej, światłej i zorganizowanej części klasy robotniczej? Od zasiedziałej, znaczącej w klimacie miasta inteligencji? Wzorów nie było, bo i miastotwórczej tkanki nie było. Łódź ciągle jeszcze uczy się siebie, uczy się być sobą. Bo jest — jeszcze jest — nijaka, bez twarzy.

Łódź się zmienia, wiedzą o tym najlepiej jej starzy mieszkańcy, pamiętający bałuckie rynsztoki, czy choćby sielskie pola i sady Retkini. To już na pewno nie jest to samo ponure miasto kominów. Ale też znamienny jest i inny rys współczesnej Łodzi. Szpetne otoczenie wysysa z ludzi potrzebę piękna. Tego czystego, niekoniecznie praktycznego piękna. Ot, żyje się, chodzi znajomymi ulicami i nie zastanawia się — ładne to, czy nie. Zwyczajne i tyle. Na pewno częściowo warunki obiektywne, skromne możliwości przyczyniły się do tego, jednakże i w myśleniu tutejszych brak jest wizji miasta pięknego.

Łódź — dla jednych interior pełen egzotyki, dla drugich — tłum robotnic, wylewający się z „Marchlewskiego", dla jeszcze innych — złota żyła sklepikarskich interesów — ta Łódź, z trudem i w bólach dorabia się swojej własnej twarzy. Nim zakalec stanie się tortem, trzeba czasu. Nim hermetyczne światy środowiskowe przenikną się, nasiąkną sokiem miastotwórczej tkanki, trzeba czasu.

Może dopiero czas nadchodzący jest szansą tego miasta? Życzę więc Łodzi dużo czasu spokojnej pracy. A tym, którym nadepnęłam na odcisk pisząc niniejsze, dedykuję Tuwimowską zwrotkę:

„...Żył pewien poeta w Łodzi,
który ciągle na rzęsach
chodził.
Gdy go koledzy z płaczem
błagali —
chodź inaczej —
Powiedział „a co was to do
cholery obchodzi..."

Chciałbym to wiedzieć...

Kwalifikując do druku opublikowany obok tekst, zwróciliśmy w redakcji uwagę na pewną szczególną tezę, postawioną przez autorkę. Nasza redakcyjna koleżanka Jolanta Wrońska twierdzi mianowicie, że Łódź, chociaż drobiazgowo zaplanowana i obmyślona, błyskawicznie przerosła zamiary Ojców Założycieli, wymknęła się spod kontroli i przez półtora stulecia rosła żywiołowo, napędzana przez wielkie pieniądze; emocje, które w ten sposób doszły do głosu, chaos, przypadek i liczne sprzeczności interesów spowodowały, iż Łódź jako miasto ciągle jeszcze nie jest ukształtowana — słowem: jest organizmem in statu nascendi. Albowiem prawdziwemu miastu potrzeba wieków, by narastało jak słoje drzewa, by tworzyło swą społeczną odrębność, swoją „twarz"...

Mamy niepłonną nadzieję, że teza ta i użyte dla jej uwierzytelnienia argumenty wzbudzą drzemiące (a znane nam skądinąd) w wielu „lodzermenschach" niewyczerpane pokłady pasji polemicznej. Chętnie wszystkim udzielimy miejsca w gazecie.

Osobiście jestem skłonny zaakceptować tezę Jolanty Wrońskiej niemal z „dobrodziejstwem inwentarza" — to znaczy z niektórymi tej tezy konsekwencjami, acz bez obciążeń, wynikających zapewne z nadmiaru emocji.

Jednym z główniejszych obciążeń poglądu o niedorosłości Łodzi jest mit prowincjonalizmu. Mit ten funkcjonuje szczególnie silnie w rejonach kultury — twórczości i konsumpcji dóbr oraz upowszechniania wartości. A dodatkowo jest — w przypadku naszego miasta — wzmocniony przez geografię — ściślej: przez niepokojącą, bulwersującą i podniecającą jednocześnie bliskość Warszawy...

Ten wielki humbug, funkcjonujący od pokoleń w świadomości łodzian, co tu ukrywać, kładzie się sporym cieniem nie tylko na historię łódzkiej kultury — lecz przede wszystkim na jej współczesność. Na karb prowincjonalizmu i bliskości Warszawy złożono niemal wszystkie polityczne, gospodarcze i kulturalne „klęski" naszego miasta — i składa się je nadal. Pod hasłami prowincjonalnego kompleksu i warszawskiego „wyzysku" prowadzi się u nas rejestr strat (głównie personalnych) kultury łódzkiej, stolicę — a ściślej jej bliskość — obwinia się o drenaż środków oraz cywilizacyjne, urbanizacyjne i socjalne zapóźnienie Łodzi.

Ba, nawet niekłamane, autentyczne sukcesy celebruje się w naszym mieście jakby bojaźliwie, obstawiając je rozmaitymi zastrzeżeniami, robiąc „zasłony dymne" od Głowna do Rawy — byleby „warszawa" nie wejrzała nazbyt wnikliwie. Byleby nie uruchomić stołecznych mechanizmów ssących...

Wygląda to tak, jakby Łódź była sparaliżowana przez kompleks swego domniemanego prowincjonalizmu i warszawskie sąsiedztwo. Tyle że jest to paraliż urojeniowy, histeryczny. A środki lecznicze podejmowane przez niektórych co trzeźwiejszych łodzian mają wiele wspólnego z zaklinaniem deszczu, a nic z racjonalnym myśleniem.

W tym miejscu godzi się powiedzieć, że wcale liczna jest w naszym mieście grupa twórców, działaczy, animatorów życia publicznego — profesjonalistów i natchnionych amatorów, którzy w tej stołeczno-prowincjonalnej przepychance nie uczestniczą. Wyleczyli się z paraliżu — na ogół sami, na własną rękę, niektórzy po znachorsku, lecz wszyscy ze skutkiem gwarantowanym.

Ale dlaczego ci ozdrowieńcy nie przeciwstawiają się publicznie mitowi prowincji? To proste — jednym ze skutków terapii jest trwała zamiana „mówić" na „robić", w świadomości i codziennej aktywności.

Wszelako sedno tkwi w czymś innym — w zmianie punktu widzenia, odrzuceniu starych płaszczyzn rozumowania. Otóż w sferze kultury (a i w innych także) nie istnieje podział: prowincja-metropolia. Wyłącznie uprawniony jest inny podział — na „dobre" i „złe", jeśli można tak symbolicznie i dobitnie zarazem nazwać produkty i ludzi kultury (i nie tylko).

A zatem to obojętne, gdzie ulokuje się człowiek czy powstanie produkt, dzieło. Ważne są dwie rzeczy — jakość i droga do odbiorcy. O tej pierwszej, a zwłaszcza o kryteriach wartościowania, o ocenach krytyki oraz panujących w tej mierze modach i układach nie chcę pisać, bo to temat na osobne opowiadanie. Przyjmijmy zatem, że ten pierwszy etap przebiega normalnie, to znaczy uczciwie, bez wpływu czynników pozaartystycznych lub pozanaukowych: dobre — jest dobre, a tandeta — tandetą.

W tym miejscu zaczyna się coś, co nazywamy polityką kulturalną, tyle że w rozumieniu praktycznym (nie jako zbiór postulatów czy pobożnych życzeń...). Dzieło albo sam twórca musi dojść do publiczności, inaczej nie istnieje jako fakt społeczny.

W Polsce współczesnej, wbrew oficjalnym deklaracjom, przez dziesięciolecia wdrażano model kultury monocentrycznej, jakoby łatwiejszej do sterowania, nadzorowania i upowszechniania. System oparto o sztucznie wytworzoną, przygniatającą przewagę jednego, stołecznego centrum. Mechanizm ten, raz uruchomiony, objawia zadziwiająco długą inercję i będzie tak działał przez następne dziesięciolecia, już w sposób niejako naturalny i „obiektywny".

Zgodnie z jego prawidłami dzieła i twórcy kultury, poszukując publiczności, będą wędrowali w kierunku stolicy, albowiem tam (i poprzez stolicę) ujawnia się największe społeczne zapotrzebowanie na dobre produkty; może nie największe, lecz najsilniejsze, oferujące najlepsze gwarancje sukcesu o rozmiarach bardziej niż gdzie indziej uniwersalnych. Ergo: coś (lub ktoś) jest dobre nie dlatego, że jest w Warszawie, lecz dlatego jest w Warszawie, bo jest dobre... I na to nie ma sposobu.

Nie ma sposobu poza jednym — kształtowaniem innych centrów opiniotwórczych. Jeżeli oczywiście jest to potrzebne, a uważam że jest.

Powstaje tedy pytanie — czy to, co się dzieje w Łodzi, właściwie: to, co w niej robimy, stwarza szansę powstania samodzielnego, autonomicznego centrum kulturo- i opiniotwórczego? Wracam w ten sposób do istoty tezy Jolanty Wrońskiej — czy „społeczna gleba" miasta, które jeszcze się ostatecznie nie ukształtowało, nie jest nazbyt słaba, by unieść struktury, mające posłużyć spełnieniu takiego właśnie zadania?

Chciałbym to wiedzieć...

Z całą pewnością wiem natomiast, jakie zasadzki tkwią na drodze ku temu celowi. Jedną z nich jest na pewno pryncypialne sztywniactwo, nietolerancja wobec luzu, humoru, działań awangardowych, czy choćby niekonwencjonalnych. Ta łódzka solenność, niewola schematów, do tego interpretowana „klasowo" jest zmorą naszego miasta.

Ale nie tylko to — znacznie groźniejsze jest niebezpieczeństwo ucisku tandety, pod pozorami lokalnego patriotyzmu. Bywa, że „łódzkość" dzieł, akcji kulturalnych czy nawet ludzi, wystarcza jako jedyne kryterium wartościowości.

Gdyby to, co napisałem, miało być wyznaniem programowym, sednem naszej „odgłosowej" polityki kulturalnej (a po części jest...), to należy słowa te potraktować jako sui generis ostrzeżenie — albowiem wysoko sobie cenimy nasz adres zamieszkania, lecz jeszcze bardziej — prawdę.

TOMASZ SAS

Grupa Literacka Studentów Uniwersytetu Łódzkiego

Magdalena Kowalczyk

★☆★

— R.

Jakież tam wąwozy
Ściany i przepaście
Jakież tam zorze
I mgły wieczorem rozpięte
Jakaż tam muzyka
Co zimnem do krwi
I lodem do serca
Jakież tam słowa
W czystej formie dźwięczące
Jak w dzbanie
Jakaż tam pustka

★☆★

Znajdź mi wyjście
Ze smutku
Ale to już nie smutek przecież
Więc
Znajdź mi drzwi
Do uspokojenia
Do „snem odkrytej leśniczówki"
Więc
Znajdź mi drogę
Na tamtą stronę światła

Jan Kazimierz Sienkiewicz

Miłość

ostygłe słowa zniewagi
obrzmiałe milczenie
rozdarty krzyk ptaka
nawodnione koryto rzeki

październik 1983

Kiedy patrzę na ogród

Kiedy patrzę na ogród
żyję wspomnieniem swoim

ono jest we mnie
a ja w nim

jesteśmy niepodzielną jednością

Czuję się wtedy jak paw
któremu odebrano jedyny ogon

Wieloma ruchami przekory
odgrzebuję ziarna przejrzystości
i nie dzielę się z nikim
kto nie jest we mnie —
mną

maj 1984 rok

Mirosław Pisarkiewicz

Pożegnania

Lubię zaglądać ludziom w twarze
tak samo jak lubię skrywać swoją
żegnam cię człowieku mijający mnie
na ulicy
wchłonie cię sto namiętności
a mnie życie moje
będziesz jeszcze jednym elementem
w piramidzie pamięci
jeszcze jedną trawą na łące
powrotów
żegnam cię idący ku swoim
myślom
takim krzykiem żegna się syna
który nie wrócił
z wojny

Autokrytyka

Wrosłem w siebie jak drzewo wrasta w niebo
a anioły w pejzaż imaginacji
nie potrafię odejść
chociaż pali mnie ostatni zawój w czaszce
nie umiem uciec własnej wyobraźni

Jan Krzysztof Szczęsny

★☆★

niesyci łąsu
wrażeń rzeki
wracamy w objęcia domu
noc nas pędzi

★☆★

w objęciach deszczu
stary człowiek
chodzi po ogrodzie
głaszcze jabłonie
smutny
kaneluszem przegania
chmury
później z ręką na piersiach
rozmawia z Bogiem
o pogodzie

Dokończenie ze strony 1

dworku Chopina zaprezentowana została audycja słowno-muzyczna „Chopin w Mariańskich Łaźniach". Ciekawi wykonawcy, interesująca muzyka. Gwiazdą programu była bez wątpienia Alicja Marczak-Faberowa (mezzosopran) wspaniale wykonująca pieśni Chopina. Szczególnie ujmująca była interpretacja (zarówno tekstu muzycznego jak i słownego) pieśni „Leci liście z drzewa" skomponowanej do słów Wincentego Pola.

— Pieśni Chopina są piękne. To niesamowite piękno tkwi w ich prostocie — mówi Alicja Marczak-Faberowa. — Z ogromną radością staram się śpiewać te pieśni wszędzie tam, gdzie tylko mogę.

Brawa publiczności dla wykonawczyni łączyły się u niektórych ze łzami w oczach.

— Wykonanie pieśni było wspaniałe i przepiękne. Jestem młodym pianistą, studentem akademii muzycznej. Słyszałem wiele interpretacji tych pieśni, ale ta była unikalna w swej artystycznej wymowie.

— Jesteśmy przeszczęśliwe, że byłyśmy na takim koncercie — wtrąca jedna z trzech obok stojących starszych pań.

Tuż przed inaugracyjnym koncertem oficjalna delegacja złożyła kwiaty pod pomnikiem Fryderyka Chopina. A później przy wypełnionej po brzegi sali „Za muszlą" rozbrzmiewała już tylko muzyka Chopina.

Ewa Pobłocka, laureatka międzynarodowych konkursów pianistycznych w Vercelli, Bordeaux i Warszawie podczas jednego wieczoru wykonała z towarzyszeniem orkiestry Filharmonii Wałbrzyskiej pod dyrekcją Józefa Wiłkomirskiego obydwa koncerty fortepianowe Fryderyka Chopina. Z tego arcytrudnego — zarówno psychicznie, jak i fizycznie — przedsięwzięcia młoda, ale już w pełni dojrzała artystka wyszła zwycięsko i w glorii sukcesu.

— To był zupełny przypadek — wyznała bezpośrednio po koncercie pianistka. — Miałam wystąpić razem z kolegą, pianistą. Od dwóch lat byłam umówiona na Koncert f-moll. Kiedy dowiedziałam się, że mam zastąpić nieobecnego kolegę, myślałam o wypełnieniu zastępstwa koncertem Mozarta. Jednak przed kilkoma dniami zdecydowałam, że spróbuję zagrać kolejno obydwa koncerty. Starałam się uchwycić przede wszystkim różnicę między tymi koncertami.

Utworami zamykającymi festiwal były także te same koncerty Chopina, wykonane w tej samej kolejności, lecz przez innych wykonawców. Koncert f-moll grała Aldona Dvanoraite, a Koncert e-moll Christian Zacharias z RFN. Obojgu solistom tym razem towarzyszyła orkiestra Filharmonii Wrocławskiej pod kierunkiem Marka Pijarowskiego.

Publiczność gorąco oklaskiwała zmuszając nawet do kilku bisów Ch. Zachariasa. Ten 33-letni artysta nie miał szczęścia na VIII Konkursie Chopinowskim w Warszawie w 1970 r. — odpadł bowiem po II etapie. Jednakże wcześniej, bo już w 1969 roku został on laureatem II nagrody na Międzynarodowym Konkursie Muzycznym w Genewie, a w 1973 roku zdobył również II nagrodę na Konkursie im. van Cliburna. Lecz dopiero zdobycie w tymże 1973 roku nagrody im. Ravela otworzyło przed nim światowe estrady koncertowe.

Obok wspomnianych wyżej koncertów symfonicznych odbyło się w Dusznikach dziewięć recitali, w tym pięć poświęconych wyłącznie muzyce Chopina. Wzięli w nich udział pianiści z Polski, Austrii, Francji, Węgierskiej Republiki Ludowej, Wielkiej Brytanii i Związku Radzieckiego.

Niewątpliwie największym wydarzeniem festiwalu, granicącym z sensacją był recital francuskiego pianisty (z pochodzenia Cypryjczyka) Cypriena Katsarisa. Artysta ten o światowej dziś karierze, wygrał dwa poważne międzynarodowe konkursy muzyczne: im. Królowej Elżbiety w Brukseli w 1972 r. i im. Cziffry w Wersalu w 1974 roku. Uchodzi za wybitnego wykonawcę dzieł F. Liszta, F. Chopina, F. Schuberta i S. Rachmaninowa.

W programie recitalu artysta prezentował muzykę Schuberta. Recitalem tym, zwłaszcza wykonaniem pięciu pieśni (m.in. „Serenady" i „Pstrąga") udowodnił, że jest pianistą światowego formatu. Spod jego dłoni płynęła muzyka, choć dobrze znana melomanom, to jednak emanująca absolutną świeżością i odkrywczą interpretacją. Technika fenomenalna. Barwność gry — wprost nieziemska. Publiczność wypełniająca po brzegi salę i oblegająca dworek od zewnątrz — słuchała jego gry w takim napięciu, jakby zamarła z wrażenia. Kiedy opływający potem artysta zdjął dłonie z klawiatury — głęboka cisza trwała jeszcze kilkanaście sekund. Aż nagle rozległy się owacje i okrzyki niepohamowanego entuzjazmu wszystkich bez wyjątku.

— Wiedziałem, że tu w Dusznikach będzie dużo muzyki Chopina. Zaproponowałem więc muzykę Schuberta. Ale lubię bardzo Chopina i zamierzam w przyszłości nagrać wszystkie jego utwory na płyty — zwierza się z uśmiechem szczęścia na twarzy Cyprien Katsaris. — Polacy są cudowni, kochają muzykę...

Emocje, może nie tak spontaniczne i nieco innego rodzaju — gdyż połączone z głęboką refleksją — towarzyszyły projekcji filmu o Witoldzie Małcużyńskim. Autorami tego wspaniałego filmu są: Ludwik Perski i brat pianisty Karol Małcużyński. Film ten zrealizowany został z dużym pietyzmem i wyczuciem wielu subtelności. Okazał się bardzo interesującą retrospekcją zarówno dla tych co znają Witolda Małcużyńskiego z sal koncertowych, jak i dla tych, którzy poznają go tylko z jego nagrań utrwalonych dla radia i wytwórni płytowych.

— Dlaczego — pyta reżysera młody człowiek — nie robimy takich filmów o ludziach, kiedy oni jeszcze żyją i tworzą? Jeśli jest się wybitnym artystą, to czy trzeba aż umrzeć żeby zasłużyć sobie na film? Dlaczego tak się dzieje?

Właśnie... dlaczego? Dlatego nie znamy tamtych artystów, abyśmy znali innych!

Publiczność festiwalowa wiernie uczestniczyła we wszystkich imprezach podstawowych i towarzyszących. Z sympatią przyjęła spotkanie z Haliną i Wojciechem Dzieduszyckimi — zwłaszcza, że to ciągle żywa historia festiwali w Dusznikach.

Wśród publiczności nie zabrakło także wielu znanych twarzy. Na sali koncertowej i w alejach spacerowych Parku Zdrojowego spotkać można było: Bronisławę Kawallę, Tatianę Szebanową, rodziców Krystiana Zimermana, Barbarę i Piotra Palecznych...

— Słyszałem tutaj dużo bardzo dobrej muzyki — spostrzega Piotr Paleczny. — Wyjeżdżam przekonany o wysokim poziomie tegorocznego festiwalu.

Muzyki Chopina słuchali (a właściwie podsłuchiwali zza okien) i ci, którzy nie mieli szczęścia nabyć biletów. Ale i ten fakt uznany został przez nich za szczególny rodzaj szczęścia.

— Byłem tu ze swoimi kolegami z technikum w ubiegłym roku i dwa lata temu. To, że jestem tu dziś, wcale dla mnie nie było takie pewne jeszcze w dniu rozpoczęcia festiwalu. Otrzymałem przepustkę na jeden dzień. Jutro wracam do jednostki, lecz to co wysłuchałem będąc na zewnątrz wystarczy mi za cały festiwal. Katsaris to po prostu zjawisko — stwierdził z przekonaniem i zachwytem młody żołnierz w mundurze jeszcze bez dystynkcji.

Na festiwal przybyła także delegacja Towarzystwa im. F. Chopina z Gandawy, na czele z prezesem honorowym Robertem Vanderwege. Goście z Belgii żywo interesowali się festiwalem i postanowili tradycję „Nokturnu" — nocnego koncertu wszystkich pianistów — przenieść do Gandawy.

Festiwal duszniccki trwał tylko (i aż) pięć dni. Zakończył się w niedzielę, 12 sierpnia na krótko przed północą. Jest on o rok młodszy od Polski Ludowej i swój jubileusz czterdziestolecia będzie święcił w przyszłym roku. Skoro jubileusz — więc i plany przystające do tegoż. Ma więc czterdziesty festiwal trwać cały tydzień i już dziś potwierdziło w nim swój udział wielu laureatów konkursów chopinowskich — i nie tylko.

Oby przybyła ich jak największa liczba.

MARIAN STRZELECKI
JACEK WOLAŃSKI

Festiwal w Dusznikach

Ewa Pobłocka i Tadeusz Strugała *Foto: Marek Grotowski*

A jeśli do kina, to na co?

„PSY WOJNY"

— prod. amerykańska
Reżyseria: John Irvin
W roli tytułowej: Christopher Walker

Psy wojny — tym mianem określa się płatnych najemników, trudniących się wzniecaniem i prowadzeniem konfliktów wojennych, mających doprowadzić do przewrotów politycznych, w wyniku których ster władzy w danym kraju, gdzie działają najemnicy, przejmują marionetkowe kukły, całkowicie podporządkowane interesom wielkiego kapitału.

Ich działalność w krajach Ameryki Środkowej i Afryki posłużyła F. Forsythowi do napisania bestsellerowej powieści, na podstawie której Irvin zrealizował film.

„Psy wojny" odsłaniają kulisy przygotowań do przeprowadzenia zbrojnego przewrotu w fikcyjnym państwie afrykańskim o nazwie Zangaro, w którym odkryto bogate złoża platyny. W państwie tym rządzi przy pomocy wojska dyktator Kimba. Tak więc jest to sytuacja charakterystyczna dla tamtego obszaru geograficznego. Wielki kapitał pragnie zainwestować w Zangaro pieniądze, a jedyną drogą do zrealizowania tych celów jest dokonanie przewrotu.

Większą część akcji filmu zajmują przygotowania. Obserwujemy proces organizowania broni, lewych paszportów i odpowiedniego transportu. Zostaje puszczona w ruch machina, której ostatecznym celem jest zadawanie śmierci w imię jak największych zysków.

Film charakteryzuje się wartką akcją, przenoszącą się z kraju do kraju, z kontynentu na kontynent (Anglia, Francja, USA, Ameryka Śr., Afryka) oraz interesującą rolą Ch. Walkera, niepozornego fizycznie człowieka, który okazuje się być bezwzględnym mordercą, posługującym się swoistym honorem i zasadami. Nieszablonowe zakończenie filmu stanowi jego dodatkową atrakcję. Obecnie „Psy" są prezentowane na pokazach przedpremierowych. Mimo wysokiej ceny biletów warto ten film zobaczyć.

„A STAWKĄ JEST ŚMIERĆ"

Reżyseria: Yves Boisset
W rolach głównych: Gerard Lanvin, Michel Piccoli, Bruno Crener i inni.

„A stawką jest śmierć" należy do filmów demaskujących rolę i złowrogie znaczenie telewizji jako najpotężniejszego w oddziaływaniu na psychikę ludzką środka pośród wszystkich massmediów. Temat ten ostatnio bardzo często jest wykorzystywany przez reżyserów. Oglądaliśmy już także francuską „Śmierć na żywo" Taverniera oraz naszą „Wojnę światów" Szulkina. Sama „Stawka..." wykazuje liczne zbieżności z, niestety, nie prezentowaną u nas amerykańską „Siecią" (filmem niewątpliwie najpełniej analizującym rolę TV we współczesnym świecie). Zainteresowani mogą przeczytać wydaną pod tym właśnie tytułem powieść powstałą na podstawie scenariusza filmowego.

W „Stawce" zagrożona bankructwem sieć TV, ratując się przed krachem wpada na pomysł realizowania makabrycznych programów, polegających na swoistym polowaniu na człowieka. Wybrany drogą eliminacji pośród bezrobotnych ochotnik ma za zadanie dotrzeć do wyznaczonego miejsca. Jego śladem podążają osobnicy, których rola polega na zamordowaniu go. Jeśli uda mu się dotrzeć do celu, to w nagrodę otrzyma milion dolarów. Całość pościgu transmitowana jest bezpośrednio przez TV. Wszystko ma odbywać się według ustalonych reguł i zasad. Tymczasem okazuje się, że cały program jest pełną mistyfikacją, w której ofiara nie ma żadnych szans, a zadaniem programu jest zgromadzenie jak największej ilości telewidzów przed odbiornikami w celu prezentacji reklam.

Film jest niewątpliwie sprawnie zrealizowany, choć w swoim przesłaniu już w tej chwili mało odkrywczy.

„GRY W WOJNĘ"

prod. amerykańska
Reżyseria: John Badham

Drugi obok „Psów" film z wojną w tytule. Tym razem jednak jest to film o znacznie głębszym znaczeniu i ciężarze wynikającym z rangi problemu. Mianowicie chodzi o możliwość potencjalnego wybuchu konfliktu termojądrowego w wyniku niewinnych zabaw kilkunastoletniego chłopca, który podłączył się do centralnego systemu komputerowego armii amerykańskiej. Cały niezmiernie skomplikowany system obrony zaczyna nagle wyłamywać się z rąk ludzi nim kierujących. Dowództwo amerykańskie jest święcie przekonane, że ZSRR rozpoczął atak rakietowy. Tymczasem główny komputer w wyniku ułożonego programu nawet po wyjaśnieniu sytuacji kontynuuje grę, stwarzając bezpośrednią możliwość wybuchu trzeciej wojny światowej.

Po zdarzających się wypadkach awarii komputerów i fałszywych alarmów, jakie miały już miejsce film Badhama nabiera zupełnie nowych znaczeń.

Staje się ostrzeżeniem przed nadmierną ufnością w maszyny, które przecież są tylko maszynami, mogącymi w każdej chwili zawieść. Skutki takiej pomyłki mogą okazać się tragiczne.

„Gry w wojnę" oprócz ważkości problemu są bardzo dobrym filmem pod względem dramaturgii. Walka ludzi z czasem i maszyną trzyma w nieustannym napięciu widza. Wprawdzie można domyślić się, że wszystko tym razem zakończy się szczęśliwie i do konfliktu nuklearnego nie dojdzie, to jednak umiejętność rozłożenia akcentów dramaturgicznych sprawia, że widz daje się wciągnąć w tę grę, tym razem już nie w wojnę, a w kino!

Na uwagę zasługuje wprost kapitalne wykorzystanie w filmie komputerów, dających świetne efekty scenograficzne. A swoją drogą można tylko pozazdrościć krajom Zachodu stopnia komputeryzacji. „Gry w wojnę" są bardzo dobrym tego przykładem.

W. BĘDZIŃSKI

MONIKA WARNEŃSKA

Znak szczęścia 1

Spracowany „gazik" jadący prawie zygzakiem po drodze nierównej, wyboistej, podziobanej płytkimi lejami, podskoczył gwałtownie, zawadziwszy kołami o dół głębszy niż inne. Szofer ledwie utrzymał kierownicę. Obaj pasażerowie omal nie stracili równowagi. Skośnooki chłopak, siedzący na przednim siedzeniu obrócił się ku lekarzowi.

— Jak tam, panie doktorze? Nic się panu nie stało?

— Nic — odparł Witold, rozcierając łokieć, którym przed chwilą uderzył o metalową ramę.

— A ręka?

— Drobiazg. Mam naucz̨kę, żeby mocniej się trzymać.

— Tak to teraz jest — chłopak potrząsnął ciemną grzywą nastroszonych włosów. Mówił polszczyzną płynną, choć z obcym akcentem. — Normalnie przelecielibyśmy tę drogę w półtorej godziny, najwyżej w dwie. A tak, póki co, musimy tłuc się tymi objazdami. Ale już bliżej niż dalej.

Lekarz skinął głową. — Jak trudno się o nim czegoś dowiedzieć — pomyślał, patrząc na chłopaka, który powrócił do rozmowy z kierowcą. — Dobrze zna polski, nawet potoczne powiedzonka, chociażby takie, jak owo „póki co", albo „bliżej niż dalej". Musiał długo obracać się w naszym kraju, ale nie „puszcza farby". Jest przy mnie od pierwszego tygodnia pobytu i nic właściwie o nim nie wiem. Pytałem kiedyś, czy pochodzi z okolic nadmorskich, bo wiem, że nie urodził się w Hajfongu. — Tak, ale nie całkiem — odparł wówczas, nie kwapiąc się z udzieleniem dokładniejszych wyjaśnień. Co mnie to zresztą obchodzi? Jego sprawa...

Poprzedni wątek wspomnień urwał się, jak szarpnięta znienacka nitka. Witold mimo woli łowił uchem rozmowę tłumacza z kierowcą. Drażniło go, że nic z niej nie pojmuje.

Język wietnamski — śpiewny, dźwięczny, niezrozumiały, zdawał się tworzyć pomiędzy przybyszem a otoczeniem ruchomą, nieprzeniknioną ścianę. Pozorna łatwość alfabetu łudziła; nie od razu można było zorientować się w pułapkach, jakie stwarzały znaczki akcentów nad wieloma literami. Zagadnął kiedyś tłumacza, czy zdarza mu się spotykać cudzoziemców, władających wietnamskim. Thiet zaprzeczył, dodając z nikłym uśmiechem zdanie, które brzmiało trochę zagadkowo: — Nie wystarczy znać nasz język, żeby znaleźć wspólny z nami język... Chciał go wtedy zapytać, co właściwie ma na myśli, ale ktoś wszedł i rozmowa urwała się wpół zdania.

Tymczasem droga stała się jak gdyby nieco gładsza, „gazik" jechał nią znośniej. Witold stwierdził w duchu nie po raz pierwszy, że inaczej wyobrażał sobie kraj, w którym znalazł się prawie nieoczekiwanie. Owszem, czytał o nim i wiedział, że nie jedzie na odległe antypody po to, żeby oglądać widoczki, jak z lakierowanych pocztówek. Mimo woli jednak, wyruszając na półwysep u krańców południowo-wschodniej Azji skłonny był wyobrażać sobie wspaniałą zieleń, dżunglę, drzewa oplątane uściskiem zielonych pnączy, pętle lian, pióropusze palm — słowem cuda tropikalnej przyrody. Tymczasem... — Nic z tych rzeczy — stwierdził w duchu melancholijnie. Droga na przemian szara, żółtawa, miejscami przybierająca kolor brudnawej czerwieni. Zieleń wypełzła, zgaszona. Ugory porośnięte chwastami, krzakami i wysoką trawą. Stojącą wodę gęsto pokrytą zielskiem, przypominającym rodzimą rzęsę. Drzewa okaleczone, pościnane ukośnie. Zniekształcone korony palm. Na mijanych polach liczne lejowate doły — okrągłe, szerokie, podobne do kraterów. Wydrążył je błyskawicznie potężny, raptownie spadający z wysoka ciężar.

Poza bukietami bambusów wyłania się strzecha z zeschłych liści palmowych — szara, zapyziała, nachylona nisko nad powierzchnią gruntu, osłania nie chatę, lecz głęboki, czworoboczny dół wykopany w ziemi. Kiedy samochód zwalnia biegu, powietrze zalatuje odorem wilgoci, pleśni, nierzadko spalenizny. Opustoszałe pola ryżowe, z których zebrano plon, wyglądają posępnie. Rzadko widać na nich ludzi. Bosonogi wieśniak brnie przez grząski szlam w ślad za szarym bawołem. Znowu bawół, którego popędza pastuszek przyodziany w pelerynę upleciona z liści. Na bocznej ścieżce mignęła sylwetka dziewczyny w stożkowatym kapeluszu. Biegnie posuwistym truchtem, dźwigając na ramieniu drążek obciążony dwoma koszami. Jej krok, drobny, rytmiczny, podobny do tanecznego pląsu, ma niepowtarzalny wdzięk. Już znikła. Po jej odejściu pole wydaje się jeszcze bardziej puste.

Wąskie usypiska grobli i czarne smugi świeżo wykopanych rowów przecinają pola, ciągną się wzdłuż drogi. Gdzieniegdzie widać kopczyki ze sklepionymi otworami prowadzącymi do podziemi. To schrony. — Ciekawe, czy naprawdę mogą one ocalić człowieka, który zdąży się w nich ukryć? Tłumacz twierdzi, że skutecznie osłaniają przed rozpryskującymi się odłamkami bomb, które w Wietnamie nazywane są bombami kulkowymi, działają zaś jak szrapnele. O bombardowaniach słyszy się co dzień, mowi o nich miejscowe radio i prasa, przestrzegane są ściśle przepisy dotyczące czasu podróży, nawet ubioru ludzi — nie wolno nosić odzieży o jaskrawych kolorach, wyraźnie odcinających się na tle szarawej zieleni. Alarmy powtarzają się często. Dotychczas jednak Witold nie przeżył nalotu.

Ostatnio — wedle zgodnego mniemania Wietnamczyków i rodaków z ambasady — panowała cisza, jak gdyby przed burzą. Ciekawe, czy na długo...

Korzystając z jazdy po równiejszej drodze, Witold wyjął notes i przerzucił gęsto zapisane kartki. Udało mu się załatwić wszystko, zarówno rozmowy w ministerstwie, jak odbiór listów, leków i witamin. Rozmowy stanowiły dogodny pretekst dla wyjazdu do Hanoi. Skorzystał z niego chętnie. Któż zresztą nie chciałby wyrwać się ze statku, tkwiącego beznadziejnie na redzie, z dala od brzegu! A listy, na które chłopaki tak czekają! Kapitan początkowo twierdził, że pocztę można odebrać za tydzień, będzie jej na pewno więcej tuż przed świętami... Ale jeśli już zdarzyła się okazja wcześniejsza, tym lepiej! Brezentowa torba, którą wiózł Witold, zawierała pokaźny pakiet korespondencji — i jeszcze jeden list, który doręczono mu w ostatniej chwili. Zwalisty, niedźwiedziowaty inżynier — Rosjanin, siedzący na stołku w pustawym barze hotelowym ożywił się natychmiast, gdy mu powiedziano, że polski lekarz wraca do Hajfongu.

— Ty na statek? — zagaił bez dłuższych wstępów. — Gdzieś koło was stoi nasz t i e p ł o c h o d „Babuszkin". Możesz tam podrzucić list? W ostatniej chwili, kiedy już byłem na lotnisku, przybiegła znajoma, Olga Grigoriewna Łagunowa. Jej mąż jest na „Babuszkinie"...

— Doktor Borys Łagunow, wiem — potwierdził Witold, obiecując jak najszybsze doręczenie listu. Statki znajdują się blisko siebie, załogi pozostają w stałym kontakcie. Inżynier ucieszył się: — O t l i c z n o! Olga Grigoriewna tak prosiła!...

Dojeżdżali ku ruinom, które niegdyś były sporym i zapewne ruchliwym miasteczkiem, gdy nagle w powietrzu dał się słyszeć charakterystyczny pomruk, a w ślad za nim przeciągły, posępny ryk syreny. Kierowca nacisnął pedał gazu, samochód przyspieszył biegu. Tłumacz zerwał się i wychylony na zewnątrz gazika w pozycji prawie akrobatycznej czujnym spojrzeniem mierzył niebo. — D i! — ponaglał szofera, który i bez tego gnał, wyciskając ze sfatygowanej maszyny wszystkie siły. Powietrze wciąż dygotało ponurym echem sygnałów alarmowych. — Zdawało się, że dobrniemy bez przeszkód, zwłaszcza przy takiej pogodzie — myślał Witold, patrząc na szare, nieprzeniknione niebo. — Ale przy ich technice...

Wyskoczyli z hamującego pojazdu. Na tle szarych, brudnopłowych daszków, zrujnowanego żółtawego muru i plecionych opłotków, z daleka odcinała się wyraźnie przyjemna dla oka rozległa plama soczystej zieleni, przetkanej pasmami innych kolorów. Z boku kopiec przykryty darnią przypominał kształtem dawne piwnice obok chat wiejskich w kraju. Ktoś stał w pobliżu pionowego otworu — i widząc biegnących, przyzywał ich skinieniem dłoni.

— Prosto, doktorze! Tam, gdzie te grządki, gdzie ten człowiek!

Powietrze przeciął donośny wizg, jakim dają znać o sobie raptownie zniżające się samoloty o ponaddźwiękowej szybkości. Witold miał ochotę przypaść instynktownie ku ziemi, lecz opanował się — i umyślnie zwolnił kroku. — Słychać je, to znaczy, że są już dalej — pomyślał. A on? — zapytał na głos.

Te słowa dotyczyły kierowcy, który wprowadzał samochód pomiędzy kępy zarośli i drzewa pokaleczone odłamkami.

— On przybiegnie za nami. Szybciej!

Zdyszani dopadli otworu, z którego powiało piwniczną stęchlizną. Lekarz chciał pozostać u wejścia, ale chłopak sprzeciwił się temu stanowczo.

— Do środka, doktorze! Natychmiast!

— Ależ...

— Nie ma mowy! Ja za pana odpowiadam.

Chcąc nie chcąc Witold wsunął się w głąb schronu. Tymczasem kierowca zdążył nadbiec — i obaj z tłumaczem usiedli po tutejszemu, na piętach u wylotu piwnicznego. Nie odrywając wzroku od nieba, przerzucali się półgłośnymi zdaniami, z których Polak nie rozumiał ani słowa. — W jakim kierunku poszły samoloty? Czyżby właśnie na Hajfong?

Coś poruszyło się wewnątrz schronu, który nie był tak ciasny, jak początkowo można było sądzić. Rozejrzawszy się dokoła, Witold spostrzegł wystrzępioną matę, mocno złachany koc, jakąś miskę, garnek, wyszczerbioną czarkę na ryż — i bosonogiego człowieka, który przykucnął w kącie. Był to szczupły, niewysoki wieśniak z rzadką siwą bródką, jaką zazwyczaj pielęgnują Wietnamczycy przekroczywszy wiek, w tym kraju uważany za podeszły, czyli sześćdziesiątkę. Odziany był po chłopsku, w zniszczoną bluzę i brunatne spodnie. Napotkawszy wzrok przybysza, odpowiedział mu łagodnym uśmiechem i coś zagadał. Lekarz rozłożył ręce. Pojął tylko jedno słowo: L i e n - x o, co znaczyło „rosyjski", a raczej „radziecki". Tłumacz usłyszał pytanie i zaprzeczył. Padły dwa słowa B a c s i B a L a n. Tyle zrozumiał. Wiedział, że to znaczy: lekarz polski.

Przez chwilę panowała cisza, tym bardziej odczuwalna, że zapadła po nagłym umilknięciu syren alarmowych — i po odgłosie, z jakim przelatywały samoloty. Cisza ta w niewytłumaczony sposób sprawiała ulgę, a zarazem ciążyła napięciem. Witold przysunął się bliżej do otworu, w którym szarzało niebo. — Może to zwiadowcze? — zwrócił się do chłopaka. — Przecież na razie nic nie słychać!

Thiet potrząsnął głową przecząco i podniósł palec ku górze. Lekarz nadstawił uszu. Znowu zabrzmiał nagły szum, a potem jak gdyby głuche stęknięcie targnęło w powietrzu. Poczuł wyraźnie drgnienie ziemi pod stopami. B o m - b i — mruknął kierowca. Po tym jednym znajomym i złowrogim słowie padły inne niezrozumiałe. Obaj Wietnamczycy wdali się w rozmowę ze starcem. Witold chciał spytać, czy daleko — ich zdaniem — spadły bomby? Powstrzymał się jednak, nie chcąc, żeby go mieli za tchórza.

Dotknął kieszeni marynarki. Listy zaszeleściły. Gotów sięgnąć po korespondencję z domu i przeczytać ją raz jeszcze wytężając wzrok przy skąpym blasku szarego dnia, sączącego się przez otwór schronu.

Ale syrena odezwała się na nowo, innym wszakże głosem, niż poprzednio. Powietrze już nie falowało wznoszącym się i opadającym na przemian echem, lecz podawało przeciągły, na jednym tonie utrzymany jęk.

— Odwołanie — powiedział Thiet. — Możemy jechać.

Witold skłonił głowę przed ogrodnikiem, dziękując za gościnę. Stary człowiek odprowadził ich aż do samochodu, życząc dalszej szczęśliwej drogi. W ostatniej chwili, kiedy już motor zawarczał, Witold ujrzał przed sobą coś barwnego. Ogrodnik wręczył mu gałązkę ukwieconej fuksji. Biało-czerwone dzwonki wydzielały nikły, ledwie uchwytny zapach.

— Trzeba wykorzystać czas — Thiet wyjaśniał pośpiech szofera. — O tej porze niebezpiecznie jechać.

Witold skinął głową. Wiedział o tym — z trudem bowiem uzyskał zgodę władz na opuszczenie Hanoi przed świtem i ranną podróż. Następny alarm, tym razem krótkotrwały zaskoczył ich już blisko przedmieść Hajfongu. Gdzie spadły bomby podczas niedawnego nalotu, którego echa słyszeli w schronie starego ogrodnika? — Thiet na razie jeszcze nie wiedział. Być może samoloty atakowały elektrownię położoną z przeciwległej strony miasta. Mimo tych przeszkód w drodze, młody lekarz rad był, że udało mu się przeforsować niełatwą sprawę dotarcia na miejsce podczas dnia. Była teraz szansa przepłynięcia na pokład macierzystego statku w zmroku jeszcze przed nocą.

M/S „Słowacki" zakotwiczony był na redzie od wielu tygodni — i dostać się nań można było wyłącznie drogą morską. Należało jednak działać bez zwłoki. Thiet miał udać się od razu do władz powiatowych z prośbą o kuter dla polskiego lekarza, który wracał na statek. Witold przez ten czas zamierzał wstąpić najpierw do hajfońskiej placówki Polskich Linii Oceanicznych, potem zaś na M/S „Kościuszko", zablokowany wraz z innymi unieruchomionymi od wielu miesięcy statkami tuż u nabrzeża. Chciał dowiedzieć się o stanie zdrowia załogi. Kiedy wyjeżdżał do Hanoi dwa dni temu, wszystko było w porządku. Ale lepiej sprawdzić...

Biuro PLO mieściło się w starym budynku pozostałym jeszcze z kolonialnych czasów francuskich. Brama była zamknięta, ale ktoś tu chyba urzędował? Witold przycisnął guziczek dzwonka. Nie od razu dały się słyszeć z wnętrza powolne, człapiące kroki.

W uchylonych drzwiach stanął niemłody tłumacz wietnamski, pełniący zarazem funkcję sekretarza. Na widok przybysza ożywił się.

— M o n s i e u r l e d o c t e u r! Proszę bardzo, niechże pan wejdzie...

W powietrzu unosił się zastarzały odór szpargałów, dymu papierosów i tropikalnej wilgoci. Wietnamczyk wskazał przybyszowi miejsce w skórzanym fotelu przy niskim, podłużnym stoliku — i zakrzątnął się wokół termosa z herbatą.

— Dziękuję, panie Thanh. Ale chciałbym się możliwie szybko zobaczyć z waszym szefem. Mam dla niego pocztę. Wyszedł na miasto?

Wietnamczyk rozłożył ręce:

— Niestety, m o n s i e u r i m a d a m e są na polskim statku. M o n s i e u r wpadł dzisiaj wcześnie rano, załatwił to, co najważniejsze i pojechał tam przed godziną. Oboje na statku nocowali.

Witold zdziwił się. To było coś nowego. Miejsca na „Kościuszce" jest pod dostatkiem, ale zawsze przecież kajuta to nie pokój. Latem to co innego, na statku działa bowiem klimatyzacja. Ale teraz przy tym cholernym chłodzie? Do świąt jeszcze parę dni...

— M o n s i e u r Thanh — powiedział do Wietnamczyka — przyjdzie tu mój tłumacz, Thiet. Pan wie — ten młody, szczupły chłopak, który mówi po polsku. Na statek się nie dostatnie, bo nie ma przepustki. Proszę go zatrzymać, żebyśmy się nawzajem nie pogubili. Miał spróbować załatwienie sprawy kutra, żebym mógł dostać się na „Słowackiego". Ja skoczę na „Kościuszkę", zobaczę, co tam słychać i oddam listy.

Wietnamczyk skinął głową, zawiązał pod szyją wytarty szalik i odprowadził lekarza aż do drzwi. Witold ruszył znajomymi ulicami ku nabrzeżu.

Tuż u trapu dwaj miejscowi strażnicy trwają na posterunku. Od nadchodzącego Polaka nie zażądali okazania przepustki, choć miał ją ze sobą. Twarz i wygląd starczyły za legitymację. Jeden Wietnamczyk uśmiechnął się przyjaźnie i rzucił młodszemu koledze: — B a c s i B a l a n.

Na pokładzie zauważono przybysza. Ktoś wrzasnął na całe gardło: — Chłopaaaki!. Doktor jest!

Oczywiście najważniejszą sprawą były listy. Witold wytrząsnął zawartość pękatej torby na stół w mesie. Chief sprawnie rozdzielił pocztę. Dwóch lub trzech marynarzy odeszło z zawiedzionymi minami i z nie ukrywanym rozgoryczeniem.

— Panowie, cierpliwości! Przed świętami będą jeszcze co najmniej dwa samoloty — perswadował lekarz. — Na pewno przyjdzie poczta z kraju.

— Będą albo i nie będą... — mruknął któryś z rozgoryczonych.

Starszyzna zasypała przybysza pytaniami: co słychać w Hanoi? Jakie wieści ze świata? Co z dalszym ciągiem rokowań w Paryżu? Jeśli się słucha radia, to nic nie wiadomo — jak gdyby babka na dwoje wróżyła. Już przecież wszystko ucichło, już miał być pokój, a teraz znowu alarmy!

Witold poczuł zniecierpliwienie. Cóż mógł wiedzieć? Stolica Wietnamu nadal pustoszała. Wiele domów, wiele mieszkań, wiele parterowych sklepików i warsztatów zaryglowano i zamknięto. Dzieci, których wedle określenia ochmistrza, było „jak maku", prawie nie widać. Co dzień przez głośniki słychać nawoływania, aby ci, którzy nie są potrzebni dla pracy i dla obrony stolicy, opuścili ją, udając się na wieś. Pomnożyła się ilość schronów — większych, mniejszych, i tych jednoosobowych studzienek wydrążonych wprost na ulicach miasta, z betonowymi pokrywami. Worki z piaskiem piętrzą się na dachach i obok wielu budynków. W hotelach przeznaczonych dla cudzoziemców pustawo. Podobno wstrzymano przyjazdy wszystkich obcokrajowców, oprócz dyplomatów. Ale urzędy funkcjonują. Na poczcie można nadać listy. — Posłałem oczywiście wszystkie, któreście mi dali — zapewnił. — Niestety żadnej bezpośredniej okazji do kraju nie było. Przez parę godzin dziennie czynne są nieliczne sklepy i warsztaty.

Wolał nie mówić zbyt wiele o zmasowaniu sprzętu wojskowego pośrodku miasta. To samo zresztą mogli widzieć w Hajfongu. Spotkany na poczcie korespondent Polskiej Agencji Prasowej, jedyny rodak—dziennikarz trwający na wietnamskim posterunku, pokręcił głową, gdy go lekarz spytał o nowiny. — Ta cisza nic dobrego moim zdaniem nie wróży — powiedział. — Obym był złym prorokiem! Ale wygląda na to, że wszystko w Paryżu przybrało kiepski obrót. Chyba jednak nie dogadali się, choć już było tyle zapewnień, że pokój jest tuż, wystarczy ręką sięgnąć!

— Hajfong może być bardziej zagrożony, bo to port i ważny ośrodek przemysłowy — podjął wówczas Witold. — Ale Hanoi? Przecież tu są ambasady, korpus dyplomatyczny. Chyba się jednak nie zdecydują na bombardowanie stolicy.

Dziennikarz wzruszył ramionami. Był powtórnie w Wietnamie i za pierwszym razem spędził w tym kraju cały trudny rok 1968.

— Jeśli będą chcieli, to zbombardują i Hajfong i Hanoi — odparł krótko.

Podszedł wówczas ktoś znajomy — i urwany wątek rozmowy zawisł w próżni. Nie, tego Witold nie chciał powtórzyć rodakom ze statku. Powiedział wszystko, co usłyszał w ambasadzie. Dodał, że na drogach wszędzie pełno wojska, że jak twierdzą wszyscy cudzoziemcy — jednostki artylerii przeciwlotniczej, łącznie z rakietowymi, dzień i noc trwają w pogotowiu.

Okazało się, że przedstawiciel Polskich Linii Oceanicznych oraz jego żona nocują na statku właśnie ze względów bezpieczeństwa. — Jeśli znów będą bombardować Hajfong, uderzą najpierw w port — i w najbliższe dzielnice. Co do tego nie ma wątpliwości. A w takim wypadku żaden budynek nie jest bezpieczny. Statki to co innego. Należą przecież one do państw, z którymi Stany Zjednoczone nie toczą wojny. Amerykanie wiedzą o tym, mają rozeznanie...

C.d.n.

Fragmenty powieści, która pod tym samym tytułem ukaże się nakładem KAW. Akcja powieści rozgrywa się zimą 1972—1973 roku wśród Polaków przebywających wówczas na północy Wietnamu.

„Miss obiektywu" — Jeanett (Dania)

Wielka lipa

KRZYSZTOF DRZEWIECKI

Zaczęło się trochę dziwnie. Po raz pierwszy bowiem Oddział Obsługi Turystycznej gdańskiego „Orbisu" postanowił skończyć z coroczną kołomyją hotelową, jaka towarzyszy niektórym festiwalom. Bo to jeden chciałby mieszkać sam, drugi znów w hotelu, a nie w akademiku, tamtemu hotel za drogi itd. W tym roku na rozesłanych kartach akredytacyjnych dano możliwość wyboru: albo za czterysta złotych od łóżka w domu studenckim, gdzie pokoje są dwuosobowe, albo za tysiąc dwieście złotych w jedno- i dwuosobowych pokojach hoteli „Orbisu". Korzystając z tego, że wreszcie nie będę musiał — jako stary samotnik — załatwiać na miejscu przekwaterowań do jedynki, wpisałem wyraźnie, iż interesuje mnie „orbisowski" pokój jednoosobowy. Minęło kilkanaście dni i otrzymałem odpowiedź stanowiącą potwierdzenie przyznania akredytacji, wynikało z niej, że zakwaterowano mnie w... Domu Studenckim przy ul. Polanki w Gdańsku. Okazało się — jak się później dowiedziałem — że organizatorzy coś tam źle powyliczali i zaczął się prawdziwy hotelowy krach. Na szczęście udało mi się całą sprawę telefonicznie wyjaśnić i zmieniono mi kwaterę na kilkunastopiętrowy hotel „Heweliusz" — pokój 1112. Wprawdzie jest on w Gdańsku, ale za to blisko dworca kolejowego, a kolejką elektryczną można się dostać do Sopotu w niespełna pół godziny. Tymczasem „akademiki na Polankach" mają sławę miejsca, w którym diabeł mówi dobranoc — wszędzie stamtąd daleko. Dodatkową atrakcją jedenastego piętra w „Heweliuszu" był widok gdańskiej starówki, jednej z najpiękniejszych w Europie. Rekompensował mi on brak bliskości morza, do którego było dwa kroki z „Posejdona", gdzie mieszkała cała reszta ekipy „Estrady Łódzkiej". Choć prawdę powiedziawszy przyjazd do „Posejdona" bez samochodu jest też pewnym ryzykiem, jako że ten miły hotel przypominający architektonicznie „Skalny" w Karpaczu usytuowany jest pomiędzy Gdańskiem a Sopotem, a dość dalekie dojazdy taksówkami w Trójmieście są uciążliwe.

Zabawna historia przydarzyła się w tym roku jednemu z warszawskich dziennikarzy. Po przyjeździe dowiedział się o zarezerwowanym miejscu w „Heweliuszu". Ponieważ na festiwal sopocki przyjeżdża już od kilkunastu lat i pamiętał, że jeszcze ostatnio dziennikarze kwaterowani byli w akademiku przy ul. Armii Czerwonej, skąd do Opery Leśnej pod górę raptem dziesięć minut drogi, a telecentrum jest naprzeciwko po drugiej stronie ulicy, nieświadom zmian w bazie hotelowej, poprosił o zmianę przydziału na... akademik. Zdziwienie przyszło później, gdy wysłano go do wspomnianego wcześniej Domu Studenckiego na ul. Polanki.

Zakwaterowanie gości podczas dużej, zwłaszcza międzynarodowej, imprezy nie jest łatwe. Zastanawiam się jednak, czy gdyby organizatorzy festiwalu piosenkarskiego w Sopocie mieli do dyspozycji na te dni całe hotelowe zaplecze tego kurortu (a więc: oprócz „Grandu" kilka mniejszych hoteli, jak „Maryla", „Irena", „Wanda", „Dworcowy", „Parkowy" itp. oraz wcale nie takie małe akademiki), nie daliby rady „zmieścić" całego festiwalu w Sopocie, oszczędzając ludziom czasu na dojazdy i oszczędzając paliwo do kursujących po mieście autokarów. Myśl wydaje się być niegłupia, ale czy do zrealizowania?

Oczywiście, tradycyjnie centrum Międzynarodowego Festiwalu Piosenki pozostaje „Grand Hotel". To tutaj przecinają się drogi uczestników w tej imprezie i jej satelitów. Przed samym wejściem zatrzymują się oklejone nalepkami mikrobusy, dowożące wykonawców na próby do Opery Leśnej. Samochodów nie posiadających pod szybą specjalnych przepustek na podjazd do hotelu nie wpuszcza się. Wejście główne do „Grandu" tarasują, najczęściej nastoletni, łowcy autografów, z zazdrością zerkający na tych, którzy są upoważnieni do przekroczenia progów recepcji. A tam w środku...

W środku pełen high life. Jak przystało na festiwal międzynarodowy. Słychać różnojęzyczny gwar i nawet nie wiadomo, kto mówi po angielsku czy niemiecku, a kto tylko udaje, że zna obcy język. Nad białymi obrusami najłatwiej określić kolor skóry tego czy tamtego. Choć to raczej w Operze Leśnej zrodził się żart o wyjątkowo upalnym lecie w Holandii — co wyjdzie na estradę Holender, to aż czarny. Jak high life, to high life. Mała butelka polskiego piwa kosztuje w kawiarni dwieście złotych. Nic dziwnego, że większość kawiarnianych gości siedzi zachowawczo przy wodzie mineralnej. W restauracji wprawdzie jadają w porze obiadowej, lecz są to najczęściej ci, którzy otrzymali bony żywieniowe od organizatorów. Zestaw obiadowy — sześćset złotych, kolacyjny — tak samo. Jeśli tyle trzeba zapłacić również za śniadanie (nie wiem, bo nigdy na tę porę nie udało mi się do „Grandu" dotrzeć), to dzienne wyżywienie jednej osoby kosztuje tutaj tysiąc osiemset złotych. Parę osób z branży stołuje się naprzeciwko w Domu Pracy Twórczej ZAIKS-u, gdzie jest osiem razy taniej. Są też tacy, co odsiedziawszy swoje w kawiarni, biegną do miasta, by zjeść coś w barze mlecznym lub przełknąć u Araba kebab i szaermę z ostro przyprawionej baraniny.

Tradycyjny deptak — ulica Monte Cassino — wypełniony w dzień ludźmi, wieczorem pustoszeje i zamiera. Regularnie rok po roku zacząłem jeździć na wakacje do Sopotu w połowie lat sześćdziesiątych. Stoję w kolejce po lody u Włocha i myślę: ileż się tutaj zmieniło? Przede wszystkim — mniej ludzi. Na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych na „Monciaku" dosłownie panował tłok. Albo ta kolejka po lody w „Milano" — dawniej to były tutaj kolejki. No cóż, pozmieniały się także ceny.

Wróćmy jednak do „Grand Hotelu". Po trzynastej mają prawo dodatkowo wzrosnąć obroty. A jednak rzadko kto zamawia alkohol. Czasem robią to przyjezdni z zagranicy, którzy jednakowoż przy ilości większej niż kieliszek czy dwa wolą przenieść się do pokoju na górę. Wieczorem obserwuję salę restauracyjną: prawie na żadnym stoliku nie ma wódki, ze trzy razy wystrzelił szampan. Towarzystwo abstynentów? Nie, oprócz ustawy antyalkoholowej waży tu też cena z marżą: pół litra wyborowej — dwa tysiące złotych.

Łatwiej wyciągnąć trochę grosza od konsumenta w barze „Caro" mieszczącym się w południowym skrzydle hotelu „Grand". Na sali restauracyjnej z dancingiem przewidziane są występy artystyczne i dyskoteki. Niektórzy natychmiast zaszywają się w przytulnym barku, gdzie serwowane są trunki po iście paskarskich cenach. Nie wiesz, co pijesz, lecz wiesz, że przepłacasz. Raz tylko poznałem, że piję pepsi bez lodu. To tutaj robi się podczas festiwalu najlepsze interesy. Prowadzone w całym hotelu przez różne osoby rozmaite rozmowy artystyczno-impresaryjne nie dadzą na pewno i w ciągu miesiąca takiej prowizji. Tym bardziej że z reguły mają one wstępny, a później — bardzo enigmatyczny charakter. Już kiedyś szerzej o tym pisałem: festiwal się kończy, ludzie rozjeżdżają się do domów i wszystko zostaje jak było, aż do następnego roku.

Tę prawdę przypomniałem sobie i teraz przebywając w murach sopockiego „Grand Hotelu", który niejedno pamięta. Nie wiem wprawdzie, czy Charles Aznavour — co wyczytałem w festiwalowej korespondencji zamieszczonej w „Dzienniku Łódzkim" — uśmiechnął się patrząc na łóżko, w którym spał jego wielki imiennik — generał de Gaulle, ale jestem przekonany, że lepiej, gdyby ten francuski Ormianin pozostał (zgodnie z jego wypowiedzią na konferencji prasowej) jedynie ojcem rodziny, mimo tego, iż — jak podkreśla autorka korespondencji — przyleciał do nas „prosto ze Stanów Zjednoczonych". Sądzę, że zamiast sprowadzać do Sopotu mocno przygasłą gwiazdę można było pokusić się o zaproszenie kogoś, kto aktualnie jest „na topie". Jeżeli rzeczywiście brakowało na to pieniędzy, zdecydować się należało na jedno—dwa autentycznie markowe nazwiska z obecnej światowej czołówki, unikając tym samym nieporozumień w rodzaju występów Marion czy Hany Zagorovej.

Wracając do recenzji w „Dzienniku Łódzkim", którą przeczytałem już po powrocie z Sopotu, przyznać się muszę, że ja nie bardzo jestem zorientowany, jakie kolory „przeważały w toaletach" (zwłaszcza damskich). U mnie w pokoju hotelowym w toalecie były bodaj jasnozielone kafelki. Ale głowy nie dam.

Teraz jeszcze wizyta w Biurze Prasowym, również mieszczącym się w festiwalowym centrum, czyli w „Grand Hotelu". Niejaki pan Awakumowski, skądinąd fotograf, złożył tam ofertę, że przed zakończeniem festiwalu gotów jest wykonać potrzebną ilość zdjęć zamówionych przez akredytowanych dziennikarzy. Zostawił też tzw. stykówki, coby chętni stawiali ptaszki, które też ujęcia festiwalowe chcieliby mieć do swoich materiałów. Ponieważ w „Odgłosach" przed wyjazdem proszono mnie o jakiś ciekawy serwis fotograficzny i ja zaznaczyłem kilka klatek. Niestety, w zadeklarowanych przez siebie godzinach pan fotograf nie zjawił się w ogóle, choć poszukiwało go paru dziennikarzy i — rzecz jasna — obsługa Biura Prasowego. W związku z tym zrezygnowałem z szukania pana Awakumowskiego, którego usług zainteresowanym terminowymi zdjęciami nie polecam. Tylko pomyślnemu zbiegowi okoliczności zawdzięczam, że ten artykuł nie idzie do druku zupełnie bez fotografii, ale to już osobna historia.

Po raz ostatni na festiwalu w Sopocie, który był jeszcze wówczas Festiwalem Interwizji połączonym z Konkursem Wytwórni Fonograficznych, miałem okazję być obserwatorem przed pięcioma laty. W rok później, a więc w sierpniu 1980 roku, również posiadałem potwierdzoną akredytację. Ale — jak pamiętamy — był to już na Wybrzeżu czas szczególny: trwał strajk w stoczni. Wszystko zmieniało się jak w kalejdoskopie. Dosłownie na dzień przed moim wyjazdem do Trójmiasta do redakcji „Expressu Ilustrowanego", który wtedy mnie delegował, nadszedł tajemniczy teleks z Biura Prasowego w Sopocie. Pisano, że festiwal został odwołany i proszono o powiadomienie o tym kilkunastu innych redakcji wysyłających tam swoich przedstawicieli, gdyż z nikim nie udało im się uzyskać dalekopisowego połączenia. Gdy w dwa dni potem z telewizji dowiedziałem się, że festiwal jednak się w Sopocie odbywa, było już za późno, by wyruszać w drogę. W następnym roku dużo wcześniej było wiadomo, iż festiwal w Operze Leśnej nie dojdzie do skutku. Kiedy odstąpiono od jego realizacji również w dwóch kolejnych latach, sądziłem już, że uśmiercono tę imprezę o wieloletnich tradycjach. Na szczęście, powstała po raz dwudziesty pierwszy niczym feniks z popiołów, choć z pewnością nie taką widziałem ją po latach przerwy.

Opera Leśna. Godzina 20.15. O tej porze niezbyt zgrabnym nowym sygnałem witały widzów orkiestry: Rozrywkowa PRiTV w Katowicach pod dyrekcją Jerzego Miliana (kierownika muzycznego całości) i „Alex Band" pod dyrekcją Aleksandra Maliszewskiego (współzdobywcy tegorocznego Grand Prix). Na widowni wszystkie miejsca zajęte. Tak było codziennie. Ludzie przez cztery wieczory czekali na jakąś prawdziwą festiwalową bombę. Nie doczekali się. Kolejne koncerty, reżyserowane przez Jerzego Gruzę, utwierdzały tylko w mniemaniu, że nie będzie to udany festiwal. Piątka konferansjerów, spośród których wyłącznie Krzysio Szewczyk mógł stanąć na wysokości zadania, wykonywała co wieczór prawdziwy... festiwal nieporadności. Nagłośnienie, szczególnie w pierwszym dniu, dawało patrzącym wrażenie niemego kina. Z artystycznego punktu widzenia, w sprawie kolejności utworów i doboru repertuaru — zastrzeżenia można by mnożyć. Zresztą kiepsko było od samego początku: pierwsza gwiazda, laureatka wielu festiwali — Irena Santor ze swym przebojem sprzed lat — zeszła za kulisy z taką porcją braw, jaka zwykle towarzyszy produkcjom debiutantki. Kto zawinił?

Publika chciała się bawić — w końcu bilety były po siedemset, a na galówkę nawet po tysiąc złotych, ale niestety jaśniejszych momentów, kiedy widzowie oklaskami zmuszali wykonawców do powtórnego wyjścia na estradę, było niewiele. No, fakt, że niektórzy z piosenkarzy robili to i bez specjalnej ze strony widowni zachęty. Spotkałem wśród widzów Andrzeja Rosiewicza, który swego czasu miał więcej w Operze Leśnej bisów niż teraz gwiazdy razem wzięte.

Brak szlagierowych piosenek jest od dłuższego czasu piętą achillesową „Sopotów". Zdarzają się też często piosenkarze będący nieporozumieniem. Ich występy na festiwalowej estradzie zaniżają poziom i nie jest żadnym tłumaczeniem obawa przed obrażeniem gościa już po jego przyjeździe słusznymi zastrzeżeniami co do jego umiejętności. Mniej wówczas byłoby fałszowania i innych podstawowych błędów piosenkarskich, a więcej dobrej muzyki i zabawy. Póki co — publiczność rozśmieszały fińskie nazwiska. Prawdziwie dobrej, ciekawie zaaranżowanej i zaśpiewanej muzyki było bardzo niewiele. Nie wiadomo także, dlaczego zagranicznym kandydatom do Sopotu przedstawiono tak krótką listę polskich utworów do konkursu na najlepszą interpretację. Niektórych lansowanych przez Polskie Radio w ostatnich latach piosenek nie było na tej liście w ogóle, inne śpiewano w Dniu Polskim po parę razy.

Werdykt jury, obradującego tym razem pod przewodnictwem Henryka Debicha, wymagałby osobnego omówienia w szczegółach. Wykazania jego słabych punktów (jak choćby to, że nagrodę specjalną za aranżację otrzymał... jeden z członków międzynarodowego jury) i nie całkiem zgodnych z rzeczywistością ocen nie będę jednak w tym miejscu przytaczał, bo zauważyłem, iż jurorów posadzono wyjątkowo niefortunnie: wprawdzie prawie na środku, ale za to stosunkowo nisko, bo zaledwie w szóstym rzędzie. Ja siedziałem w dwunastym. Może oni nie wszystko słyszeli? Nie po raz pierwszy reprezentanci krajów demokracji ludowej na Międzynarodowym Festiwalu Piosenki w Sopocie zdominowali komunikat jury o nagrodach.

„Pomorzaninem" z Sopotu do Łodzi jedzie się sześć i pół godziny. W niedzielę po powrocie zdążyłem jeszcze obejrzeć interwizyjną retransmisję koncertu laureatów. Trudno mi powiedzieć, czy przekaz telewizyjny oddawał towarzyszące nam, obserwatorom na miejscu, przekonanie o tym, że atmosfery festiwalowej w dawnym znaczeniu teraz w Sopocie jakby brakuje. Po prostu jeżdżąc tam od wielu lat inny pamiętamy festiwalowy Sopot. Natomiast relacje Telewizji Polskiej zniekształciły obraz festiwalu od strony czysto technicznej. Szwankowała (nie mylić ze szwenkowaniem) praca kamer, zawodziło oświetlenie, nie pomagały nawet zbliżenia, a niezbyt udana scenografia dopełniała reszty.

I sam nie wiem, czy to efekt oglądania galowego koncertu na małym ekranie, czy przywiezione z Sopotu spostrzeżenie. Dość, że nagle zdałem sobie sprawę z jednej rzeczy: w ciągu trzech lat nieobecności tej imprezy w naszych kalendarzach, w Operze Leśnej wyrosło jeszcze jedno nowe drzewo. Wielka lipa.

Marco Antonelli — Włochy

Fot. Jacek Awakumowski

Polemiki • Listy • Opinie

SPORU POETÓW CIĄG DALSZY

Dopiero niedawno zdołaliśmy zdobyć egzemplarz „Odgłosów" z 16 czerwca 1984 r. i zapoznać się z tekstem wydrukowanym w kolumnie „Polemiki. Listy. Opinie" pod tytułem „Spór poetów".

Uważamy, że zamieszczona tam polemika na temat Statyzmu jest kolejnym nieporozumieniem, dotyczącym naszego programu poetyckiego. Wysyłając nasz manifest do „Radaru" daliśmy się zwieść nagłówkowi „Tygodnik Pracy Twórczej". Redakcja „Radaru" potraktowała tekst dość swobodnie, obcinając na chybił-trafił co bardziej istotne fragmenty, mieszając akapity i przepuszczając niezliczoną ilość błędów korektorskich. Wynikiem tych zabiegów jest absolutna nieczytelność tekstu, która uniemożliwia człowiekowi niezorientowanemu zajęcie właściwego stanowiska, zwłaszcza że redakcja „Radaru" zapomniała o konieczności stawiania znaku (...) w miejsce tekstu usuniętego.

Tak okaleczony manifest został zaatakowany (poniekąd słusznie) jako bełkot. Trzeba jednak uczciwie przyznać, że redakcja „Odgłosów", usuwając fragmenty, które po obróbkach „Radarowych" stały się zbędne i zaciemniały ogólny obraz, przywróciła naszemu manifestowi spójność logiczną. Jednakże z przyczyn niezależnych od „Odgłosów" tekst pomija pewne istotne dla całości programu sprawy. Pragniemy więc nasz list zacząć od krótkiego wyjaśnienia, czym jest Statyzm.

Jesteśmy zdziwieni szybkimi postępami tzw. „sztuki awangardowej". Rzucanie pędzlami w płótno, granie dysonansów bez ładu i porządku, pisanie wierszy bez rymu, rytmu i treści może stanowić ewentualnie chwilową rozrywkę dla bawiących się w ten sposób, ale na miano sztuki nie zasługuje (przynajmniej w naszym rozumieniu tego słowa).

Za najwyższy cel artysty uważamy opisywanie świata.

A świat, w przeciwieństwie do „sztuki awangardowej" posiada swoje stałe reguły i prawa, np. $E = mc^2$ Z tej stałości bierze początek tak nazwa jak i idea Statyzmu. Dlaczego twierdzimy, że można tylko opisywać? Albowiem świat w istocie swej jest niezmienialny. Mówi się, że ten lub ów zmienił świat. Nam, jednakże, chodzi o wyższy stopień uogólnień. Wszelkie działanie mające na celu wprowadzenie jakichkolwiek zmian może być i jest realizowane zawsze w ramach stałych reguł — inaczej świat nie byłby światem. To, że świat się przekształca, nie przeczy jego statyczności. Przekształca się on bowiem w zamkniętym układzie praw. A więc „przekształca się w sobie". Z tych założeń bierze początek nasz program poetycki. Jak łatwo zauważyć — nie narzuca on żadnych ram, wszak cel sztuki — opisywanie, powinien być dla każdego oczywisty, a sposób realizowania tego celu determinuje sama konstrukcja świata. I tak: ludzki sposób postrzegania powoduje, że obraz statyczny, ciąg takich obrazów lub opis stanu jest jedynym możliwym w poezji odzwierciedleniem reguł rządzących całością. A właśnie opisanie tych reguł Statyzm stawia sobie za cel. Aby odbicie było wierne, poezja nie może wyrzec się starych, Mickiewiczowskich kanonów. Odrzucanie rymu, rytmu, a nawet sensu co prawda znacznie rozszerza krąg „poetów", ale jest tym, czym wyrzeczenie się głosu przez śpiewaka. Tych, którzy nie fałszują, głos nie ogranicza, a inni, ze zrozumiałych powodów, domagają się śpiewania niemego Ten rodzaj wokalistyki nazywamy śpiewem białym lub wolnym *A dlaczego rym i rytm są w poezji statycznej niezbędne? Albowiem rym stanowi odpowiedź na współbrzmienie elementów tworzących jedność Wszechświata, a rytm, w zależności od swej konstrukcji, obrazuje stan napięcia opisywanych struktur, np.: moc, gnuśność, beznadziejność, nadzieję* itp.

Jak wygląda statyczny warsztat poetycki? Piszemy „okresem', to znaczy — maksymalnie skondensowanym zdaniem, które staje się strofą. Jest to (w naszej terminologii) obraz statyczny. Każda ze strof posiada znaczenie odrębne i jest nośnikiem odrębnej idei. Jednak nie o to chodzi, by analizować je oddzielnie. Albowiem odrębne idee strof tworzą nadrzędną ideę wiersza statycznego.

Takie oto treści zawierałby nasz manifest, gdyby redakcja „Radaru" nie próbowała przerobić go na modłę hołdowanej przez siebie mody (patrz — ostatnia strona „Radaru").

Jednak rozumiemy intencje redaktorów „Radaru". Trudno bowiem pogodzić się z faktem, że w dzisiejszych czasach może jeszcze powstać nowa koncepcja poezji. Wszak tej dziedzinie sztuki odbierano kolejno wszystko: rym, rytm, a na końcu, konsekwentnie, także i sens. I utarło się przekonanie, że rozwój sztuki polega na odbieraniu. Uważa się powszechnie, że każdy może pisać co chce i jak chce, i nie może być z tego powodu zaatakowany, gdyż „wszystko jest poezją". Nie wolno także tworzyć żadnych programów, zwłaszcza jeśli jest się młodym. PROGRAM TO WSTECZNIACTWO! Doskonale rozumiemy oburzenie wywołane naszymi koncepcjami domagającymi się rymu i rytmu, gdyby takie wiersze zdołały się przebić na rynek 99 proc. współczesnych „poetów" musiałaby pójść do pracy.

Także zarzuty dotyczące naszego młodego wieku są zrozumiałe. Razem mamy 44 lata, co stanowi przeciętną wieku współczesnego, młodego, dobrze zapowiadającego się „poety". Dla porządku dodajmy, że Adam Mickiewicz wycofał się z czynnej działalności poetyckiej mając lat 36. Inni — jeszcze wcześniej.

Teraz krótka odpowiedź na toczone z nami polemiki.

Najpierw o sprawie, która zabolała nas najbardziej. W artykule zatytułowanym „Statyzm — stagnacja, czy krok na drodze ku degrengoladzie?" autorzy wyrazili się lekceważąco o poezji Adama Mickiewicza, pisząc, że „ogląda on ciemność" i w związku z tym nie można się na niego powoływać, lecz czerpać należy z „poezji" współczesnej. Jako przykład „zdrowej poezji" podano „wiersz" Urszuli Kozioł. Otóż, pogląd ten uraził nasze uczucia, nie tylko patriotyczne. Adam Mickiewicz nie ogląda ciemności. On umarł tylko jako człowiek. Natomiast „poetów" współczesnych oceni dopiero czas.

Co do zarzutów Grupy Literackiej Studentów UŁ.

— Piszecie, że nie posiadacie programu. Trudno.

— Potępiacie nas za krytykę T. Różewicza i J. Harasymowicza, a nie znacie ich utworów. Wypadałoby wiedzieć, że zdanie, „nie jesteście odpowiedzialni za losy świata" to cytat z jednego z bardziej znanych tekstów T. Różewicza, zatytułowanego „Zdjęcie ciężaru".

— Zdanie: „Chcieliście Statyzmu, no to go macie" jest metaforą, którą chętnie wyjaśniamy. Otóż Statyzm musiał powstać. Musiał się przecież w końcu pojawić ktoś, kto zacznie realizować cel sztuki — opisywanie. Nikt w tym kierunku nie zrobił kroku, więc powstał Statyzm.

— Co do „siadania w kątku". Sprzeczności logiczne, koledzy. Straszne sprzeczności! Twierdzicie, że nie macie programu, a nam, którzy mamy program, zarzucacie brak samookreślenia. A poza tym, nie można krytykować programu inaczej, jak tylko tworząc własny, nowy (Popper).

— Napisaliście: „Trwanie wciąż się porusza (?) tworząc czas i historię". Zdanie to można rozpisać logicznie. Jeżeli czas to trwanie, a historia to trwanie+przemiany w trwaniu, to wasze zdanie wygląda tak: Trwanie wciąż się porusza (??) tworząc trwanie i trwanie+przemiany w trwaniu. Tautologizm.

— Przeraża was „statyczne monstrum poezji przerastającej czas i materię." Czas i materia to pojęcia fizyczne. Nie należy mieszać Dostojewskiego z pastą do podłogi. Polecamy psychoanalizę. Jest doskonała na lęki i przerażenia.

— Pytacie, gdzie jest w słowach manifestu pokora poety. W tym, że stawia on poezję ponad sobą. Poeta innej pokory znać nie może.

— Uważacie, że „jeżeli wzruszenie jest sprawą prywatną człowieka, to należy zniszczyć całą sztukę." Trudno, jeżeli tak myślicie, to niszczcie. Jeżeli jednak nie uważacie, że wzruszenie jest sprawą prywatną, to ilekroć się wzruszycie, zamieszczajcie anonse. Najlepiej w „Radarze".

— Co do rzekomej sprzeczności między wizją jako sprawą wewnętrzną, a tym, że rozterki wewnętrzne są zbyt małe na poezję, to nigdy nie twierdziliśmy, jakoby wizja była sprawą wewnętrzną. Wizje to nagłe olśnienia pozwalające poecie poznawać prawdziwe oblicze świata. A więc zewnętrzne! Życzymy wam tego z całego serca.

— Fakt. Cywilizacja to myśl naukowa i techniczna. Jeżeli przedkładacie to nad poezję, zajmijcie się myślą techniczną i rozwojem cywilizacji. Poezja na tym nie ucierpi.

— Dlaczego uważacie, że można zwyciężać nie mając wrogów?

— Pytacie, kogo Statyzm toleruje spośród poetów polskich. Odpowiadamy: Mickiewicza, Słowackiego, Asnyka, Jasieńskiego, Iuwima, Orkana, Odyńca, Leśmiana, Micińskiego, LEMA etc. etc. Z obcych. Jesienina, Rimbauda, Siewierianina, Puszkina, Byrona, Hafiza etc. etc.

Tak, chłopaki, do krytykowania trzeba dojrzeć. „Młodzi zagniewani są często niesprawiedliwi z powodu braku wiedzy i doświadczenia". Jeżeli kiedyś sformułujecie program, wpadnijcie do „Ratuszowej". Podyskutujemy.

A swoją drogą, uważamy, że to nieładnie reklamować na naszych plecach swoją grupę.

Ponadto w manifeście wyraziliśmy się krytycznie o „poezji" J. Harasymowicza i T. Różewicza. Podtrzymujemy. (Zawsze będziemy uważali, że pisanie o przedsionku pochwy, vestibulum vaginae, jest normalne tylko pod tym warunkiem, że wychodzi spod pióra lekarza)

Na koniec chcemy poinformować wszystkich zainteresowanych, że wypowiadamy się za siebie i że takie jest n a s z e zdanie.

MAREK BŁASZKOWSKI
DARIUSZ CZUBIŃSKI

P.S. Jeżeli redakcja uzna za stosowne kontynuowanie dyskusji na temat obecnej sytuacji w poezji, chętnie zaprezentujemy na łamach pisma swoje wiersze, gdyż uważamy, że wszelkie teoretyczne rozważania muszą opierać się na konkretnych utworach.

Łódź 12. VIII. 1984

JAMNIK PRZEPRASZA ŁODZIANINA!

W związku z posądzeniem mnie przez samego W. Afelta o „protekcjonizm" uroczyście oraz wszem i wobec oświadczam, iż nigdy i nikogo nie traktowałem w stylu „poklepywania po plecach", już chociażby z racji ograniczeń fizycznych (cztery jamnicze, a więc super-rasowe, łapy, nawet ułożone jedna za drugą, nie sięgną barku nawet 7-letniego dziecka!); nigdy też nie było moim zamiarem traktować kogokolwiek bądź „protekcjonalnie" (z wyjątkiem tej nakrapianej dożycy, zwanej Lady-of-Dog's-Universum, a głupiej jak tak zwana tabaka w kozim rogu).

Więc (nie zaczynaj zdania od więc!), jeżeli W. Afelt odebrał (odczuł?) wypowiedź niżej podpisanego jako protekcjonalną, to stało się to wyłącznie za sprawą niezbyt dobrego (bądźmy szczerzy: prymitywnego!) opanowania sztuki władania maszyną do pisania (dawniej nazywało się to — piórem!) właśnie przez niżej podpisanego (który nie ma, żal i niestety, maszynistki, na którą wiele by można było „zwalić"), — Wierzcie mi, ludzie, że opanowanie języka polskiego w mowie i piśmie tak, aby słowo myślom nie kłamało, a jednocześnie wzbudzało identyczne myśli u adresatów i czytelników — to sztuka nie lada! Chyba niemożliwa do dokonania nawet dla urodzonych nad rzeką Łódką dwunożnych-a-tęgogłowych? — Więc (nie zaczynaj, bracie, zdania od „więc"!): odszczekuję wszystko, co był źle był napisał czteronożny-a-nad Wisłą-urodzony-.

JAMNIK

PS. Pomijam milczeniem fakt, że na łamach „Odgłosów" szaleje tzw. chochlik drukarski (diabełek — a więc ssak?), z wyjątkową lubością (zaciekłością?) żywiący się tekstami w y ż e j podpisanego. Co znakomicie sprzyja nieporozumieniom, uczenie z anglosaska zwanym misinterpretacjom. Nie mając jednak natury szlachcica na zagrodzie — nie prostuję.

J.

CZY MIKOŁAJ KOPERNIK POCHODZIŁ SPOD PABIANIC?

Przed komisją poborową powiatu szadkowskiego (rzecz działa się w r. 1820, a więc za czasów Królestwa Kongresowego) stanął „popisowy" jak wówczas mówiono, ze wsi Łaskowice nazwiskiem „Kopernik.

Członek Komisji dr Skulski zwraca uwagę na możliwość pochodzenia młodego poborowego z rodziny genialnego astronoma, zwłaszcza, że Kopernikowie żyją w Łaskowicach rzekomo od „niepamiętnych czasów", a same Łaskowice należą do dóbr pabianickich, które to dobra należały nie tak dawno jeszcze do kapituły krakowskiej.

Te swoje spostrzeżenia zamieścił w „Krakusie" 23 kwietnia 1922 roku; w „Gazecie Warszawskiej" 29 kwietnia tegoż roku, dodając na zakończenie, że „widziany przeze mnie Kopernik miał taki sam rys twarzy i kolor oczu, jakiego widziałem w portrecie astronoma polskiego w zamku królewskim w Warszawie".

Sprawą zainteresował się bliżej t.j. na miejscu w Łaskowicach i w Pabianicach Roman Hubicki, sędzia trybunału cywilnego województwa kaliskiego.

W wyniku swoich pracowitych penetracji doszedł, że w Łaskowicach w roku 1653 żył Paweł Kopernóg, — w 1683 — Wach Kopernóg, w 1737 — Wawrzeniec Kopernóg, w 1753 Piotr Kopernóg a w 1768 — Kopernag.

Znalazł później nazwisko Kopernóg „ale z litery „O" poprawione było „i", czyli czytać się dało nazwisko „Kopernig" przez „g', które w wymówieniu brzmi, jakby przez „k" pisane było „Kopernik".

Owoc swoich dociekań Roman Hubicki przekazał „profesorowi warszawskiego uniwersytetu, Adryanowi Krzyżanowskiemu, skrzętnemu zbieraczowi materiałów do żywota Kopernika".

Po 8 latach onże prof. A. Krzyżanowski ogłosił w prasie list — odezwę do „miłośników rzeczy ojczystych", informując, że „utrzymuje się podanie, że rodzina Koperników wyszła ze wsi Łaskowice, leżącej blisko miasta Pabianic w dawnym województwie sieradzkim, należącej kiedyś do kapituły krakowskiej".

Tu poniosła pana profesora fantazja, w jaki sposób młody Kopernik z Łaskowic znalazł się w Krakowie i jakie były jego dalsze losy. W zakończeniu odezwy profesor prosi o przekazanie wiadomości „o pochodzeniu Koperników ze wsi rzeczoney Łaskowice (...) do biblioteki uniwersytetu warszawskiego". (Pisownia oryginału — M.W.).

Przeciwko takiemu postawieniu sprawy zaprotestował oczywiście Hubicki.

Na dłuższy czas sprawa „Kopernika z Łaskowic" ucichła. Podjął ją dopiero w r. 1871 ks. kanonik Ignacy Polkowski, „pilny bibliograf i bibliograf astronoma", a to na skutek wzmianki Krzyżanowskiego o Łaskowicach w życiorysie Kopernika.

Oczywiście wszelkie dywagacje na temat, czy jeden z Łaskowickich Koperników dał początek ich krakowskiej „linii" czy odwrotnie przypomina rozstrząsanie kwestii, co było pierwsze — jajko czy kura.

By zakończyć wszelkie partykularne zamachy na pochodzenie Kopernika tak żywe jeszcze przed stu laty pogódźmy się z faktem, że „protoplasta wszystkich Koperników, Mikołaj przyjął w r. 1396 obywatelstwo m. Krakowa i od tej pory rodzinę Koperników znajdujemy w Krakowie". (...) we wsi Łaskowice istniała przynajmniej od XVII w. rodzina włościańska nazwiskiem Kopernóg, która niedawno dopiero wygasła; w Pabianicach zaś także w XVII w. istnieli mieszczanie: Koperkowie, Koperikowie".

MIECZYSŁAW WOŹNIAKOWSKI
(według książki Maksymiliana Barucha: „Pabianice, Rzgów, i wsie okoliczne". W-wa 1903)

FACHOWCY CZY DYLETANCI?

Często słyszy się wypowiedzi różnych sławnych osobistości, sportowców, artystów jak strasznie ciężki jest ich zawód, ile wysiłku muszą wkładać w jego wykonywanie. Muzycy kłują w oczy zwykłego śmiertelnika ogromem czasu spędzanego dziennie przy instrumencie, lekkoatleci rzucają liczbami przebieganych na treningach kilometrów, a pisarze rozwodzą się nad ilością atramentu, który zużyli przy płodzeniu jakiegoś utworu.

Słuchając tego wszystkiego odnosi się wrażenie, że właśnie dany osobnik w tym swoim jedynym wybranym fachu napracuje się więcej niż inni ludzie, że to właśnie jego profesja jest najtrudniejszą ze wszystkich i żeby stać się takim mistrzem jak on sam — dodaje skromnie— potrzeba takiego talentu, tyle pracy, samozaparcia etc., że ho, ho, ho..., a może i więcej.

Wydaje mi się, że artystom czy sportowcom nie jest wcale trudniej wykonywać swój zawód niż na przykład ekspedientce czy tokarzowi. Dla śpiewaczki nie jest bardziej męczący koncert niż dla emerytki stanie kilka godzin w kolejce, dla maratończyka nie jest trudniejszy bieg niż dla górnika dniówka. Wcale nie jest pewne, że fryzjer mniej czasu i wysiłku poświęca na opanowanie fachu niż docent na pisanie habilitacji. Wysiłek jednego można porównać z wysiłkiem drugiego pamiętając przy tym, że pozostają one wobec siebie w takim samym stosunku jak zdolności umysłowe obojga.

Każdemu człowiekowi w wieku pięciu lat sprawiało trudność wydukanie słów „stół z powyłamywanymi nogami", a tabliczkę mnożenia uznaliśmy za łatwą dopiero wtedy, gdy umieliśmy ją na pamięć i ponadto zapomnieliśmy, ile trudu trzeba było ponieść, aby ją sobie przyswoić. Podobnie przedstawia się sprawa z innymi umiejętnościami, które posiadamy, a których opanowanie trwało jakiś czas i wcale nie było łatwe. Jazda na rowerze, robienie na drutach, gra na pianinie są łatwe wówczas, gdy już umiemy to robić, gdy wykonujemy te czynności prawie bezwiednie nie zastanawiając się nad każdym ruchem. Nie ma żadnej różnicy czy gra się w filharmonii, kopie piłkę w I lidze, szyje na maszynie. Wszystkie te zajęcia są łatwe dla wyuczonych ludzi, sprawiają nawet przyjemność, jakkolwiek potrzebny jest ciągły trening dla podtrzymania swojej sprawności.

Dlatego przypuszczam, że jeżeli ktoś mówi o swoim fachu jako wyjątkowo ciężkim i trudnym, to albo umyślnie kryguje się jak panienka albo jest w swojej profesji dyletantem.

Tertium non datur.

GRZEGORZ GŁOWACKI

CHOCHLIKA GONIĆ PRECZ!

Zespół korektorski „Odgłosów" najwyraźniej nazbyt przejął się uwagami łodzian o potrzebie przyjaznego traktowania zwierząt dużych i małych — w związku z czym ochroną objął również stworzenie zwane chochlikiem drukarskim. Wiedząc, że na chochlika zasadniczo nie ma rady, postanowiłem go ignorować. Który bowiem czytelnik połączy sprostowanie z tekstem, który ukazał się przed tygodniami? Niemniej to, co powyprawiał chochlik drukarski z moim tekstem „Dobór naturalny studentów" („Odgłosy" nr 33/84) zmusza mnie do erraty dwóch najbardziej drastycznych błędów.

Jedno ze zdań w drugim akapicie rozdziału „Kandydaci i studenci" powinno brzmieć: „Ostatecznie, do grona studentów I roku biologii w roku akademickim 1984/85 zakwalifikowano w UŁ 96 osób: 80, legitymujących się 17 punktami (i więcej) przyjęto w ramach tzw. „limitu", a 16 (punktów 16, 15 i 14) w ramach miejsc dodatkowych".

Drugi życiorys w rozdziale „Poziom" powinien brzmieć: „Urodziłem się w Łodzi (...) w 1965 roku. Rodzice moi są lekarzami: ojciec internista, matka — okulista. Brat mój (...) jest studentem (...) Szkołę podstawową nr (...) rozpocząłem w 1972, ukończyłem w 1980. LO im. (...) rozpocząłem w 1980 r. zaś ukończyłem w 1984"

Drobniejszych nadgryzień tekstu nie prostuję wiedząc, że dla chochlika szczególnie smakowitymi przystawkami są właśnie erraty i sprostowania.

Programowo opowiadając się za ochroną wszelkich zwierząt i zwierzątek — rzeczywistych i mitycznych, a także ssących, kłujących oraz irytujących — jestem jednocześnie za utrzymaniem ich populacji w normie. Jeden chochlik w Redakcji to najczystsza radość; lecz ich chmara to klęska, zwłaszcza dla autorów. Może by warto było — choć to lato a więc i pora lęgowa w pełni, ogłosić akcję (my akcje uwielbiamy!) zdechochliczenia „Odgłosów"? Powodzeniu akcji bardzo by sprzyjał nieustający konkurs dla Czytelników, z premią tysiąca złotych temu, co w danym tygodniu nadeśle do Redakcji przykład najbardziej zabawnego a jednocześnie złośliwego chochliczenia na łamach. Z konkursu wykluczeni być winni korektorzy — ludzie zawodowo obdarzeni nadmiarem poczucia humoru, oraz autorzy — osobnicy z natury ponurzy, organicznie niezdolni pojąć, z czego właściwie śmiejemy się, śmiejąc się w najbardziej poważnych miejscach ich tekstów.

J. STANISŁAW KNYPL

■

ZBIGNIEW JAN CHOJNACKI

„Srebrny Ptak" nad Afganistanem 2

Rankiem mjr Karpiński wraz z Rogalskim przyjechali na lotnisko ciężarówką, wiozącą cylindryczne blaszane bańki z benzyną rosyjską, gatunkowo nieco cięższą od używanej w lotnictwie polskim. Natychmiast po przybyciu na lotnisko, cały personel zabrał się do napełniania benzyną zbiorników „Srebrnego Ptaka", nie posiadając żadnych przyrządów pomocniczych, oprócz podziurawionego lejka. Nic zatem dziwnego, że podczas tankowania samolotu dużo benzyny wyciekło. Po dwugodzinnej pracy nie tylko zbiorniki samolotu były napełnione, ale ku zakłopotaniu mjr. Karpińskiego, benzyna spływała po całym kadłubie samolotu. Pilot liczył tylko na słońce, które przyspieszy wyparowanie benzyny z powierzni kadłuba jeszcze przed startem. Niestety, jak zresztą mjr Karpiński przewidywał — oleju nie mieli. Był teraz z siebie zadowolony, że zabrał blaszanki z olejem z Teheranu.

Ze startem tym razem kłopotów nie było, ponieważ odbywał się w bardzo sprzyjających warunkach atmosferycznych. Chociaż do Kabulu było jeszcze ponad tysiąc kilometrów lotu, załoga „Srebrnego Ptaka" pocieszała się, że to już ostatni etap morderczego rajdu w tym kierunku. Mjr. Karpiński, chcąc ominąć potężne i bardzo wysokie pasmo gór Sefid Kuh oraz Kuhi Baba, poleciał kursem na południe do Farrah, gdzie zmienił kurs w kierunku Kandaharu. Między Farrah a Kandaharem ponad sto dwadzieścia kilometrów przelatywali nad jednostajną pustynią solną, szlakiem karawan. Z góry widać było spękaną słońcem ziemię, a w jej wgłębieniach szkliła się sól. Promienie słoneczne, odbijające się od szarobiałej, jednostajnej powierzchni pustyni, tak oślepiały pilota, że co chwilę chował głowę w kabinę samolotu, aby oczy odpoczęły. Za Kandaharem wznosiły się ku niebu coraz wyższe góry, sięgające do pięciu tysięcy metrów i ciągnące się aż do Kabulu. W jednym ze skalistych wąwozów samolot przeleciał na wysokości czterech tysięcy metrów, pozostawiając z boku wyższe szczyty, ale maszyna tak się roztańczyła, iż zdawało się, że lada chwila zaczepi skrzydłem o skaliste zbocze.

Potem lot przebiegał nad rzeką Kabul, na której obu brzegach rozpościerały się, odbijające zielenią od szarego krajobrazu, rozległe pola uprawne, co świadczyło o zbliżaniu się do stolicy Afganistanu. Wzdłuż rzeki biegła szosa, wyglądająca z lotu ptaka, jak europejska szosa pierwszej kategorii, nad nią pilot prowadził samolot aż do Kabulu. Słońce ukryło się już za wysokimi górami, zapadał zmrok, a Kabulu jeszcze nie widać, co zaniepokoiło Rogalskiego, gdyż przed samolotem piętrzyły się jeszcze góry o sterczących wysokich szczytach. Niespodziewanie za jednym z grzebieni gór pojawiła się w dole rozległa kotlina, a na jej południowym skraju było rozrzucone miasto, jakby przyklejone do góry, otoczone zielonymi polami. Nastawał zmierzch. Pilot zapamiętale szukał lotniska. Wreszcie dostrzegł w dole, zapalające się ogniska, których dym wskazywał mu kierunek wiatru. Po chwili już lądował w tumanach wirującego piasku, na lotnisku położonym tysiąc osiemset metrów nad poziomem morza. Załogę polską powitał w języku rosyjskim szef służby technicznej lotnictwa afgańskiego wraz z kilkunastoma lotnikami. Po siedmiu godzinach lotu Polacy byli bardzo zmęczeni, toteż po zakotwiczeniu samolotu, udali się samochodem do miasta, w towarzystwie przydzielonego im kapitana lotnictwa afgańskiego, jadąc w zupełnych ciemnościach szybko zapadającej nocy.

Zakwaterowali w najlepszym hotelu o nazwie: „Kabul" Kąpiel i kolacja zakończyły męczący dzień 8 października 1932 r. Tym razem nareszcie wyspali się za wszystkie czasy w wygodnych łożach pod muślinowymi baldachimami.

Nazajutrz lotnicy polscy zjedli obfite śniadanie, w którym dominowały najrozmaitsze owoce, po czym Rogalskiego — któremu przydzielono dwóch najlepszych mechaników silnikowych — odwieziono na lotnisko, gdzie przywieziono specjalnie dla polskiego samolotu, benzynę rosyjską i olej Mobiloil, bo Shella nie mieli. Tymczasem mjr Karpiński udał się do poselstwa perskiego, w celu otrzymania wiz powrotnych do Teheranu. Przyjął go sekretarz poselstwa, który obiecał natychmiast załatwić wizy dla lotników polskich, tylko musi telegrafować do ministerstwa spraw zagranicznych w Teheranie. Mjr Karpiński zadowolony z tak szybkiego załatwienia sprawy, zapytał, o której godzinie po południu ma się zgłosić po odpowiedź? Sekretarz na moment zaniemówił, a po chwili, ze zdziwieniem zapytał: — Jak to, po południu? Najwcześniej za osiem dni! Ponieważ przesłanie depeszy z Kabulu do Teheranu trwa cztery dni. — Widząc zdziwioną minę mjr. Karpińskiego, wyjaśnił, że w Kabulu nie ma ani telegrafu, ani radia, więc depesza wędruje do Peszaneru w Indiach, na wielbiądach lub w najlepszym razie częściowo samochodem i dopiero stamtąd telegrafują do Teheranu. Mjr Karpiński długo perswadował i przekonywał Persa, że to jest rajd i nie może tracić czasu, musi natychmiast lecieć dalej. Pers, nie bardzo rozumiał, o co chodzi, ale po długich dyskusjach Polak otrzymał wizy dla siebie i Rogalskiego.

Po dwudniowym pobycie w Kabulu, ku zmartwieniu tamtejszych władz i lotników afgańskich — mających program uroczystości goszczenia Polaków, obliczony na cały tydzień — 11 października 1932 r SP-ABW wystartowała do dalszego rajdu, w drogę powrotną do kraju. Pilot musiał wykonać trudny start z bocznym wiatrem, ponieważ lotnisko w kierunku pod wiatr okazało się za krótkie dla samolotu przeciążonego ośmiuset litrami benzyny, a po tamtej stronie lotniska wysoko przebiegała linia wysokiego napięcia. Niemały wpływ na utrudnienie startu miało również wysokie położenie lotniska nad poziomem morza. Maszyna, mimo wysiłków pilota, trzymała się ziemi, jak przyklejona, przez całą pierwszą połowę pola startowego, dopiero po bardzo długim rozbiegu na drugiej połowie, wzniosła się w powietrze. Pilot zaraz po starcie wykonał ostry skręt przed zbliżającą się górą, aby uniknąć zderzenia, a potem krążył, nabierając wysokości do przelotu nad wysokim pasmem gór.

Kursem na Ghazni dłuższy czas lecieli wzdłuż rzeki. Mimo wczesnej pory dnia mjr Karpiński z trudem panował nad rozkołysaną maszyną. Kiedy dolecieli nad dolinę rzeki Arghand, gdzie góry stopniowo obniżały się, „kołysanie" znacznie zmalało. Załodze „Srebrnego Ptaka" towarzyszyła piękna, bezchmurna i słoneczna pogoda, lecz niedługo się cieszyli wspaniałą aurą. Skoro tylko przelecieli nad oazą Giriszk, rozpętało się istne piekło. Na niebie kotłowały się ciemne, ołowiane chmury, rzucając samolotem, jak piłką. Rozszalała się burza o nieznanej u nas sile. Mjr Karpiński, omijając burzę, zboczył daleko w pustynię, na której po godzinnym locie napotkali jeszcze straszniejszy żywioł. Z czarnej chmury gnał ku ziemi w szybkim ruchu wirowym olbrzymi lej. Na przestrzeni wielu kilometrów kotłował się piasek pustyni, wznosząc się w powietrze, w kształcie olbrzymiej trąby o średnicy kilkuset metrów. Trąba powoli zbliżała się ku lecącemu samolotowi. Chcąc uniknąć ataku potężnego żywiołu, pilot na pełnym gazie uciekał z zagrożonego obszaru, jeszcze bardziej zbaczając z trasy do Heratu. Chociaż szalejący żywioł pozostał daleko za samolotem, jego załoga jeszcze przez długi czas odczuwała bliskość wiru. Karpiński zniżył lot, starając się odnaleźć jakikolwiek punkt orientacyjny, pozwalający dolecieć do Heratu. Po długim czasie odnalazł szczegóły topograficzne, powracając na właściwy kurs lotu. Pełni wrażeń, po dziesięciu godzinach lotu wylądowali w Heracie, ale tym razem lot trwał dłużej o dwie i pół godziny, niż poprzednio, w przeciwnym kierunku.

13 października SP-ABW wystartowała do następnego etapu: Herat-Teheran. Zaraz po starcie horyzont zaciemnił się i rozpoczęło się „rzucanie" maszyny. Pilot wzbił się wysoko, przelatując ponad górami, a pod maszyną kotłowały się chmury i kłębiła się mgła. Samolot zbliżał się do pustyni solnej. Mimo wydostania się z chmur i doskonałej pogody, maszyna „tańczyła" coraz bardziej, zaś nad północnym skrajem pustyni Kewir lot stawał się wręcz uciążliwy. Maszyną tak „kołysało", że Karpińskiemu mdlała już ręka od ciągłego manewrowania drążkiem sterowym. Nagle wpadli w strefę ulewnego deszczu, w którym szczyty gór były niewidoczne. Po półgodzinnym locie wydostali się z chmur deszczowych, kontynuując spokojniejszy lot.

Nie ochłonęli jeszcze po ostatnich wrażeniach, gdy nastąpiło coś, czego najmniej się spodziewali. Około dziewięćdziesiąt kilometrów przed Teheranem, silnik zaczął dławić się, „kaszleć" i strzelać, aż wreszcie zamilkł. Pilot zorientował się, że wyczerpała się benzyna w głównych zbiornikach, ale wykorzystując jeszcze dość szybkie obroty śmigła, natychmiast włączył dodatkowy zbiornik opadowy — wystarczający na czterdzieści pięć minut lotu — i silnik zaskoczył, rozbrzmiewając swym warkotem w przestrzeni. Zalegająca nad miastem lekka mgiełka oraz oślepiający blask zachodzącego słońca utrudniały odnalezienie lotniska, na którym lądowali po dziewięciu godzinach lotu.

W hotelu mjr Karpiński nie mógł długo zasnąć, odczuwając dotkliwy ból w prawym ramieniu od wytężonej pracy drążkiem sterowym w czasie ostatniego lotu. Następny dzień upłynął załodze polskiego samolotu na składaniu oficjalnych wizyt różnym osobistościom.

Wczesnym rankiem 15 października, przy doskonałej pogodzie mjr Karpiński odleciał z Teheranu, mając do pokonania pięćset pięćdziesiąt kilometrów nad wysokimi górami, nad którymi lot odbywał się na dużej wysokości, utrudniony przez czołowy wiatr. Dopiero za Hamadanem góry znacznie obniżyły się, pozwalając zejść pilotowi na tysiąc metrów, ale na trzystukilometrowym odcinku z Hamadanu do Bagdadu silny wiatr zniósł maszynę z kursu aż o pięćdziesiąt kilometrów. Wreszcie po siedmiu godzinach lotu „Srebrny Ptak" osiągnął lotnisko bagdadzkie, gdzie nastąpiła całkowita wymiana oleju.

Nazajutrz załoga SP-ABW wystartowała do trudnego lotu, mając do przelecenia odległość tysiąc trzysta kilometrów w bardzo trudnych warunkach, w tym prawie osiemset kilometrów nad pustynią. Koło miejscowości Falluja przelecieli nad Eufratem, za którym zaczynała się bezkresna pustynia. Wkrótce Eufrat zniknął w zamglonej dali, a nad pustynią przewalały się olbrzymie zwały ciemnych chmur. Znad pustyni wznosiły się wysoko pod niebo tumany piasku, łączącego się z dolną warstwą chmur. Nagle samolot rzucony potężnym podmuchem, zwalił się w dół, ślizgiem na skrzydło. Pilot z dużym wysiłkiem wyprowadził maszynę i wyrównał lot, ale nastąpiło tak silne „rzucanie", że Karpiński z trudem panował nad sterami. Powrót do Bagdadu był niemożliwy ze względu na konieczność opróżnienia w powietrzu głównych zbiorników benzyny. W tej sytuacji mjr Karpiński postanowił kontynuować lot za wszelką cenę. Na pełnych obrotach silnika skierował samolot prosto w kotłujące się chmury pary wodnej i piasku, w miejscu, gdzie wydawały się najmniej gęste. Momentalnie odczuł silne szarpnięcie w sterach i febryczne drgania konstrukcji płatowca, a silnik niesamowicie skowyczał z wysiłku. Samolot szybko opadał w dół. Wysokościomierz wskazywał już tylko pięćset metrów nad ziemią. W ciągu kilku sekund samolot stracił połowę wysokości, co groziło niechybną katastrofą. Pilot skupił się, prowadząc maszynę wprost przed siebie. SP-ABW weszła w szalejącą, ciemną masę chmur, wykonując ruchy trudne do opisania. Teraz wszystko zależało tylko od silnika. W szaleńczym wirze powietrznym, zdawało się, że samolot rozleci się w strzępy. Niezadługo przejaśniało i zabłysło słońce, boleśnie rażąc oczy. W promieniach słońca błyszczały bezbrzeżne połacie pustyni, a męczące „kołysanie" ustało i lot odbywał się spokojnie. Lotnicy odetchnęli i korzystając z sprzyjających warunków lotu, zwilżali usta winogronami. Mjr Karpiński poczuł ostry ból w dolnej wardze, a kiedy przetarł ją chusteczką, dostrzegł na niej krew. Wyjął z kombinezonu wazelinę, smarując usta i twarz popękaną ze spiekoty. Co pewien czas zmieniał kurs, orientując się według rzek, dróg i oaz — konfrontowanych z mapą — lecąc w kierunku Kairu.

Po przelocie nad Jerozolimą i Gazą „Srebrny Ptak" osiągnął Morze Śródziemne, nad którym wisiały ciemne chmury i trochę „rzucało" maszyną, ale wkrótce powietrze przejaśniło się i było tak czyste, że z odległości około czterdziestu kilometrów widać było Port Said. Przelecieli nad gorącymi piaskami Egiptu i Kanałem Ismalijskim, którego brzegi zieleniły się uprawnymi polami, a potem już Kair, nad którym lecieli do pobliskiego Heliopolis, lądując po dziewięciu godzinach, na cywilnym lotnisku Almaza.

W następnym dniu zwiedzali miasto i okolice, a gdy po dwóch dniach przyjechali na lotnisko spowite mgłą, byli owacyjnie żegnani przez przedstawicieli polskiego poselstwa oraz polskiej kolonii w Egipcie, obdarowywani mnóstwem kwiatów i pozdrowieniami dla kraju, po czym odlecieli do Gazy. Znów dzień odpoczynku, spędzony na zwiedzaniu Jerozolimy, Betlejem i okolic, aby nazajutrz wystartować do Aleppo, w którym lądowali po trzech i pół godzinach spokojnego lotu.

21 października, po dość trudnym starcie przy słabym wschodnim wietrze lecieli nad płaskowyżem pustynnym, poprzecinanym licznymi rzekami. Kołysanie stawało się niezwykle męczące, przy czym mjr Karpiński znów odczuwał zapomniany tępy ból w prawej ręce, od nieustannego manewrowania drążkiem sterowym. Po przeleceniu rzeki Sakarji lotnicy spostrzegli zwarte, gęste masy chmur, zakrywające pasmo górskie. Przez kwadrans pilot prowadził maszynę pod chmurami. Jak okiem sięgnąć — wokoło mleczne morze obłoków, w którym łatwo było zbłądzić, tracąc widzialność ziemi. Jedyną szansą wyjścia z opresji, był przelot niebezpiecznym i pełnym zasadzek wąwozem rzeki Sakarji. Mjr Karpiński zaryzykował i zniżając się, doleciał nad rzekę, częściowo pokrytą już chmurami. Podczas przelotu nad wąwozem, kiedy pilot jeszcze bardziej zniżył lot, w zastrzałach samolotu coś dziko zawyło, a potężny podmuch rzucił maszyną nad samą powierzchnię rzeki. Z niezwykłym wysiłkiem pilot wyrównał lot maszyny, której lewe skrzydło omal nie zawadziło o skaliste zbocze wąwozu. Wysokościomierz wskazywał trzysta metrów. Lecieli w krętym niskim korytarzu wąwozu. Nad samolotem przewalały się czarne, ołowiane chmury, w dole płynęła rzeka, a po bokach skaliste ściany wąwozu. Karpiński leciał tuż pod podstawą niskich chmur, wytężając wzrok, aby dojrzeć zakręty wąwozu i załomy skał, a samolotem targało z tak potężną siłą, że w każdej chwili groziło rozbicie się o skały. O zawróceniu z tej wąskiej gardzieli, przy niezwykle silnych wirach powietrznych, nie było mowy. W pewnych miejscach wąwóz zwężał się do tego stopnia, że samolot z trudem prześlizgiwał się między skałami. Najdramatyczniejsze chwile przeżywali lotnicy wtedy, gdy widoczność zakrywały strzępy chmur, a pilot gwałtownie zniżał lot, celem jej uzyskania, a jednocześnie dla uniknięcia zderzenia ze skałami lub z powierzchnią wody. Lot wąwozem trwał pół godziny, wydające się załodze „Srebrnego Ptaka" wiecznością. Mjr Karpiński był mokry z wysiłku fizycznego i psychicznego.

Wreszcie przed samolotem rozjaśniło się, a nieco później już przelatywali nad rozległą doliną, lecz pułap chmur był nadal bardzo niski. Nad Adabazarem przylecieli niemal nad samymi dachami zabudowań.

Na trasie lotu wzgórza, tonące w chmurach, a dalej wysokie góry. Załoga SP-ABW znalazła się w pułapce, bez wyjścia. Pilot, bezskutecznie szukając „dziury" w chmurach, zawrócił nad jezioro Sabandża Göl, ponad którym można było przelecieć do Morza Marmara, lecz była to strefa zakazana dla przelotów. Poza tym mjr Karpiński obawiał się komplikacji dyplomatycznych albo, co gorsza, ostrzelania samolotu przez okręty wojenne. Jeszcze raz zawrócił nad Adabazar, lecz sytuacja atmosferyczna znacznie tam się pogorszyła, chmury opadały coraz niżej i rozprzestrzeniała się gęstniejąca mgła. Znowu powrócił nad jezioro i zdecydował się lecieć strefą zakazaną, bez względu na konsekwencje. Zaryzykował, nie mając innego wyboru.

„Srebrny Ptak" przeleciał nad długim, wąskim jeziorem otoczonym wysokimi wzgórzami, porośniętymi lasem, którego wierzchołki tonęły w chmurach. Od połowy jeziora przekroczył strefę zakazaną. Za jeziorem przelatywali nad małą doliną, o potem wzdłuż toru kolejowego dotarli nad Morze Marmara. Nad wzburzonymi falami kłębiły się niskie chmury. W potężnej sile wirów powietrznych maszyna wyprawiała harce, trudne do opanowania przez pilota. Z dużym wysiłkiem mjr Karpiński panował nad samolotem, aby uniknąć zderzenia kół maszyny z wzburzonymi falami, co mogłoby spowodować wywrócenie się samolotu i zatonięcie. Przez cały czas załodze SP-ABW towarzyszył ryk porywistego wichru i spienionych fal oraz wycie silnika na pełnym gazie. Do Stambułu jeszcze około stu kilometrów w podobnych warunkach lotu. Mjr Karpiński po mistrzowsku panował nad rozkołysaną maszyną, obawiał się tylko mgły, która mogłaby unicestwić wszystkie jego wysiłki. Po kilku godzinach przelecieli nad kilkoma pancernikami i torpedowcami, ale szczęśliwie bez następstw, jakich ewentualnie spodziewali się. Nieco później minęli jeszcze jeden okręt wojenny, przelatując z zatoki nad pełne morze. Chmury były tak niskie, że przelatywali ponad grzebieniami fal. Powietrze stawało się coraz bardziej mglisto, malała widzialność. Karpiński skierował maszynę na północny-zachód, lecąc wzdłuż brzegu morza na wysokości dwudziestu metrów. Po ośmiu i pół godzinach niezwykle męczącego i trudnego lotu, wylądowali pod bardzo silny i porywisty wiatr, na lotnisku stambulskim. Załoga „Srebrnego Ptaka" była wyczerpana do ostateczności tym przelotem, toteż następnego dnia pozostali w Stambule, żeby odpocząć przed czekającym ich dalekim lotem do kraju.

Nareszcie upragniony powrót do kraju i przedostatni etap morderczego rajdu. Po raz ostatni na obczyźnie uzupełnili zbiorniki samolotu paliwem i 23 października, przy pięknej, bezchmurnej pogodzie wystartowali do Polski. Lot wiódł nad Bułgarią i Rumunią i mimo że odbywał się na wysokości dwóch tysięcy metrów, „kołysanie" było lekkie i przyjemne, w porównaniu z tym, co przeżywali w Azji. Pokonując dystans tysiąca trzystu sześćdziesięciu kilometrów, po dziesięciu godzinach lotu, szczęśliwie wylądowali na lotnisku lubelskim.

Następny dzień był bardzo chmurny i wietrzny. Mimo to SP-ABW o godzinie 14.15 wystartowała, kierując się ku stolicy. Na wysokości sześciuset metrów przewalały się czarne chmury deszczowe, a porywisty wicher „rzucał" samolotem — już po raz ostatni w tym rajdzie. Niepomyślne warunki atmosferyczne znacznie zmniejszyły szybkość lotu. Po półtoragodzinnym locie maszyna wylądowała na lotnisku mokotowskim, owacyjnie witana przez tłumy warszawiaków oraz przedstawicieli władz wojskowych i cywilnych. Bohaterskich lotników zasypano kwiatami a gratulacjom nie było końca. Pełen przygód i dramatycznych przeżyć lot uwieńczył sukces i znów rozsławił polskie lotnictwo w świecie.

Mjr pil. **Stanisław Karpiński** wraz z dzielnym mechanikiem **Wiktorem Rogalskim**, w dniach od 2 do 24 października 1932 roku, na samolocie całkowicie polskiej konstrukcji „Lublin R-Xa bis", w piętnastu dziennych etapach przelecieli czternaście tysięcy trzysta dziewięćdziesiąt kilometrów, w stu ośmiu godzinach i pięćdziesięciu minutach, w niezwykle trudnych warunkach. W przeciwieństwie do lotów rekordowych, wykonywanych przez innych lotników polskich ten lot miał charakter propagandowy, którego głównym celem była propaganda Polski w krajach Azji i Afryki, a przede wszystkim propaganda polskiego przemysłu lotniczego oraz wypróbowanie naszego sprzętu lotniczego w trudnych warunkach lotu. Rajd ten doskonale zdał egzamin, gdyż nasz samolot wytrzymał najtrudniejsze sytuacje lotu, bez awarii silnika i uszkodzenia płatowca, zyskując opinię najlepszego — na owe czasy — samolotu, nie tylko wojskowego, ale i rajdowego. Na wszystkich lotniskach rajdu podziwiano polski samolot, interesując się jego walorami technicznymi.

Właściwie, to samolot „Lublin R-Xa bis" odebrał mjr pil. Stanisław Karpiński z zakładów w Lublinie, w 1931 roku, jako maszynę treningową do lotu australijskiego, do którego przygotowywał się od dwóch lat i osobiście traktował lot do Afganistanu, jako trening do przyszłego lotu na piąty kontynent.

Ppłk. pil. Stanisław Karpiński — ten wspaniały oficer i pilot — w okresie międzywojennym znacznie przyczynił się do rozbudowy polskich lotnisk wojskowych i nie tylko wojskowych. W latach 1938/39 był zastępcą szefa Sztabu Lotniczego przy Sztabie Głównym Wojska Polskiego. W czasie II wojny światowej pełnił liczne funkcje dowódcze w Polskich Siłach Powietrznych w Wielkiej Brytanii, będąc między innymi oficerem łącznikowym w Bomber Command (Lotnictwie Bombowym), a pod koniec wojny awansował do stopnia generała brygady. Swoimi niezwykłymi przelotami ugruntował sławę lotnictwa polskiego w świecie.

Papież i Watykan

Poniedziałek 16 lipca 1984 r., papież Jan Paweł II i prezydent Republiki Włoskiej Sandro Pertini spędzili w Alpach, na masywie Adamello. Niezwykła ta wyprawa wzbudziła powszechne zainteresowanie a nie brakło także głosów krytycznych... Pisała o tym wydarzeniu m. in. włoska „Epoca" — piórem Stefano De Andreis, nawiązując przy okazji do innych, wcześniejszych tego typu inicjatyw Jana Pawła II i stwierdzając, że „dla tego papieża Watykan jest naprawdę nieco za ciasny"... Oto — z niewielkimi skrótami — tekst „Epoki".

* * *

Wszystko zaczęło się w piątek 13 lipca — telefonem papieża do Pertiniego:

— Jadę na dwa dni w góry. Nie pojechałby pan ze mną?

— Przecież ja nie umiem jeździć na nartach — powiedział prezydent, jednak papież szybko zareplikował:

— Wiem, że lubi pan góry, niech się więc pan wybierze ze mną. Zjemy razem śniadanie w schronisku...

* * *

Swego czasu, zaraz po wstąpieniu Jana Pawła II na tron Piotrowy, o papieżu kursowało sporo anegdot. Później, powolutku, bizantyjski formalizm najstarszej w świecie monarchii absolutnej zaczął brać górę. Jeżeli nawet coś opowiadano, to półgłosem, jak gdyby czyniono coś zakazanego. No bo czy to wypada „deptać po piętach" komuś tak wysoko postawionemu? I śmiać się na jego temat?

Ale kiedy oficjalnie poinformowano — i chyba dlatego, że nie można było tego uniknąć — że Karol Wojtyła w towarzystwie prezydenta Pertiniego pojechał na kilka dni w Alpy, anegdotyka papieska znów ożyła.

Granica między tym, co w tych anegdotach prawdziwe, a tym, co tylko prawdopodobne, jest oczywiście trudno uchwytna, ale to wcale nie przeszkadza, jeśli uwagę skieruje się na istotę rzeczy. Dla Jana Pawła II, człowieka, który wstąpił na tron Piotrowy prawie dosłownie dopiero co zszedłszy z kajaka śmigającego po bystrych tatrzańskich potokach, człowieka, który pływa w wybudowanym specjalnie dla niego basenie w Castelgandolfo i jeździ na nartach — Watykan naprawdę jest trochę za ciasny. I nie tylko dlatego, że jest ciasny dosłownie, pełen starców, smutny i démodé — za olśniewającymi pozorami swej siedemnastowiecznej scenografii. Ale przede wszystkim dlatego — i tu już rozmowa staje się bardziej poważna — że nie *można mieć otwartych oczu na świat, zaludniony ponad siedmiuset milionami katolików, jeśli* jednocześnie kieruje się mini-państwem trapionym przez skostniałą i antyfeministyczną biurokrację, przesiąkniętą niepohamowanym umiłowaniem etykiety, tak dalekiej od Ewangelii, jak daleki jest hedonizm od Arystypa.

Nic więc dziwnego, że anegdoty — zarówno te rozpowszechniane na początku pontyfikatu, jak i obecne — mają ten sam smak, są bowiem przyprawione silną chęcią odrzucenia utartych obyczajów i tradycyjnych układów.

Nie wiem, czy to była prawda, czy tylko prawdopodobieństwo, ale mnie opowieść o tym, jak to pewnego wieczoru, w początkach swego pontyfikatu, papież Wojtyła wraz ze swym sekretarzem, Stanisławem Dziwiszem, wyszedł po kryjomu z Watykanu — bardzo się podobała. A było to tak.

Po kolacji, około wpół do dziewiątej, Jan Paweł II zapytał niespodziewanie swego sekretarza:

— Stasiu, nie masz pod ręką jakiegoś parasola?

Młody ksiądz krakowski, dopiero co awansowany na prałata i jeszcze będący pod wrażeniem szoku doznanego po wykatapultowaniu go razem z Wojtyłą na wierzchołek Kościoła rzymskiego szanowany i lubiany przez wszystkich — uniósł brwi ze zdziwienia. Na dworze było zimno, wiał silny wiatr i zanosiło się na deszcz.

— Chyba nie chce ojciec święty spacerować w taką pogodę po ogrodach watykańskich?

— Bądź spokojny, wcale nie myślę o ogrodach watykańskich — odparł papież. — Chciałbym pospacerować po Rzymie.

— Co? Tak zwyczajnie, piechotą? Trzeba będzie powiadomić ochronę...

— Nie, nie trzeba. Włożę czarny habit, jakiś stary kapelusz i wyjdziemy bez świty i kontroli.

Nikt nie zwrócił nawet uwagi na dwóch księży, kiedy zeszli na dziedziniec św. Damazego i piechotą skierowali się ku bramie św. Anny. Przeszli ją pod obojętnymi spojrzeniami szwajcarskiej gwardii, przekroczyli ulicę Porta Angelica, przebiegli odcinek kolumnady z lewej i wydostali się na via della Conciliazione. Potem pomaszerowali nabrzeżem Tybru w kierunku mostu Małgorzaty. Tu panowały nieprzeniknione ciemności — wśród nich trochę samochodów, jeszcze mniej przechodniów. Tak dotarli aż do placu przy moście Milvio. Była już prawie dziesiąta.

— Stasiu, masz przy sobie trochę pieniędzy? — spytał papież. Przewielebny Dziwisz, niestety, nie miał. Strapiony, z kieszeni płaszcza wydobył pomięty banknot stuzłotowy.

— Zrobiło się późno — rzekł papież. — Żeby tylko nie zaczęli się o nas martwić! Może już nawet ktoś się zorientował, żeśmy wyszli. Weźmiemy taksówkę, a potem pozwolimy sobie pożyczyć parę lirów od Szwajcarów przy bramie.

Wślizgnęli się do taksówki. W tamtych czasach Dziwisz po włosku dukał ledwie parę słów, toteż papież podał taksówkarzowi adres i wyjaśnił, że zapłacą zaraz po przybyciu na miejsce.

Tymczasem w Watykanie nastał istny sądny dzień: nigdzie nie można było znaleźć Jana Pawła II. Prałaci i biskupi z bezpośredniego otoczenia papieża, przerażeni, wszczęli alarm. Wszak od porwania Aldo Moro przez „czerwone brygady" minęło dopiero kilka miesięcy... Nikt nie wiedział, co czynić, co myśleć. Zdecydowano postawić w stan alarmu wszystkie posterunki straży.

W tym właśnie momencie taksówka z dwoma księżmi zatrzymała się przed bramą św. Anny. Nieufny strażnik szwajcarski usiłował dać im do zrozumienia, że o tej porze na teren Watykanu mogą wchodzić jedynie jego mieszkańcy.

— Ale... ja tu mieszkam — wyjaśnił swoją łamaną włoszczyzną papieski sekretarz.

— Ach, tak? A gdzie konkretnie? — dopytywał zniecierpliwiony strażnik.

— W apartamencie papieskim.

— Słuchaj, wielebny. Jeżeli nie przestaniesz mnie molestować będę musiał wezwać policję włoską — uciął strażnik, przywołując na pomoc swego kolegę. Podczas gdy obaj gawędzili między sobą po niemiecku, włączył się Jan Paweł II, unosząc rondo czarnego kapelusza, by łatwiej można go było rozpoznać.

— Ja także tu mieszkam. Jestem papieżem.

Spojrzeli na niego wybałuszonymi oczami, przekonani, że mają do czynienia z jakimś mitomanem.

Na szczęście, w tym momencie zadźwięczał telefon. Właśnie zarządzano alarm z powodu zniknięcia papieża i strażnik odbierający telefon doznał nagłego olśnienia. Dał kuksańca swemu koledze i... padł na kolana.

Kilka miesięcy później, gdy na początku roku 1979 rozniosła się wieść, że w willi w Castelgandolfo buduje się basen pływacki, Watykan wstrzymał się z jej potwierdzeniem. Jak gdyby obecność elementu ludzkiego mogła spaczyć wizerunek papieża... Skrzywienia umysłowe papieskiego dworu doprowadziły następnie do dostarczenia opinii publicznej wymyślnych wyjaśnień, a tym samym do pogwałcenia zasady, od stuleci przestrzeganej w Watykanie: „Excusatio non petita, fit accusatio manifesta" (Tłumaczenie się, gdy go nie żądają, jest jawnym samooskarżeniem). Tak tedy dowiedzieliśmy się np., że Jan Paweł II musi pływać, aby wyleczyć się ze starej i dokuczliwej postaci skoliozy (skrzywienia kręgosłupa). Znalazł się nawet ktoś, kto precyzował: w ciągu roku papież musi wykonać bezwarunkowo 2.600 wymachów rąk.

Wszystkie podobne „usprawiedliwienia" — jak zauważył pewien psychoanalityk — dowodzą, jak wielki jest lęk kurii. Nie do pomyślenia jest — mówiły zgorszone osobistości w Watykanie — aby papież mógł mieć, tak po prostu, ochotę na kąpiel i słońce...

Jan Paweł II był wybrany papieżem bardzo młodo. Wysportowany i energiczny, w dniu objęcia pontyfikatu (22 października 1978 r.) miał 58 lat. W bazylice św. Piotra jego postać tryskała siłą i witalnością — na tle kardynałów i biskupów, zgarbionych i pokrzywionych wskutek dolegliwości starczych, często przedwcześnie postarzałych również duchem. Widok takiego papieża prowokował w kurii rzymskiej ochotę wzięcia odwetu starego nad młodym, wsadzenia go do klatki, zakapsułowania, sprowadzenia do przeciętności.

Nie wiem, czy 19 marca 1984 r. rzeczywiście Jan Paweł II, z trzema czy czterema prałatami (wszyscy ubrani w spodnie i czarne wiatrówki), wsiadł do furgonetki marki „Volkswagen" i udał się na narty, wybierając miejsce najmniej uczęszczane. Cóż zresztą byłoby w tym złego? Według opowiadań mieszkańców doliny, którzy to widzieli, księża przybyli wczesnym rankiem. Jeden wjeżdżał wyciągiem do góry, a gdy zjeżdżał nartostradą, pozostali obserwowali go z dołu.

Koło południa weszli do furgonetki, wydobyli kilka bułek oraz termos z gorącą herbatą. Potem — znów godzinka nart i w końcu wyjazd na szosę wiodącą do Rzymu. Stolica Apostolska zdementowała te opowieści ostro i z przesadnym oburzeniem (przynajmniej tak to odczuwa się dziś, w świetle epizodu na Adamello).

W najwyższych kręgach Watykanu do dziś jeszcze trafiają się tacy, którzy podobne zachowanie papieża uważają za uchybiające dostojeństwu instytucji. Jak to: papież w charakterze jakiegoś turysty? Zabawiający się jak zwykły człowiek? Pokazujący się — i pozwalający się fotografować — w spodniach i wiatrówce?

Takie pytania powtarzało szeptem paru kardynałów, którzy w gruncie rzeczy mieli za złe papieżowi nie to, że jest taki młody, ale to, że zadaje cios aparatowi biurokracji i władzy, oderwanemu od rzeczywistości i dalekiemu od umysłów i serc setek milionów katolików na świecie, borykających się z przeróżnymi problemami, jak nędza, głód, niesprawiedliwość, wojna, śmierć.

W takich reakcjach — dość powszechnych w tych dniach w hierarchii watykańskiej, aż do jej kół najniższych włącznie — zawiera się cały ładunek emocjonalny świty, która czuje się zdradzoną przez swego idola. Dlatego też papież wyobcowuje się z niej, a o konszachtach i swarach w kurii nawet nie chce wiedzieć. Dlatego myśli wyłącznie o wielkich problemach ludzkości, o sile chrześcijaństwa jako remedium na wszystkie konflikty i problemy trapiące rodzaj ludzki. I lansuje Ewangelię jako propozycję nową, odważną, nie lękającą się konfrontacji z myślą laicką, dominującą już obecnie w świecie zachodnim, który przecież kiedyś był kolebką chrześcijaństwa.

Jan Paweł II w pełni zdaje sobie sprawę z tego, jakie podjął ryzyko. Jeszcze lepiej od niego wie o tym z pewnością ów stary i doświadczony człowiek, jakim jest sekretarz stanu, kardynał Agostino Casaroli. Ja natomiast domyślam się, dlaczego ta ostatnia wyprawa odbyła się wspólnie z prezydentem Pertinim. Gdyby papież podjął ją sam, głosy krytyki pod jego adresem byłyby z pewnością liczniejsze. A tak — wyprawa na Adamello uznana została po prostu za kolejną wymianę grzeczności pomiędzy dwoma panami, których ludzie lubią widzieć razem.

— A jak będzie z zamierzoną wyprawą kajakową? — ironicznie zapytał mnie pewien prałat — jeden z tych, którym nie w smak są podobne inicjatywy papieskie, ale który również podsunął mi myśl, że Casaroli macza palce w dokładnym przygotowaniu eskapady. — Pewnie niełatwo będzie przekonać Pertiniego, by towarzyszył papieżowi wśród wirów alpejskiego potoku...

Podczas wyprawy na Adamello — jak to czytaliśmy w gazetach — szef państwa bawił się, jak mało kiedy w życiu mu się przydarzyło. Ceni sobie przyjaźń, która stale się umacnia, m. in. poprzez rozmowy telefoniczne oraz spotkania — o których wiemy, albo i nie. Jemu — podobnie jak papieżowi — wybrzydzania grupki nielicznych nie przeszkadzają. Lubi silne emocje. A jeśli emocje te mieszczą się także w świadomości ogółu — to tym lepiej.

Zwykli ludzie natomiast mogą się jedynie cieszyć, że papież jest właśnie taki. Katolicy — ponieważ znaleźli w nim człowieka żywego, a nie zabalsamowanego faraona, dalekiego i nieosiągalnego, według ulubionego schematu instytucji kościelnej i jej tradycji. Schematu, złamanego dopiero w tym wieku przez papieża Jana XXIII. Laicy zaś — ponieważ przeczuwają, że ten papież ma coś ważnego do powiedzenia światu, który przekracza granice wszystkich „nie" katolickiej moralności, a także roli Kościoła.

Nie wiadomo, czy Jan Paweł II rozważał te sprawy przed podjęciem dwudniowej „imprezy rozrywkowej" na Adamello. Ludzie myślą, że nie, a być może, woleliby żeby nie. Ludzie lubią myśleć, że jego poczynania są całkiem spontaniczne, że taki sposób grania roli jest mu wrodzony.

Psycholodzy twierdzą, że dzisiaj ludziom brakuje punktów odniesienia, i że w swym poszukiwaniu ojca — ojca silnego — w Wojtyle odnaleźli człowieka, na którego się patrzy — także spoza granic katolicyzmu. Za jego pokojowe wysiłki, za potępianie niesprawiedliwości i głodu, za uporczywe poszukiwanie wartości, które zresztą są stare, jak świat i człowiek.

STEFANO DE ANDREIS
(„Epoca")
Tłumaczenie: M. A.

Medycyna: rytmy życia

Rozmowa z prof. FIODOREM KOMAROWEM

— Czym pan tłumaczy wzrastające zainteresowanie biorytmami? Przecież nie zostały one odkryte w naszym stuleciu. O biorytmach wiedziano już w starożytności.

— Już ojciec medycyny Hipokrates zwracał uwagę na to, że „wraz z porą roku zmieniają się choroby ludzi". W starożytnych Chinach istniały „zegary siły życiowej" i „zegary zapadania na choroby" danego organizmu. Zgodnie z nimi prowadzono leczenie.

Współczesna nauka umożliwiła przejście od powierzchownych obserwacji do badania biorytmów na szczeblu molekularnym i komórkowym z zastosowaniem skomplikowanej techniki obliczeniowej. Nie zapominając przeszłości, zrobiliśmy jakościowy krok naprzód. Teraz przyjmuje się powszechnie, że biorytmy zalicza się do podstawowych właściwości wszystkiego co żyje. Zostały one odkryte u wszystkich organizmów: u jednokomórkowców i wielokomórkowców, u roślin i bakterii. Rytmiczność funkcji występuje w ciągu całego życia. Opisano przeszło sto biorytmów z okresami od ułamka sekundy do setek lat. Synchronizacja rozmaitych rytmów w organizmie tworzy uporządkowany system, pozwalający człowiekowi na utrzymanie się w optymalnej normie w stosunku do otaczającego go środowiska.

Jeśli przedstawimy graficzny obraz dobowej funkcji jakiegoś organizmu, okaże się, że jest nim sinusoida — ze swoimi wzniesieniami i spadkami. W zależności od czasu badania organu dane zmieniają się nieraz kilkakrotnie, nawet w wypadku zdrowego człowieka. Dlatego w celu postawienia właściwej diagnozy trzeba dokładnie wiedzieć, o jakiej porze doby przystąpić do badania. Należy również uwzględnić to, że w stanie chorobowym zmienia się nie tylko rytm pracy danego organu, lecz również jakościowa strona jego funkcji.

Wykazano eksperymentalnie, że skuteczność leczenia zależy od czasu podawania leków. Chronoterapia otwiera więc drogę do maksymalnego wykorzystania działania leków przy ich minimalnym dawkowaniu i minimalnym działaniu ubocznym. Stwierdzono np., że optymalny czas przyjmowania preparatów hormonalnych w leczeniu astmy oskrzelowej — to godziny 8.00 i 15.00. Leki przeciwko cukrzycy działają silniej rano niż po południu. Onkolodzy uzyskują najlepsze efekty leczenia, kiedy podają leki w czasie najsilniejszego ich oddziaływania na komórki nowotworu.

Wreszcie nie można pominąć milczeniem takiego ważnego kierunku, jakim jest chronoprofilaktyka. Już dzisiaj lekarze mogą ostrzec ludzi cierpiących lub skłonnych do poszczególnych chorób przed zaostrzeniem objawów w określonej porze roku lub nawet miesiąca. Np. ustalono, że możliwość nasilenia choroby nadciśnieniowej wzrasta w maju, lipcu i wrześniu, owrzodzenia dwunastnicy — w okresie wiosenno-jesiennym, zawału serca — w zimie, przy czym najbardziej groźna w ostatnim przypadku jest pierwsza dekada miesiąca.

Zrozumienie głębokich procesów, leżących u podstaw sezonowego (rocznego) zaostrzenia choroby, umożliwi stosowanie ukierunkowanej terapii profilaktycznej. Czyż trzeba podkreślać, jak ważne znaczenie ma rozwiązanie tego problemu na płaszczyźnie społecznej.

Radzieccy specjaliści przeprowadzili rozległe badania przydatności do pracy człowieka w ciągu doby. Ustalono, że jej szczyt w ciągu dnia przypada między godzinami 9.00—13.00 i 16.00—18.00, natomiast minimum — w godzinach od 13.00 do 15.00. W nocy zdolność do pracy obniża się, zwłaszcza w godzinach 1.00 do 3.00. Na podstawie tego zalecono taką organizację pracy zmianowej w przedsiębiorstwach i transporcie, aby ograniczyć do minimum przemęczenie, uniknąć wypadków przy pracy i awarii produkcyjnych.

Dane statystyczne świadczą, że w tych jednostkach transportowych, które prowadzą wszechstronną ewidencję biorytmologiczną, liczba wypadków drogowych z winy kierowców zmniejszyła się 2,5 raza.

Nasze zalecenia przydały się również personelowi latającemu, przekraczającemu w dalekich rejsach kilka stref czasowych i klimatycznych. Okazało się, że przed drogą powrotną załogi samolotów muszą albo adaptować się na nowym miejscu 6—8 dni, albo — co jest korzystniejsze — zdecydować się na drogę powrotną po dobrym, lecz krótkim odpoczynku. Przy tym przeloty z zachodu na wschód znosi się lżej niż w odwrotnym kierunku.

Nowe problemy pojawiły się w związku z lotami kosmicznymi: cykl „dzień" — „noc" następuje na orbicie kilka razy w ciągu doby. Początkowe przekonanie niektórych uczonych, iż najbardziej racjonalnym dla kosmonautów planem pracy i odpoczynku jest przedłużona lub skrócona doba, ustąpiło następnie innemu punktowi widzenia: na orbicie należy utrzymywać rozkład życia ziemskiego w przedziale 24 godzin, imitując rytmy dobowe, a w czasie długich lotów — także sezonowe.

Oto zaledwie kilka przykładów tego, co oznaczają dla człowieka „rytmy życia". Jednakże należy rozwiązać wiele problemów, wiele jeszcze zrobić — i robimy to — żeby zajęły one właściwe im miejsce w naszym bycie. Temu celowi służą komisje problemowe w zakresie chronobiologii i chronomedycyny utworzone przez Akademię Nauk ZSRR, Akademię Nauk Medycznych ZSRR i Ministerstwo Zdrowia RFSRR.

Takie komisje działają również w republikach związkowych. Ważnych rezultatów spodziewamy się po opracowanym obecnie programie ogólnozwiązkowym, który ma zapewnić planowanie i koordynowanie pracy w tej dziedzinie.

(„SOWIETSKIJ SOJUZ")

W kręgu fantastyki

TOMASZ PAWŁOWSKI

Opowiadanie

— Zaczyna się od tego, że główny bohater — może się nazywać, powiedzmy, Borski — całą noc spędza przy biurku, na którym leżą w nieładzie książki, jakieś broszury i czasopisma, a także jego notatki robione pospiesznie na luźnych kartkach, a nawet skrawkach papieru, jakie akurat znajdowały się pod ręką; i tak zastaje go świt. Te notatki zawierają naukowe dowody słuszności wniosków i przemyśleń Borskiego na temat badań prowadzonych w instytucie naukowym, który nosi nazwę Instytut Człowieka, a w którym to instytucie Borski pracuje i jednocześnie mieszka. Borski jest biochemikiem, biofizykiem, albo może neurologiem — obojętne —a chodzi po prostu o to, że neguje on założenia programowe badań, w jakich bierze udział. Ich celem jest — można by rzec — udoskonalenie rodzaju ludzkiego, a ściślej biorąc, spowodowanie, aby wykorzystane zostały przez człowieka wszystkie potencjalne możliwości, wynikające z budowy, czy też raczej — pojemności jego mózgu. Wiadomo przecież, że już w dwudziestym wieku sformułowano teorię, że mózg ludzki zbudowany jest niejako na wyrost, to znaczy, że z niewyjaśnionych przyczyn bywa wykorzystywany jedynie w pewnej części. Gdyby jednak udało się w wyniku, powiedzmy, jakiegoś zabiegu chirurgicznego, specjalnej terapii farmakologicznej czy czegoś podobnego uaktywnić ową bierną dotychczas część mózgu by doprowadzić do stworzenia jakoby nowej rasy, odmiany, generacji — czy jak to nazwać — ludzi superinteligentnych, a przez to, ogólnie mówiąc, lepszych, bardziej przystosowanych do coraz trudniejszych warunków życia społecznego na Ziemi. Z tego też założenia wyszli założyciele Instytutu Człowieka, którego głównym zadaniem jest realizacja programu Omega, czyli właśnie — udoskonalenie gatunku nazywanego niegdyś Homo Sapiens.

Otóż Borski dochodzi do przekonania, że tak sformułowany program Omega jest po prostu niewykonalny. Podejrzewa to już od dawna, ale jako młody i niedoświadczony jeszcze naukowiec, będący pod zniewalającym wpływem autorytetu wielu utytułowanych sław nauki, nie bardzo może w to początkowo uwierzyć. Kiedy jednak coraz bardziej wgłębia się w problematykę badań, jakie prowadzi i w ogóle całego programu Omega, to, co dotąd wyczuwał przede wszystkim intuicyjnie, zaczyna mu się wydawać całkiem realne, mimo że pachnie to herezją. Wtedy zaczyna szukać w dostępnej mu literaturze specjalistycznej argumentów przemawiających za jego stanowiskiem, dowodów słuszności jego myślenia. Robi to zwykle nocami, oczywiście w wielkiej tajemnicy przed wszystkimi, i z każdą chwilą coraz bardziej przekonuje się, że to on właśnie ma rację. Zauważa przy tym, iż poszukiwane przez niego dowody bardzo często znajdują się zupełnie nie tam, gdzie należałoby ich szukać i że są zwykle pozbawione jakiegokolwiek komentarza, tak jakby autorzy publikacji, którzy w większości znali już program Omega, nie potrafili wyciągnąć wszystkich wniosków z eksperymentów, jakie opisują, czy też teorii, jakie przytaczają lub formułują. Fakt ten, co tu kryć, dosyć zaskakujący, osłabia siłę argumentów, jakie Borski wytrwale gromadzi, ale i tak jego dotychczasowe wątpliwości znikają jedna po drugiej. Tego też właśnie mu było trzeba — najpierw przekonać samego siebie, upewnić się do końca, że prawda leży po jego stronie. Najpierw odczuwa z tego powodu wielkie zadowolenie, jednak stopniowo zaczyna rozumieć, że właściwie nie ma powodu do radości, a nawet — że prawda, niechby i względna, którą na razie tylko dla siebie odkrywa, jest bardzo bolesna i gorzka. W myślach coraz częściej porównuje ją do cykuty, której czarkę zdaje się tym podnosić do ust. Niby nikt mu jej nie podsuwa, nikt nie zmusza go do zanurzenia w niej warg, a przecież chwilami zdaje się już czuć jej smak na języku. W Borskim rodzi to szczery, młodzieńczy gniew, skłania do buntu. Domyśla się bowiem, kto uwarzył tę truciznę i komu powinien za to „podziękować"— i to jak najszybciej; myśli. Tej nocy, kiedy siedzi w swoim pokoju aż do świtu, dojrzewa w nim potrzeba podjęcia ostatecznej decyzji — wypowiedzieć głośno swoje zdanie, czy też dalej udawać, że o niczym nie wie i zgadza się ze wszystkim. Wbrew pozorom sprawa nie jest taka prosta, gdyż i jedno, i drugie wyjście nie jest dla niego wcale dobre, innego zaś — po prostu nie ma. Borski znajduje się więc w dosyć trudnej sytuacji. Jeżeli powie, co myśli o programie Omega, jego kariera naukowa prawdopodobnie szybko się skończy, o co postarają się już ci, z których zdaniem się nie zgadza. Jeżeli nie powie — też będzie cierpiał, ponieważ obawia się, iż może stracić szacunek do samego siebie, postępując nie tak, jak dyktuje mu sumienie, a pogodzić jednego z drugim się nie da. Zastanawiając się nad tym niełatwym problemem, nie tylko z czysto naukowego, ale moralnego punktu widzenia, Borski traci poczucie czasu i odzyskuje je dopiero, kiedy zbliża się świt. Biurko, przy którym siedzi, stoi tuż obok okna. Za okrem widać fragment ni to parku, ni to ogrodu, dobrze utrzymanego, zadbanego, z bujną, tropikalną roślinnością. Dalej jest wysoki betonowy mur, a za nim — pustynia, bo muszę tu dodać, że instytut położony jest w samym sercu pustyni, na terenie od dawna opuszczonej przez ludzi oazy, którą wielkim nakładem środków organizatorzy i budowniczowie instytutu zamienili w kwitnący ogród. W czasie kilku lat wzniesiono kilkadziesiąt budynków, w których znalazły się laboratoria, pracownie, pomieszczenia biurowe i tak dalej, a także — mieszkania dla całego personelu, sklepy, kina, szpital... Słowem jest to jakby małe miasteczko, na, co dzień odcięte od reszty świata, gdyż można się tam dostać tylko drogą powietrzną, w zasadzie samowystarczalne pod każdym względem i żyjące swoim własnym życiem. Borski pracuje i mieszka w instytucie od dwóch, najwyżej trzech lat, a dokładnie — od momentu, kiedy prawie zaraz po studiach otrzymał tytuł doktora.

Program Omega interesuje dosłownie cały świat. Środki masowego przekazu, a zwłaszcza telewizja, starają się bez przerwy o nim mówić. W komunikatach podkreśla się, że rząd światowy nadaje mu rangę najważniejszego przedsięwzięcia naukowego naszych czasów i wiąże z jego realizacją największe nadzieje. I tak, jak kiedyś wszyscy pasjonowali się lotami międzyplanetarnymi, teraz w centrum uwagi opinii publicznej na wszystkich kontynentach znajduje się właśnie program Omega, a jego realizatorzy, w sumie niewielka przecież grupa wybrańców, kreowani są na bohaterów, idoli, stawia się ich jako wzór do naśladowania. Oczywiście Borskiemu początkowo bardzo to imponuje, zwłaszcza że swoją pozycję zawdzięcza tylko swoim zdolnościom i pracowitości, nie to jest jednak dla niego najważniejsze. Należy on do tej kategorii ludzi nauki, którym zależy nie tyle na sławie i zaszczytach, co przede wszystkim — na wewnętrznym zadowoleniu z dobrze wykonanej pracy. Przenosząc się z rodzinnego miasta do instytutu, Borski jest przekonany, że właśnie tam znajdzie największe zadowolenie, że wygrał przysłowiowy los na loterii, szybko jednak przekonuje się jak naiwne i złudne było to mniemanie. Poziom badań w Instytucie jest na ogół rzeczywiście wysoki, ale ich wyniki nie chcą jakoś układać się w jedną logiczną i spójną całość. Niekiedy jedne przeczą drugim, więc w sumie korzyści z całego przedsięwzięcia — znikome, choć kierownictwo instytutu ocenia je jako w pełni zadowalające — szczególnie przed kamerami telewizji. Krótko mówiąc, dużo się robi, tyle że do celu nie jest ani o milimetr bliżej, bo choć każdy może pochwalić się jakimś osiągnięciem, to wszyscy razem naprawdę nie mogą się pochwalić niczym. To tak, jakby stworzyć orkiestrę symfoniczną z najlepszych nawet muzyków, ale nie dać im nut i kazać zagrać symfonię, której żaden z nich nie zna w całości.

Wielkim rozczarowaniem dla Borskiego jest też atmosfera panująca w Instytucie Człowieka. Na początku spodziewał się, że będzie tyleż miła, co twórcza i mobilizująca do wzmożonego wysiłku intelektualnego. Okazało się, że nic z tego. Ludzie są wobec siebie nieufni, podejrzliwi, nawet zawistni. Zamiast blisko współpracować, konkurują ze sobą na każdym kroku, przy czym wcale nie po to, aby osiągać lepsze od innych rezultaty badań, ale — by konkurentów wysadzić z siodła, ograniczyć swą zależność od kierownictwa, uniknąć kontroli, zająć wyższe stanowisko czy — lepsze mieszkanie. Borski jest na przykład zaskoczony, że w tak zwanym czasie wolnym bardzo rzadko mówi się o pracy, o programie Omega. Wszyscy wyraźnie unikają tego tematu, jakby mieli przed sobą coś do ukrycia, jakby się czegoś bali. W dyskusjach wyraźnie brak twórczego fermentu, jaki — nie tylko przecież zdaniem Borskiego — powinien je cechować, skoro biorą w nich udział wybitni lub co najmniej dobrze zapowiadający się badacze, reprezentujący różne dziedziny wiedzy. Wyobrażał to sobie zupełnie inaczej, ale — myślał — tak to, widać, wygląda naprawdę. Sam też więc szybko dostosował swe postępowanie do panujących w instytucie obyczajów, jednak coraz bardziej czuł się wyobcowany z tego środowiska, samotny, powoli zaczął tracić wiarę w sens tego, co robi, zapał i energię do pracy. Jego poczucie samotności potęgowała dodatkowo rozłąka z ukochaną kobietą, Marią. Borski poznał ją na studiach i szybko zakochał się — nie bez wzajemności. Czym zajmuje się Maria, nie ma tu większego znaczenia. Może być plastyczką, nauczycielką, bibliotekarką. Ważne jest natomiast, że oboje z Borskim postanawiają po studiach wziąć ślub, ale ciągle nie mają na to czasu, gdyż ciągle są jakieś inne, chwilowo ważniejsze sprawy. Przede wszystkim chodzi oczywiście o doktorat Borskiego, a następnie o jego pracę w instytucie, gdzie przez pierwsze dwa lata pobytu nie wolno mieszkać z rodziną. Maria dumna jest ze swego narzeczonego i cierpliwie czeka na dzień, kiedy będą mogli być wreszcie razem, chociaż czasem, gdy jest zdenerwowana, daje mu do zrozumienia, że gdyby nie jego kariera, już dawno byliby pewno po ślubie. Borskiemu świadomość tego też bardzo ciąży, ma z tego powodu pewne wyrzuty sumienia. Od kiedy zamieszkał na terenie instytutu, widują się bowiem znacznie rzadziej niż przedtem — raz na miesiąc, na dwa miesiące, tylko wtedy, gdy Borski przylatuje do rodzinnego miasta na krótki wypoczynek. Spędzają wtedy ze sobą zaledwie kilka godzin, on ciągle patrzy na zegarek, żeby nie spóźnić się na samolot...

Jaka Maria jest naprawdę, dokładnie nie wiemy. Widzimy ją tylko taką, jaką widzi ją Borski, czy też raczej — jaką chce ją widzieć, bo i on nie wie o niej zapewne wszystkiego, chociaż może sobie tego nie uświadamia. Borski jest po uszy zakochany, tęskni i tak samo jak Maria boi się o ich wspólną przyszłość. Co prawda, niedługo już bez przeszkód będą mogli zamieszkać razem w instytucie, ale jeśli on zacznie teraz za dużo mówić, ich plany mogą wziąć w łeb, a wtedy... Wszystko może się zdarzyć.

Siedząc tak przy swoim biurku o wschodzie słońca, Borski bardzo chciałby, żeby Maria była w tym momencie gdzieś blisko niego. Ale Marii z nim nie ma. Jest sam na sam ze swoimi problemami i wie, że nikt nie pomoże mu ich rozwiązać. Decyzja należy wyłącznie do niego, ale jakiej by nie podjął, coś będzie musiał stracić, mimo że w niczym przecież nie zawinił. To właśnie boli go najbardziej. Tymczasem nad horyzontem niebo już różowieje i nagle zza pasma poszarpanych wzgórz zaczyna się wyłaniać brzeg wielkiej, czerwonej kuli. Pierwsze promienie wschodzącego słońca rażą Borskiego w zmęczone, niewyspane oczy. Przeciera je odruchowo. Sięga po nowego papierosa, chociaż poprzedniego wypalił zaledwie do połowy. Na próżno próbuje zebrać i uporządkować jakoś rozbiegane myśli. W końcu zastanawia się, czy nie powinien jednak zdrzemnąć się trochę lub przynajmniej wziąć zimny, orzeźwiający tusz. Znów zamyka na chwilę bolące oczy i, sam nie wiedząc kiedy, zapada w krótki, niespokojny sen. Budzi się piętnaście po szóstej na dźwięk ciepłego, kobiecego głosu, który informuje go jak co rano, że pora już wstawać do pracy. Trochę zdziwiony, że nie leży w łóżku, zrywa się na równe nogi, idzie do łazienki, myje się, przebiera i szybko zjeżdża windą na dół do jadalni i...

I tu właśnie nie wiem, bo —albo zjada bez słowa śniadanie, po czym idzie do swojej pracowni, powiedzmy, w sąsiednim budynku, albo też siada przy tym, co zawsze, stoliku w towarzystwie kolegi, z którym usiłuje podzielić się swymi przemyśleniami, gdyż wydaje mu się, że można mieć do niego zaufanie. Dla Borskiego jest to jednak praktycznie bez znaczenia, ponieważ kolega ów, skądinąd miły i sympatyczny, nie daje się wciągnąć w zbyt daleko idące dyskusje na temat sensowności i moralnej wymowy programu Omega. Oczywiście w głębi duszy przyznałby rację Borskiemu, może nawet chciałby mu powiedzieć wprost: „Chłopie, nie ty pierwszy na to wpadłeś, przecież wszyscy o tym dobrze wiedzą", ale woli to zachować dla siebie. Nie, nie dlatego, iżby się bał, że Borski zrobi z tego użytek. Po prostu tak jak wszyscy, stara się nie widzieć za dużo, a zwłaszcza — nie mieszać się do nie swoich spraw. Badania, które on prowadzi, są jedynie drobnym fragmentem programu i same w sobie mają głębokie uzasadnienie. Nie można powiedzieć, że są zbędne. Zresztą za ich wykonanie otrzyma znaczną sumę pieniędzy, a w niedługim czasie po zakończeniu — prawdopodobnie katedrę na jakimś lokalnym uniwersytecie, który z otwartymi ramionami przyjmie byłego pracownika Instytutu Człowieka. Reszta dla niego niewiele się liczy. O resztę niech się martwią ci, którzy go zaangażowali. On jest w porządku. Dlaczego więc miałby ryzykować swoją przyszłość i narażać się niepotrzebnym gadulstwem? Oczywiście tego wszystkiego kolega ów Borskiemu nie powie, skieruje rozmowę na jakiś obojętny i lżejszy temat. Lubi i ceni młodego doktora, ale ten jego idealizm... Poza tym on ma przecież rodzinę! Gdyby Borski nie był sam, też może patrzyłby na życie trochę inaczej. Dlatego powie mu co najwyżej, że nie jest chyba aż tak źle, że każdy, nawet najlepszy i najwznioślejszy program badawczy położyć można na łopatki, ale nie będzie to przecież wina programu, tylko — ludzi. I tyle. Nie ma więc chyba potrzeby, żeby Borski rozmawiał z jakimś kolegą przy śniadaniu. Każdy powiedziałby mu mniej więcej to samo. Ale muszę się nad tym jeszcze dobrze zastanowić. Być może rozmowa taka byłaby jednak Borskiemu potrzebna? Nie jest wszak jeszcze zdecydowany, co zrobić, choć myślał o swojej sytuacji przez wiele nieprzespanych nocy. W wyborze pomaga mu przypadek. Oto bowiem zostaje wezwany do kierownika instytutu, profesora Nilena. Jest tym wezwaniem zupełnie zaskoczony i, co tu kryć, trochę przestraszony, gdyż czuje, że nie jest to zaproszenie na przyjęcie, ani na partię szachów. Musi to być jakaś bardzo poważna sprawa, myśli, skoro chce go widzieć sam profesor Nilen, a nie na przykład któryś z jego zastępców. Czyżby Nilen mógł coś podejrzewać? Borski nie potrafi ukryć swego zdenerwowania, nie może się skupić, wszystko leci mu z rąk. Widząc to, ktoś w pracowni pyta go żartem, czy przypadkiem nie spędził nocy z jakąś zgrabną blondynką i teraz jeszcze przeżywa te niebiańskie rozkosze, jakich doświadczył. Ktoś inny dorzuca, że widziano Borskiego jak wczesnym rankiem wychodził z bloku numer trzydzieści dwa, gdzie mieszkają najładniejsze ponoć pracownice instytutu. Borski, też oczywiście żartem, potwierdza to skwapliwie, ale uśmiech na jego twarzy jest wymuszony i nieszczery. Nie ma ochoty na towarzyskie pogawędki. Najchętniej zostałby w pracowni sam, a ponieważ jest to, niestety, niemożliwe, pod byle pretekstem wychodzi niby coś załatwić, a naprawdę — przejść się w samotności, byle dalej od ludzi. W czasie spaceru nadal rozmyśla o swojej sytuacji, a także o wezwaniu do gabinetu profesora Nilena. Czuje, że stan jego nerwów pozostawia naprawdę dużo do życzenia. Gdyby miał charakter awanturnika i hazardzisty, czułby się teraz jak ryba w wodzie. Ma jednak typowe cechy badacza-idealisty — lubi spokój, jasne sytuacje, ceni prawdę i szczerość. Jeszcze do niedawna myślał, że Instytut Człowieka będzie dla niego najszczęśliwszym miejscem na Ziemi. Teraz wie, że się mylił, że nie jest to wcale oaza spokoju, jak nazywano niekiedy instytut w telewizji. Pozornie rzeczywiście nie dzieje się w nim nic niezwykłego, można by nawet powiedzieć, że w ogóle nic się nie dzieje, ale kiedy przyjrzeć się temu bliżej i to nie oczyma laika, a — specjalisty, pewne pytania same cisną się na usta. Może nadszedł wreszcie czas, aby je zadać?

Zbliża się godzina spotkania z profesorem Nilenem... Borski chciałby mieć je już za sobą. Nic nie denerwowało go tak nigdy, jak niepewność. Może właśnie dlatego lubił w szkole najbardziej matematykę. Tam dwa i dwa to zawsze cztery, a w innych naukach... Sekretarka profesora wita go serdecznym uśmiechem, prosi, aby zaczekał; profesor nie wrócił jeszcze z obiadu. Borski siada i czeka — minutę, dwie, trzy... Co za męka! Nie, sekretarka nie wie, dlaczego został wezwany, ale Nilen jest dziś w dobrym humorze. Właśnie wchodzi, wita się, sam otwiera przed Borskim drzwi do gabinetu, zamawia dwie filiżanki kawy. Po obiedzie najlepsza jest kawa, mówi. Siadajcie, siadajcie, proszę. Rzeczywiście profesor jest uśmiechnięty, rozluźniony. Przez chwilę opowiada, jaką to dobrą kawę parzyła jego matka. Nie to, co teraz. I nagle pyta: A wy, kolego Borski, co wy sądzicie o programie Omega? Borskiemu serce podchodzi do gardła. Nie może wydobyć z siebie ani słowa. Patrzy tępym wzrokiem na Nilena. Tylko tak szczerze, nalega tamten. Tak szczerze to... — Borski stara się zyskać na czasie, bo mimo wszystko jest jednak pytaniem profesora zaskoczony. Oczywiście spodziewał się, że pytanie to padnie, ale nie wierzył, nie wierzył, że to tak od razu. Tak szczerze, panie profesorze, to ja myślę, że..., że... — Borski jeszcze się waha: powiedzieć prawdę, czy też tylko to, co Nilen chciałby pewno od niego usłyszeć. Wreszcie mówi, a właściwie słucha, co mówią jego usta: Więc tak szczerze, to uważam, że przy obecnym stanie wiedzy, program Omega jest nierealny. Profesor zamyśla się, poważnieje. Jest tak samo zaskoczony odpowiedzią, jak Borski jego pytaniem, choć stara się tego nie okazywać. Znów pyta: A co konkretnie macie na myśli? Borski spokojnie już wyjaśnia mu, że jego zdaniem nie da się po prostu „ulepszyć" człowieka, a w każdym razie na pewno nie teraz, nie w tak krótkim czasie. Ale sama idea programu...? — podpytuje dalej profesor. Nie jestem filozofem, wykręca się Borski. Wszystko zależy od punktu widzenia. Ja mam na przykład spore zastrzeżenia natury moralnej. Zastanawiam się, czy mamy prawo poprawiać naturę? Jaki będzie ten „ulepszony" człowiek? Nilen przerywa mu: Nie tylko prawo, kolego Borski, ale i obowiązek. To przecież dziejowa konieczność. Bez programu Omega naszej cywilizacji grozi samozagłada, a do tego nie wolno nam dopuścić. Z tym się chyba zgodzicie? — Ale program jest niewykonalny, broni się Borski. Nilen patrzy na niego zza grubych szkieł. A, to już zależy od nas samych, mówi. Nikt nie twierdził, że będzie łatwo. Nie możemy się jednak zrażać drobnymi niepowodzeniami. Wam też na pewno nie wszystko się od razu udaje, co? Jesteście jeszcze młodzi, nie lubicie czekać, a w naszej robocie nie zawsze udaje się oglądać jej dzieła. Czasem jest to udziałem dopiero przyszłych pokoleń. Bo czymże jest życie pojedynczego człowieka w porównaniu z życiem całego gatunku? Ale my to dzieło musimy zacząć. Dlatego stworzono program Omega i powołano nasz instytut. A to już jest połowa sukcesu. Na to Borski: Obawiam się, panie profesorze, że przecenia pan znaczenie pewnych faktów, a także — wyników badań, jakie osiągamy. Nie są one aż tak jednoznacznie pozytywne. Mam nadzieję, że jest pan o wszystkim szczegółowo informowany. Wtedy Nilen: Mówicie to na podstawie własnych doświadczeń? A Borski: Między innymi, ale nie tylko. To, co czytam później w biuletynach nie zawsze odpowiada w pełni rzeczywistym wynikom. Wiele z nich, należałoby, moim zdaniem, powtórzyć. Nilen wymownie spogląda na zegarek. To dobrze, że macie krytyczny stosunek do swojej i ogólnie — naszej pracy, mówi. Świadczy to o waszym głębokim zaangażowaniu i trosce. Kierownictwo instytutu wysoko ocenia waszą postawę i pracowitość. Czy jednak nie pracujecie zbyt intensywnie? Te podkrążone oczy... Należy się wam chyba dłuższy odpoczynek. Co prawda, miałem propozycję, abyście wzięli udział w cyklu telewizyjnych programów dla młodzieży i opowiedzieli w nich trochę o swojej pracy i wyjaśnili przy okazji, czym jest program Omega, gdyż nie wszyscy młodzi ludzie jeszcze to wiedzą, i po to właśnie was tutaj dzisiaj wezwałem, ale widzę, że chyba powinniśmy odłożyć to na później. A na razie udzielam wam dwumiesięcznego urlopu. Musicie zacząć myśleć wreszcie też o sobie, o swoim zdrowiu. Gdy się spotkamy następnym razem, chcę was widzieć w pełni sił, zgoda? I więcej optymizmu, kolego Borski, więcej wiary we własne siły.

Oczywiście dialog nie musi być dokładnie taki. Improwizowałem. Chodzi mi po prostu o to, żeby Borski w wyniku pewnego zbiegu okoliczności odkrył się przed Nilenem — właśnie przed nim! — ten zaś, by dał mu delikatnie do zrozumienia, że nie ma już w instytucie czego szukać. Zależy mi przy tym, żeby nie zrobił tego brutalnie. Nilen to stary lis, stara się zachować pozory. Natomiast Borski cały czas powinien mieć w sobie coś z człowieka, który nie bardzo wie, na jakim świecie żyje, wierzącego, jak dziecko, w prawdy absolutne. Tylko tacy ludzie mają jeszcze szansę szczerze zdziwić się, oburzyć, zbuntować, ostrzec przed nadchodzącym niebezpieczeństwem.

— Nie uważasz, że to trochę zbyt wydumane i fantastyczne?
— Sam to wszystko wymyśliłeś?
— Powiedzmy.
— Co — powiedzmy?
— No, że wszystko wymyśliłem.
— A co dalej stało się z Borskim?
— Prawdę mówiąc, nie zastanawiałem się. Ale myślę, że istnieje wiele możliwości. Na przykład Borski leci na urlop do rodzinnego miasta, do Marii. Wie już, że do Instytutu Człowieka nie ma po co wracać. Szuka więc innej pracy, a że jest zdolny, zostaje, powiedzmy, wykładowcą na uczelni, którą sam niedawno ukończył. Znają go tam. Myślę jednak, że to mało prawdopodobne i nazbyt piękne, aby mogło być realne. Inny wariant: Borski ginie w katastrofie lotniczej. Niewielki pasażerski samolot, awionetka, którym odlatuje z instytutu, z niewyjaśnionych przyczyn spada na ziemię w kilka minut po starcie i rozbija się doszczętnie na pustyni. Ale to z kolei chyba za bardzo pesymistyczna wizja. Dlatego sądzę, że najlepiej, gdyby Borski zdołał bez problemów wrócić do miasta, spotkać się z Marią i opowiedzieć jej o wszystkim. Dziewczyna próbuje go jakoś pocieszyć, uspokoić, jednak jej wysiłki spełzają na niczym. Borski bardzo mocno przeżywa swoją porażkę, a że nieszczęścia lubią chodzić parami, wkrótce traci też Marię, która z jednej strony za bardzo przyzwyczaiła się już do myśli, że ma narzeczonego w słynnym Instytucie Człowieka i teraz trudno jej pogodzić się z nowymi realiami, z drugiej zaś — czekając na niego tak długo, wyidealizowała sobie obraz Borskiego i kiedy mogą być już naprawdę razem, stwierdza, że to jednak nie to, że to nie jest już ten sam chłopak, co przedtem. Albo: Borski dowiaduje się przypadkiem, że w instytucie prowadzi się doświadczenia na ludziach, aby przyspieszyć realizację programu Omega — oczywiście bez ich zgody, a nawet — wiedzy. Są wypadki śmiertelne. Tak, myślę, że to jest nie tylko możliwe, ale więcz — pewne. W dwudziestym wieku też prowadzono masowe eksperymenty na ludziach. To się nie zmieniło. Można by nawet założyć, że Borski już wcześniej o tym wiedział, a przynajmniej — domyślał się. Znakomicie wzmocnić to powinno siłę jego argumentacji. Ale, podobnie jak z programem Omega, z jego teoretycznymi założeniami, nie ma dowodów. Bardzo zależy mu więc na ich zdobyciu. Stara się zatem mimo wszystko wrócić do instytutu. No, ale to już temat na następne opowiadanie. Mam już nawet pewną koncepcję...

— Opowiedz.
— Albo lepiej napisz wreszcie.
— Nie, wolę jednak opowiadać.

1

Spojrzenie znad szachownicy

John Barleycorn miewa się dobrze

OBJAŚNIENIE DLA DZIECI: John Barleycorn, ziarno zbożowe, będący synonimem i upostaciowaniem wódki, jest bohaterem jednej z najpiękniejszych, najmądrzejszych i najsmutniejszych zarazem książek Jacka Londona. Przeczytajcie ją, zanim będziecie całkiem dorośli, a przede wszystkim — zanim będzie za późno.

OBJAŚNIENIE DLA DOROSŁYCH: Nie wszystkie poglądy wypowiadane przez wyimaginowanego Johna B. zbieżne są z poglądami autora. Większość z tych opinii zaczerpnąłem wszelako z towarzyskich dyskusji, niejednokrotnie zaś wypowiadali je ludzie w ogóle nie pijący wódki.

• • •

Johna B. zastałem nad kuflem piwa. Czytał „Przegląd Tygodniowy" — dość stary, z 19 sierpnia — i wydawał się być zadowolony z życia.

— Jak leci? — zapytałem.

— *Dziękuję*, miewam się dobrze. O, popatrz — rozłożył tygodnik — publikują tu wcale zabawny reportażyk z akcji milicyjnej przeciwko superbimbrowniom w Puszczy Knyszyńskiej rozciągającej się nie *tak znów daleko od Białegostoku*. Ludzie tam prości, cukru nie marnują, im wystarczy grubo mielona mąka żytnia z dodatkiem drożdży, dająca produkt wyjściowy, tak zwaną bragę. Moja szkoła, moja krew.

— *No ale przecież sam mówisz*, milicyjna akcja...

— Mało to akcji przetrzymałem, choćby prohibicję?! Jeżeli robi się aż akcję — widać jest powód. A spróbuj przejechać się po wsiach nowosądeckich, w których od lat pędzą śliwowicę. Spróbuj zajrzeć do tych wszystkich domów, gdzie kapu, kapu, z cukru wyciskają bimber. Biorą się już za to niekiedy ludzie z uniwersyteckim cenzusem, a kto raz posmakował, kto zmontował aparaturę — nie zrezygnuje tak łatwo. A od reglamentacji cukru wcześniej czy później i tak będziecie przecież musieli odejść...

— Więc myślisz...

— Myślę, że przedobrzyliście z cenami. Obniżyć — wstyd, nie obniżać — to zdać się na beznadziejną szarpaninę, długą podjazdową wojnę. Napijesz się?

— Może innym razem.

— Nie szkodzi, poczekam. Potrafię długo czekać, przecież wiesz... I kicham na tę waszą medycynę. Mądrale! Przeciwko mnie, który cały jestem chemią, chemią próbują walczyć. I coście takiego wymyślili, esperal, anticol?! A znacie mechanizm, który sprawia, że tolerancja na alkohol najpierw wzrasta, a potem maleje? Czy zdołaliście dociec, dlaczego po spędzonym ze mną wieczorze — ciężkim pijaństwie, jak mówicie — jeden będzie rozpaczliwie pragnął choćby maleńkiego łyku wódki, a inny nie będzie mógł nawet na nią patrzeć?

— A ty wiesz?

— Być może, żaden demon nie zdradza jednak swoich tajemnic. Bo uważacie mnie za demona przecież. Za demona, który obiecuje przyjaźń mężczyzn, miłość kobiet, ukazuje jakieś kuszące dale, a potem nie dotrzymuje słowa, lecz odejść — nie chce.

— Bo to wszystko prawda, John. I znam wielu ludzi, których zniszczyłeś.

— A ja znam ludzi, którym nie potrafiliście pomóc. Tolerowaliście ich miesiącami i latami, byli nieocenioną duszą towarzystwa, zawsze mile widzianymi gośćmi, gdy jednak granica została przekroczona — odtraciliście ich w moje objęcia.

— Przyznaj jednak, że próbujemy powstrzymywać cię wcześniej. Ustawa...

... o wychowaniu w trzeźwości jest, nie przeczę, dokumentem wyrosłym z najszlachetniejszych intencji. Miewam jednak, jak wiesz, chwile białej logiki, za chwilę może zacznę bełkotać, ale przedtem jeszcze coś ci przeczytam. Ten sam „Przegląd Tygodniowy", numer 19, w rubryce KRONIKA TYGODNIOWA donosi:

„NIETRZEŹWY w czasie pobytu w pracy był co 37 pracownik w jednostkach gospodarki komunalnej i co 60 w przemyśle. Tak przedstawiają się wyniki badań przeprowadzonych przez resort pracy w 99 wybranych zakładach".

Kontrolerzy z pewnością przyszli z zewnątrz, przy braku rąk do pracy rozsądny dyrektor nie będzie bowiem w dniu popularnych imienin szwendał się po zakładzie pracy czy budowie, może bowiem znaleźć to, czego wcale nie szukał — gwarancję niewykonania planu i same przykrości. Znów bowiem przedobrzyliście: wymagane sankcje są zbyt surowe, po prostu nie możecie ich stosować.

John zachichotał. Dolał sobie do kufla trochę przezroczystego płynu z tak zwanej piersiówki, pociągnął tęgi łyk i zachybotał się na stołku. Był gotów.

— A wicewojewoda ostrołęcki — krzyknąłem, chcąc załamać tę jego obrzydliwą pewność siebie. — Zapominasz o wicewojewodzie!

— Na to — czknął John — odpowiem słowami z mowy pogrzebowej Beni Krzyka: „Są ludzie umiejący pić wódkę i są ludzie nie umiejący pić wódki, lecz mimo to pijący ja. I oto pierwsi mają satysfakcję i z doli, i z niedoli, a ci drudzy cierpią za wszystkich, którzy piją wódkę, nie umiejąc jej pić".

Izaak Babel, „Tak to robiono w Odessie". Czytało się to i owo — powiedział John, wstał i chwiejnym krokiem poszedł przed siebie, donikąd.

JERZY P.

2

Paranoja końca miesiąca

Pewnego dnia — a było to tuż przed końcem miesiąca — wybrałam się do sklepu po codzienne zakupy: chleb, mleko, parę jajek. Godzina była przedpołudniowa, a więc pora, gdy większość ludzi — teoretycznie — przebywa w pracy. W sklepie jednak kłębił się gęsty tłum. Szara ze zmęczenia ekspedientka pracowała szybko mimo to kolejka posuwała się bardzo powoli. Nic dziwnego, bowiem zakupy, jakie robiła większość klientów były ogromne. Z podziwem patrzyłam na staruszki, które odchodząc od lady dźwigały siatki ważące około 20 kg, a w nich po kilka paczek mąki, kaszy i cukru, na dodatek parę kostek masła i margaryny. Jak zwykle pod koniec miesiąca wykupywały „resztki" z kartek.

Pani stojąca przede mną narzekała głośno, że masło w sklepach takie stare, a tu ona ma jeszcze na kartkach siedem paczek, na pewno w domowej lodówce szybko się zepsuje. Kiedy nieopatrznie doradziłam, aby nie brać tyle, skoro niepotrzebne, oburzyła się: jak to nie brać, kiedy się należy, przecież im nie podaruję.

Na szczęście nie wdałam się w dyskusję, jacy to „oni" mieliby zjeść kartkowe masło mojej pani, wolałam już słuchać coraz bardziej „kwiecistych" przekleństw stojącego za mną pana, który już blisko godzinę sterczał w kolejce, aby kupić tylko angielkę.

Podobne sytuacje powtarzają się we wszystkich sklepach pod koniec każdego miesiąca. Nie brak, niestety ludzi, którzy uważają, że wszystko, co jest na kartkach, wykupić trzeba, nawet wtedy, gdy nie jest potrzebne. A że nie jest — świadczy właśnie termin realizacji kartek. Ci bowiem, którzy w pełni wykorzystują swoje przydziały, a nawet odczuwają pewne braki mąki, masła czy cukru wykupują produkty na bieżąco, w ciągu całego miesiąca.

Niedogodność systemu kartkowego polega bowiem m.in. na tym — co zresztą nie jest stwierdzeniem odkrywczym — że jedni mają za dużo — a inni za mało w stosunku do potrzeb. Oczywiście norm zaopatrzeniowych nie da się ustalić dla każdego indywidualnie, a przy obowiązującej równości, zawsze znajdą się ludzie, którzy, nie wykorzystując wszystkich „przydziałowych" produktów zgodnie z ich przeznaczeniem zawsze wolą zmagazynować je w szafach i po pewnym czasie wyrzucić, niż dopuścić, aby choć jeden odcinek kartki pozostał niezrealizowany. Dlatego też, jak długo obowiązywać będą kartki — pod koniec miesiąca w sklepach będą się kłębić tłumy ludzi.

Trudno się jednak dziwić tym, którzy czekając ponad godzinę w kolejce aby kupić litr mleka czy ćwierć kilograma sera mają ochotę zastrzelić wszystkich, odchodzących od lady z tobołami o ciężarze nadającym się raczej do przewozu taczką, niż do dźwigania, łatwiej w takiej sytuacji o awantury z ekspedientkami, które przemęczone, mniej cierpliwie wysłuchują rozmaitych, nawet słusznych uwag.

Produktów, objętych *systemem kartkowym (oprócz mięsa)* w zasadzie od wielu miesięcy w sklepach nie brakuje. Pod koniec miesiąca zdarzają się jednak przypadki, że w jakimś sklepie zabraknie mąki czy masła roślinnego — co także staje się powodem do dodatkowego zdenerwowania ludzi z obu stron lady. Trudno oczywiście dyktować klientom, w jakie dni mają dokonywać zakupów. Wydaje się jednak, że pandemonium, jakie obserwuje się w sklepach pod koniec miesiąca dałoby się opanować — lub przynajmniej nieco zmniejszyć — wprowadzając pewne zmiany w organizacji pracy sklepów.

Jakie? — Z pewnością wiele rozwiązań mogliby zaproponować kierownicy placówek handlowych, którym zależy na sprawnej obsłudze klientów (a są niewątpliwie tacy kierownicy, choć może nie w każdym sklepie). Ja proponuję wykorzystać sposób, stosowany w największych sklepach przeważnie samoobsługowych, gdzie znajduje się wydzielone stoisko z towarami reglamentowanymi, jak choćby „Central".

W tej placówce, jak we wszystkich, pod koniec miesiąca do stoiska z masłem, mąką itp. ustawia się kilometrowa kolejka, natomiast wszystkie pozostałe artykuły spożywcze kupuje się w normalnych warunkach, nie tracąc więcej czasu niż w pozostałe dni. Oczywiście „Central" jest duży, ale taki podział zastosować można we wszystkich niemal placówkach, gdzie klientów obsługują co najmniej dwie osoby: jedna z nich w ostatnim tygodniu miesiąca sprzedawać może wyłącznie towary reglamentowane, druga — pozostałe. Do pierwszej ekspedientki ustawi się wówczas kolejka parogodzinna, do drugiej — normalna. Co prawda może się zdarzyć, że osoba, wykupująca kartkowe przydziały będzie chciała zrobić również bieżące zakupy, a tym samym musi stanąć w dwóch kolejkach, nie wydaje się to jednak w takim przypadku szczególną niedogodnością.

Lub inne rozwiązanie — przy jednym stoisku obsługiwać pod koniec miesiąca — informując o tym przy pomocy stosownej wywieszki — wyłącznie klientów, dokonujących drobnych zakupów, np. do 300 zł. Sądzę, że specjaliści od organizacji pracy w handlu wymyślić mogą inne jeszcze, lepsze rozwiązania. W każdym razie jakieś kroki należy podjąć, aby ci ludzie, którzy, ceniąc własny czas, rozkładają zakupy na cały miesiąc równomiernie, nie musieli w ostatnie dni kupować produktów, których nie sposób nabyć z wyprzedzeniem, w warunkach sugerujących zbliżanie się kleski głodu.

KLIENTKA

3

Lewym okiem

Jednej rzeczy brak

Wkrótce minie czwarta rocznica podpisania porozumień gdańskich i szczecińskich. Nie jestem pewien, czy porozumienia te miały walor umów w sensie prawa o zobowiązaniach, bo jakże może zawierać umowę „władza" ze „społeczeństwem"? Kto — w najściślej formalnym, prawniczym sensie — jest stroną umowy jako społeczeństwo? Mandatariuszem społeczeństwa jest przecież właśnie władza. Ponadto umowa oznacza zawsze sprecyzowanie wzajemnych świadczeń przez strony. „Społeczeństwo" jednak nie zobowiązało się do żadnych świadczeń w porozumieniach gdańskich, natomiast obywatele biorący udział w obradach wysuwali żądania („postulaty"), które „władza" zobowiązała się jednostronnie wykonać.

Opozycję władza — społeczeństwo niełatwo jest sprecyzować logicznie, tak jak niełatwo byłoby na przykład mówić o opozycji: przedmiot i jego barwa. Można przeciwstawić grupę rządzącą grupie rządzonych. Granice tych grup nie są możliwe do uchwycenia, pojęcia więc nie będą ostre, ale można się nimi posługiwać tak jak w odniesieniu do „starych" i „młodych". Dla ścisłości więc mówmy lepiej nie o umowie, tylko — ostrożniej — o ugodzie społecznej.

Ugody tego typu co nasza trudno byłoby znaleźć w historii, ale zdarzały się akty podobne. O jednym z nich pisał pół wieku temu Artur Górski w kwartalniku „Marchołt". Rzecz działa się mianowicie w małym włoskim mieście Assyżu, w roku 1210, kiedy w Polsce panował król Leszek zwany Białym. Wszystkie miasta włoskie stawały się wówczas często widownią sporów pomiędzy szlachtą feudalną a rosnącym w siły mieszczaństwem, nie obywało się bez konfliktów zbrojnych. Tuż koło miasta Assyżu mieszczanie zburzyli zamek książątka niemieckiego, musiano wzywać zbrojną pomoc z Perugii, nastąpiły wygnania, banicje i konfiskaty. Sprawy przybierały coraz gorszy obrót. W listopadzie 1210 roku w wielkiej sali ratusza zebrali się przedstawiciele szlachty i mieszczan. Obrady były niezmiernie burzliwe, dopóki nie pojawił się młody, trzydziestoletni człowiek, ubrany jak wieśniak, szczupły, niewysoki: Franciszek Bernardone.

Protokół tych obrad przechowywany jest do dziś w archiwum miejskim Assyżu. Przemówienie Franciszka było tak sugestywne, że zebrani postanowili wspólnie „zawsze postępować zgodnie w tym wszystkim, co się okaże koniecznym dla czci, dla dobrobytu i dla postępu miasta Assyżu". Ogłoszono amnestię, zrównano obywateli w prawach, poddaństwo miało być zniesione na każde żądanie poddanego za drobną opłatą bądź nawet dobrowolnie przez samego patrycjusza. Wkrótce za tym przykładem poszły Padwa, Siena, Arezzo. Wszędzie głównym inicjatorem i działaczem ugodowym był ten sam Bernardone, znany nam dzisiaj jako święty Franciszek z Assyżu.

A więc mamy precedens ugody społecznej sprzed siedmiuset siedemdziesięciu lat. A skoro powołaliśmy się na Artura Górskiego, to zacytujmy jeszcze jedną jego wypowiedź: „Posiadamy ludzi, ziemię, węgiel, żelazo i potrzeby — i nie umiemy tych czynników sprząc i zorganizować. Posiadamy niepodległość, sami za siebie jesteśmy odpowiedzialni, winy za istniejący stan rzeczy nie da się już zwalić na nikogo. Jednej tylko rzeczy brak: ocknięcia się, rozbudzenia energii".

To zostało napisane w lipcu 1936 roku.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

4

Nagle zastępstwo

Jak zdobyć różowe okulary?

Na własnej niejako skórze doświadczyłem ostatnio co to znaczy „styk sektora nieuspołecznionego z uspołecznionym w zakresie usług dla ludności". Ciekawe, że praktyczne poznawanie niektórych przynajmniej aspektów życia gospodarczego z reguły bywa dość nieprzyjemne dla osoby badacza — eksperymentatora...

Otóż dobrotliwa natura, która wyposażyła mnie w cały szereg dość sprawnie funkcjonujących organów, poskąpiła mi wzroku. Wobec powyższego mankamentu jestem już od dzieciństwa okularnikiem, na dodatek złośliwość losu spowodowała, że do prawego oka używam soczewki różniącej się wartością 1/2 dioptrii od tej, której wymaga lewe oko. Żyję sobie z tym od lat i specjalnie nie odczuwam jakiegoś upośledzenia, aczkolwiek jestem stale narażony na niewielkie, ale dokuczliwe komplikacje, nie znane posiadaczowi tzw. sokolich oczu. Oto np. latem zmuszony jestem do noszenia przy sobie dodatkowej pary okularów o przyciemnionych szkłach, których używam jako okularów przeciwsłonecznych.

Od dawna na świecie produkuje się soczewki tzw. fotochromowe, co to są takie chytre, że w świetle słonecznym przybierają ciemną barwę, a w innych warunkach są białe, czyli zwyczajnie przezroczyste. Produkuje się, sprzedaje się, ale jak się nie ma specjalnych chodów to się takich szkieł nie dostanie i szlus.

I oto tego lata stała się rzecz niebywała — w sklepach Fotooptyki szkieł fotochromowych w bród! Tylko wybierać! Bez znajomości i pokrewieństwa z kierownikiem, bez prezentów, bez tego wszystkiego! Wchodzi się do sklepu i kupuje jak — dajmy na to — żółty ser!

Biegnę więc do najbliższego sklepu przy Piotrkowskiej W centralnym punkcie miasta, prawie naprzeciw najwyższej władzy miejskiej, ratusza.

Panienka, kiedy wyjawiam jej mój drobny defekt, polegający na różnicy między lewym i prawym okiem, stawia sprawę jak kwadraturę koła: — Trzeba by szkła przynieść z magazynu...

— Też tak myślę — potwierdzam skwapliwie.

— Potem trzeba sprawdzić, czy obydwie soczewki będą się na słońcu jednakowo zabarwiać...

— Jestem dokładnie tego samego zdania — uśmiecham się przymilnie, bo już, już czuję, jak swój organ powonienia przyozdobię nowymi, szykownymi okularami jak — nie przymierzając — jaki Kojak.

— To trudno — wzdycha panienka — niech pan przyjdzie może koło południa, będzie mniejszy ruch...

Wyszedłem ze sklepu zdegustowany, bo nie tylko dają mi wątłe nadzieje na dobranie szkieł, to jeszcze oprawy mają takie jakieś nieforemne, jak dla nauczycielek języków obcych w prowincjonalnych liceach, a nie dla szanującego się, poważnego felietonisty poważniejszego jeszcze tygodnika

Od czegóż sektor prywatny? Biegnę do kilku optyków — oprawy takie właśnie, jakie mi się podobają, tyle że szkieł fotochromowych ani na lekarstwo. Samych opraw nie sprzedadzą, bo przepis nie pozwala. To jest zakład usługowy, a nie sklep.

Dokładnie to samo mówią w sklepach państwowej Fotooptyki — szkieł się nie sprzedaje, tu jest zakład usługowy!

Nie będę cierpliwemu czytelnikowi opowiadał ileż to państwowych i prywatnych zakładów obszedłem zanim znalazłem życzliwego prywaciarza, który, wysłuchawszy mojej perrory roześmiał się i... nielegalnie sprzedał mi oprawę.

Mając pełną świadomość, że popełnił on wykroczenie (jakiej natury?) nie podam jego adresu, nawet gdyby pan prokurator straszył mnie najcięższym kryminałem.

Dalej poszło jak z płatka. W państwowym punkcie Fotooptyki przy ulicy Obrońców Stalingradu sprawdzono szkła nie czekając na słońce ani na mniejszy ruch klientów. Zwyczajnie i po prostu mają tam taki spec-aparacik. Na drugi dzień odebrałem — wykonane w terminie ekspresowym — nowiutkie okulary ze szkłami fotochromowymi, marzenie każdego chronicznego okularnika.

Tylko — pytam sam siebie — po co ten cały cyrk? Dlaczego u prywatnych optyków są — nawet tańsze — oprawy, satysfakcjonujące starszego pana, a nie ma ich państwowy potentat handlowo-usługowy? Dlaczego w państwowych punktach szkieł fotochromowych na kilogramy, a u prywaciarza nawet na lekarstwo? Dlaczego wreszcie nie sposób legalnie kupić samych szkieł lub samej oprawy?

Po czyjej stronie leży wina? Przepisów? Czyżby nie można ich zmienić? Po stronie pazernych prywaciarzy? Może po stronie lubującej się w monopolu Fotooptyki?

Może ktoś z czytelników zna odpowiedzi na te pytania? Może zna je dyrekcja Fotooptyki? A może są to pytania, na które, na aktualnym etapie rozwoju realnego socjalizmu, nikt jeszcze nie potrafi odpowiedzić? Nawet ministrowie i najtęższi ekonomiści?

ANDRZEJ KAROL

PS. Problem ekonomiczny praktycznie — w moim przypadku — upadł. Upadły bowiem okulary i potłukły się doszczętnie. Ale to już zupełnie inna historia. Nie mam jakoś chęci próbować jeszcze raz...

ZBIGNIEW NIENACKI

O tym, jak pisarz Lubiński pobratał się z ludem

Ręce Marii Pory nigdy nie zaznały pracy, ciało jej nie wiedziało, co to znój i trud, bowiem w owej kobiecie stworzone było do miłosnych uścisków płodzenia dzieci Z tego też powodu nigdy nie odwiedzał jej żaden z braci ani jej do siebie przyjeżdzać nie pozwolił Maria ziemię ojców wydzierżawiła, krowy i świnie sprzedała, utrzymywała się zaś z tego, co jej ofiarowali ci, którzy ją odwiedzali wówczas to jeszcze przeważnie rozmaici panowie z Bart. „Pierwsza dama Skiroławek" jak ją nazwał doktor Niegłowicz z tego powodu, że nigdy nie zhańbiła się pracą, po każdym kolejnym dziecku stawała się coraz bardziej dorodną, choć kiedyś zanim rodzić zaczęła, uważano ją za brzydką Tak to rodzenie nieślubnych dzieci pięknie służyło Marii Porowej, choć inne kobiety w Skiroławkach zaledwie urodziły jedno lub dwoje, już miały krzywe nogi dziurawe zęby wychodziły im włosy, dostawały ogromne brzuchy i szerokie zady Porowa ani nie przytyła nadmiernie ani też nie schudła Cerę miała śniadą, włosy czarne, gęste długie, a piersi duże i twarde gdyż zawsze była w okresie karmienia O dzieci swoje nigdy nie dbała, a jeśli pojawił się jakiś pan z samochodem potrafiła z nim wyjechać w świat na kilka dni pozostawiając drobiazg bez żadnej opieki Nic więc dziwnego że gdy w dwa lata później urodziła czwarte dziecko i po jakimś czasie sprawa jej przedstawiona została sądowi w Bartach ten pozbawił ją praw rodzicielskich i całą czwórkę zabrano do domu dziecka Popłakiwała trochę Maria Porowa gdy zabrakło jej w domu owego drobiazgu, ale dość szybko, chyba w pół roku później pocieszyła się następnym dzieckiem piątym, a później szóstym, siódmym i ósmym Tę czwórkę również zabrano do domu dziecka wyrokiem sądu w Bartach. Porowa już nie płakała ale zaraz sprawiła sobie dziecko dziewiąte, dziesiąte i jedenaste Rodziła tak łatwo jak kura znosi jajko, a z czasem takiej wprawy w tej dziedzinie nabrała, że o ile pierwszych troje dzieci rodziła w szpitalu przy asyście położnej i lekarza, to następne przychodziły na świat w jej mieszkaniu, nawet żadnej sąsiadki do pomocy nie wołała. Wyliczali ludzie w Skiroławkach, że pierwsze dziecko Porowej winno mieć dziewiętnasty rok życia, a że to była dziewczynka, być może wyszła już za mąż Nigdy jednak żadne z owych dzieci nie pojawiło się u matki, ani ona nigdy się nimi nie interesowała. Zadziwiające więc, że z tą trójką na wieść o przyjeździe milicjanta, pielęgniarki i wychowawczyni, w las uciekła co mogło świadczyć, że do owej trójki była bardziej przywiązana niż do tamtych ośmiorga. Ale skoro bardziej jej na nich zależało, czemu jeszcze gorzej je traktowała niż tamtych ośmioro? W dawnych latach klienci Porowej bywali zamożniejsi, teraz utrzymywała się ona ze zbierania jagód i sprzedaży suszonych grzybów, i z tego co jej ktoś przyniósł. Panowie z samochodami już się Porowej bardzo rzadko trafiali, gdyż choć z początku ładniała po każdym dziecku, to po ósmym zaczęła na powrót brzydnąć, trochę zębów zgubiła i pod oczami zmarszczki miała.

Zdaniem pisarza Lubińskiego, z logicznego punktu widzenia troje małych dzieci stanowiło dla niej znaczne utrudnienie w zdobywaniu środków do życia i zaspokajaniu potrzeb erotycznych, powinna więc była Porowa powitać radośnie samochód z milicjantem, pielęgniarką i wychowawczynią. Tym bardziej, że często powtarzała: „jak mi tę trójkę odbiorą, nowe urodzę". Poniektórzy w wiosce nawet za złe mieli sądowi w Bartach, że tak ochoczo pozbawiał ją praw rodzicielskich, gdyż Porowa, jak gdyby na złość sądowi, nowe dzieci ciągle rodziła. Po co — tego nikt nie rozumiał Miał się więc nad czym zastanawiać pisarz Nepomucen Lubiński. Atoli, jak to już zostało wspomniane, klucza do tej sprawy pisarz nie znalazł pod słomianką. I albo żadnego klucza w ogóle nie było, albo też Porowa zabrała go ze sobą do lasu.

Na trzeci dzień, od chwili ucieczki, prowadzony chęcią poznania prawdy, wyruszył Lubiński do lasu, aby ową kobietę odnaleźć i z nią porozmawiać. Las przepastny pisarz znał dobrze ponieważ był myśliwym i niejeden dzień, a także noc w leśnych komyszach spędził. Szedł i szedł, a dokoła niego zalegała słoneczna i bezwietrzna jesienna cichość. Zauroczony pięknością lasu niemal zapomniał, po co i do kogo idzie. Powietrze w lesie było niezwykle czyste, a tam gdzie robotnicy leśni korowali wałki papierówki i wznosiły się sterty poskręcanych, żółknących wiórów, aż w głowie się kręciło od przenikliwej i cudownie pięknej woni świeżego drewna. Szedł pisarz Lubiński zarośniętą trawą drogą leśną i płoszył wiewiórki skaczące po leszczynach. Udzielił się mu spokój lasu, poczuł się brzemiennym w myśli i nabierał łagodnej pewności, że dzieje Porowej mogłyby posłużyć za temat do historii kobiety, która rodziła dzieci jak drzewo rodzi liście. I raptem zdało się Lubińskiemu, że w dziejach Porowej dostrzega jakieś dzikie i okrutne piękno, że w tak jawnym i naocznym grzechu widzi niewinność, a zło, które czyniła Porowa, poprzez swój ogrom wymykało się z kleszczy ocen ludzkich i winno być odmierzane wedle praw przyrody Porowa, ukryta z dziećmi w lesie, stała się w wyobraźni pisarza także i cząstką lasu, na podobieństwo lochy z warchlakami. Ujrzał ją odczłowieczoną, istotą poza wstydem i poza pojęciem grzechu.

Tak rozmyślając znalazł się nad strumykiem leśnym, który miał swe źródełko na Świńskiej Łące, a płynął wąskim korytem na dnie głębokiego parowu. Tu wyczuł nagle pisarz zapach dymu, a później usłyszał śmiech ludzki, męski, a także kobiecy. Wspiął się więc po stromiznie parowu, przedarł się przez gęstwinę młodych buków i u szczytu wzniesienia zobaczył trawiasty pagórek starego bunkra oraz otwór strzelniczy, z którego wypływała smuga sinego dymu. Na pagórku na podartym kocu siedziała Porowa w halce, z gołymi ramionami, ponieważ ciepłe słoneczko ją ogrzewało. Obok Porowej ujrzał Lubiński kulawą Marynę z dzieckiem na kolanach, Erwina Kryszczaka, cieślę Sewruka, a także drwali: Jarosza, Ziętka i Cegłowskiego. W pobliskich krzakach leżały ich motorowe piły i rowery, a na małej polance za bunkrem pasły się dwa konie Kryszczaka i stał wóz na ogumionych kołach. Dzieci Porowej, jak o tym się wkrótce pisarz przekonał siedziały w bunkrze na snopkach słomy i najstarszy z nich Darek, dokładał kory drzewnej do żelaznego piecyka, na którym w jednym garnku gotowała się kura a w drugim odgrzewano grochówkę z puszek — tak zwane danie regeneracyjne, otrzymywane przez drwali.

Nikt się nie zdumiał widokiem pisarza. Cieśla Sewruk podał mu swoją ogromną dłoń. Porowa i kulawa Maryna uczyniły dla niego miejsce na podartym kocu. Wielu chodziło do Porowej, a że nikt się tym nie chwalił, tedy i niespodziewana wizyta Lubińskiego nie wydawała się dziwna. Nalał mu Jarosz wódki do niedużej szklanki i powiedział uroczyście:

— Za nasze piękne chwile, panie pisarzu, niechże się czara ta wypełni.

Opróżnił szklaneczkę pisarz Nepomucen Lubiński, aby go za gbura nie uważano, potem wypił Jarosz, Ziętek, Porowa i Maryna, a na końcu cieśla Sewruk. Dla Cegłowskiego i Kryszczaka wódki już zabrakło. Lecz gdy to się stało, przyjechał na rowerze młody Galembka i dwie półlitrówki przywiózł. A że i tego mogło być za mało, o przyszłość zatroskał się drwal Jarosz i od pisarza duży banknot wyłudził. Zaraz też drwal Ziętek odjechał na rowerze przez las do sklepu w Skiroławkach, aby czara dalej mogła się wypełniać.

— Wielka szkoda, że nie był pan, panie pisarzu, na moim topieniu się w jeziorze— zahuczał basem cieśla Sewruk. — Doktor Niegłowicz osobiście to oglądał i bardzo mu się podobało. Uciekanie Porowej też jest ładne, ale moje topienie było ładniejsze.

— Powinna pani oddać dzieci — surowo skarcił Lubiński Porową. — Zajmie się nimi specjalna wychowawczyni i pielęgniarka Będą miały lepiej niż u pani.

— A pewnie że będą miały lepiej — zgodziła się i zażądała od młodego Galembki, żeby jej „czarę" wypełnił. — Ale dlaczego mają rządzić się nie swoimi? Jeśli sąd chce mieć dzieci, to niech sam sobie je rodzi, a nie cudze zabiera, jak komornik krowę z obory.

- Dziecko to nie krowa — zauważył Lubiński.

— To właśnie mówię Nie wolno zabierać jak krowy z obory.

— Nie to miałem na myśli, pani Porowa. Dzieci to niejako nasza wspólna własność i wspólna musi być nad nimi opieka. Żeby na dobrych ludzi wyrosły

Porowa opróżniła szklankę i przekazała ją pisarzowi.

— Niechże się czara ta wypełni, panie pisarzu — powiedziała. — Ale to panu powiem, że gdyby tak było, jak pan mówi, że niby dzieci są wspólną własnością, to by pan choć raz do mnie przyszedł i tymi dziećmi się zajął. Pani Basieńka nie ma dzieci, a ja mam Mogłaby pani Basieńka dziećmi moimi się zaopiekować, bo ja mogę jeszcze urodzić i to niejedno.

— My nie chcemy mieć dzieci — oświadczył Lubiński. — Nie czujemy się zdolni, aby je właściwie wychować Pani w ogóle nie myśli, że dziecko musi mieć wszystko, co mu się należy Dlatego dzieci powinna pani oddać, a nie uciekać z nimi do lasu.

— Oddam je. Pewnie, że oddam. Ale nie tak zaraz — wyjaśniła Porowa. — Najpierw muszę z nimi uciekać.

— Po co?

— Mam je oddać bez uciekania, jak krowę komornikowi? Co też pan opowiada, panie pisarzu?! I Darka mi szkoda, i Zosi, i nawet Janka, chociaż on tak głową wali w poduszkę. Pewnie, że mi je zabiorą. Ale zaraz coś nowego sobie zmajstruję. Jak żyć bez dzieci? Co ze mnie byłaby za kobieta, żebym od czasu do czasu nie urodziła? Pan nie ma szczęścia, panie pisarzu. Kobiety posiadał pan aż trzy, a żadnego dziecka Same niewydarzone kobiety pan sobie brał, nie ubliżając panu.

— Co prawda, to prawda, panie pisarzu — zgodził się z nią młody Galembka. — Pamiętam, mieliśmy burego kota. Codziennie go musiałem kopnąć, sam nie wiem dlaczego. Ale jak tego kota żona oddała w lepsze ręce, że niby od czasu do czasu go kopnąłem, to mi się żal zrobiło, że kota oddała. Lubiłem tego kota, chociaż go i kopnąłem.

— Do wszystkiego człowiek może się przywiązać — oświadczył Erwin Kryszczak. — Na ten przykład bardzo się przywiązałem do księcia Reussa, chociaż to był Kawaler Maltański i taki człowiek, że jak miał zły humor, wzywał mnie do siebie i mówił „ty świnio". Do Trumiejek czołgi się zbliżały — powiadam do księcia: „Ty świnio, teraz twój koniec". On jednak zabarykadował się w pałacu i strzelał z karabinu maszynowego, musiałem go zabić nożem. Pochowałem księcia i nawet spłakałem się przy tym. I to wam mówię, że życie bez książąt jest smutniejsze. Książęta i królowie to sprawy starodawne, ale człowiek przywiązuje się także do spraw starodawnych Na ten przykład, nie ubliżając panu pisarzowi, w żaden sposób nie mogę przeczytać tej jego książki o dziewczynce, która uciekła ze szpitala dla wariatów. Mam po swoim ojcu starodawną książkę, czytam ja wiele razy i nigdy mi się nie znudziła.

Rys. Janusz Szymański-Glanc

— A co to za książka? — zaciekawił się Lubiński.

— O bitwach, o batalii dnia drugiego. Tak się ona zaczyna: „Ale mocno pomylił się Napoleon, mniemając, że Bennigsen się cofnie, albowiem ledwie co nazajutrz świtać zaczęło, poczęli Rosjanie pięćdziesięcioma armatami bić na Francuza Na miejscu rozkazał Napoleon, aby z jego strony Rosjanom kanonami odpowiedzieć. Armię swoją Napoleon wystawił od Rotenów za miastem i pośrodku w kilku rzędach. A usiadłszy na stołku za kościołem, kierował batalią".

Chciał dalej z pamięci recytować opis bitwy, ale Lubiński okazał zniecierpliwienie.

— Toż przez te ziemie, przez ten las, dwie wielkie wojny się przetoczyły. Choćby ostatnia, tak wielka, że i większa być nie może. Jeszcze po bagnach wieżyczki czołgów sterczą i stare hełmy po rowach leżą. A wy o jakiejś tam batalii sprzed stu pięćdziesięciu lat opowiadacie, jakby to było wczoraj.

— Co prawda, to prawda — zgodził się Sewruk. — Ja sam wielką bitwę widziałem na własne oczy Ale co innego samemu widzieć, a co innego opowiadania o bitwie słuchać.

— Teraz nie umieją opowiadać o wojnie — stwierdził Kryszczak. — I nawet filmy o wojnie nie są ciekawe. Wciąż tylko pokazują, jak jadą czołgi, biegną żołnierze i armaty strzelają. Może więc pan posłucha: „Bagration wpadł na dobry pomysł..."

Pili, jedli mięso kury które Porowa zaostrzonym patykiem z gorącego rosołu wyjmowała i wszystkich po równo częstowała. Najadły się też mięsa dzieci Porowej, nie wyłączając tego maleństwa, co to leżało w bunkrze na słomie i wedle zwyczaju dużą głową w słomę tłukło Nakarmiła swoje maleństwo również kulawa Maryna, a potem ściągnęła z siebie sukienkę i w halce, jak Porowa, na bunkrze zasiadła.

— Za nasze piękne dni, panie Jarosz, niechże się czara ta wypełni — uroczyście mówił Lubiński do drwala, małą szklaneczkę napełniając wódką.

Pili, jedli, opowiadali. Każdy o tym, co wiedział lub co mu się ważne wydawało ale co nikogo oprócz niego nie obchodziło. Nikt więc nikogo nie słuchał, lecz każdy rozprawiał i czuł radość ze swego opowiadania Cieśla Sewruk mówił, jak to stodołę komuś budował z dachem czterospadowym, Erwin Kryszczak o księciu Reussie, który zanim dziewkę folwarczną zbałamucił, kazał Kryszczakowi ją wypróbować czy choroby jakiej od niej nie złapie. Jarosz o dziwnym wydarzeniu, które przed dwoma laty przeżył, gdy z Bart nocą motorowerem do Skiroławek przez las jechał W środku lasu żołnierz go zatrzymał na szosie, na motorower mu z tyłu wsiadł. W drodze zorientował się Jarosz, że żołnierz ów nosi mundur obcego wojska Koło leśniczówki Blesy kazał mu żołnierz motorower zatrzymać, zeskoczył z niego, zasalutował i przepadł w lesie. Opowiadał Ziętek o Cyganach i przysięgał, że jeśli gdzieś w lesie Cyganie obóz założą, to na tym miejscu nigdy już nowy las nie wyrośnie Opowiadał Lubiński o pewnym krytyku literackim, który zanim książkę przeczytał i ocenił, musiał ją powąchać Młody Galembka raz po raz głaskał po nagim kolanie to kulawą Marynę, to znów Porową, a one za każdym takim dotknięciem zanosiły się głośnym śmiechem.

Cieśla Sewruk raz po raz przepijał do pisarza Lubińskiego i tłumaczył mu powtórnie:

— Stracił pan wiele, panie pisarzu, że nie widział pan mojego topienia się w jeziorze To prawda, że przyjemnie posiedzieć na bunkrze. Ale moje topienie się było ładniejsze Nie ubliżając całemu towarzystwu jeszcze i to stwierdzę, że uciekanie z dziećmi nie jest tak ładne jak topienie się w jeziorze.

— A ja ci powiem, że najładniejszego to nie widziałeś, Sewruk — oświadczył drwal Jarosz — Najpiękniej było, gdy goniliśmy po młodnikach Leona Kruczka, a potem razem z doktorem moją żonę po gołej dupie paskiem praliśmy.

— Co tydzień powinno być coś ładnego w naszej wiosce — huczał basem cieśla Sewruk. — Wtedy nikt by się nie nudził.

— A czy wiecie, że tutaj, do tego bunkra, Antek Pasemko zaciągnął trupa dziewczyny z Bart. Półtora roku tu leżała i nikt o tym nie wiedział...

Te słowa wypowiedział młody Galembka. I zaraz wszyscy umilkli, skurczyli się, jakby jakiś zimny podmuch wiatru raptem ich owiał. Aż wreszcie Erwin Kryszczak powiedział do Galembki karcąco:

— Nie powiadałbyś byle czego. Nie widzisz, że nawet pan pisarz przyszedł do nas w odwiedziny? Mądrą, ładną, kulturalną rozmowę należy prowadzić, a nie o głupstwach wspominać.

— Tak mi się tylko wymknęło — tłumaczył się Galembka.

— To niech ci się byle co nie wymyka — burczał Kryszczak. — Ściśnij dupę, bo jeszcze się zesrasz.

I znowu jedli, pili, rozmawiali aż do popołudniowej godziny, kiedy lekki wiaterek się zerwał w lesie i dym z bunkra nie szedł już prosto do góry, lecz zaczął się kłaść po ziemi. Siwy dym gryzł w oczy, lecz zaczął się kłaść po ziemi Rozkasłał się Lubiński i oczy z łez ocierał. Widząc to siedząca po turecku Porowa chwyciła rąbek halki i wachlując nią dym od pisarza odganiała, zarazem odsłaniając przed nim swoje nagie uda, czarne i głębokie fałdy na brzuchu. Próbowała wachlować pisarza również i kulawa Maryna, ale że majtki nosiła, niczyjego zainteresowania nie wzbudzała. Zresztą, mimo wachlowania, coraz tonęli wszyscy w kłębach sinego dymu, gdyż mały Darek palił nie tylko korą, lecz i świerkowymi gałązkami, czynił to z zapałem i wytrwale. Od czasu do czasu oprócz podbrzusza Porowej z kłębów dymu wyłaniała się przed Lubińskim roześmiana twarz Erwina Kryszczaka i jego żółty jedyny ząb. Niekiedy też z siności wychylała się wielka jak sagan głowa cieśli Sewruka albo czyjaś ręka ze szklaneczką wódki Potem dym świat zasnuwał i łzy z oczu wyciskał, Lubiński już nikogo i niczego nie widział i wydawało mu się, że zapada się w gardziel piekła. Wiatr zmieniał jednak kierunek, dym uciekł w głąb parowu, wszystko znowu stawało się wyraźne i dobrze widoczne, nawet głęboki pępek na brzuchu Porowej, która ciągle wachlowała pisarza swoją halką.

Spoglądał pisarz na jej pępek, na włochate łono, potem wzrok przeniósł na śniadą twarz, na czarne i gęste włosy, które rozpuściła na obnażone ramiona, słuchał jej wesołego śmiechu i zaglądał w szeroko otwarte usta z brakującymi z przodu kilkoma zębami. Śmiech Porowej był mocny i głęboki, wstrząsał jej brzuchem i obwisłymi piersiami Ale i to zauważył Lubiński, że nawet zatracając się w owym beztroskim śmiechu ani przez moment nie traciła czujności, jej spojrzenie było zimne i wciąż myszkujące na wszystkie strony; przypominała dzikie zwierzę schwytane przez człowieka i trochę oswojone dające się głaskać, ale przecież wciąż gotowe do ucieczki Pomyślał Lubiński, że Porowa nie zna uczucia miłości, jak ślepiec nie zna światła, wnętrze jej duszy jest jak jej dom — zimny i pusty, niszczejący. Obłapia się zaś z mężczyznami, a potem rodzi, pragnąc rozgrzać w sobie to coś, co jest zimne i rozgrzać się nie da. Pomyślał także Lubiński, że Porowa jest jak polna grusza, zrodzona z przypadkowo rzuconego nasienia Nie zaszczepiona gałązką szlachetności, ma w sobie soki gorzkie i kwaśne, tak samo gorzki i kwaśny owoc rodząc.

c.d.n.